

JAN WOLKERS

**POWRÓT DO
OEGSTGEEST**

Przełożył Andrzej Wojtaś

Państwowy Instytut Wydawniczy 1990

DREWNIANA RÓŻA

Można by pomyśleć, że to szałas w koronie drzewa albo wnętrze arki, ów pokój o drewnianych ścianach, w którym ten brodaty patriarchalny goryl kazał się sfotografować pośród swego potomstwa. Mój ojciec stoi na tym zdjęciu całkiem z boku po prawej stronie. Jest tu jeszcze małym chłopcem. Spogląda naiwnie w obiektyw, jakby wierzył, że za chwilę naprawdę wyfrunie z niego ptaszek. Za to po moim wuju Pieterze widać już teraz, że jego córki, gdy w wiele lat później przyjdą do nas w gości, w trakcie modlitwy wybiegną ze śmiechem do ogrodu. Wystraszyłem się wtedy nie na żarty i pomyślałem, że po „amen” mój ojciec jak nic łby im pourywa. Lecz w końcu powiedział tylko: „A to idiotki.” A jednak to właśnie ten bezbożny wuj, gdy mój dziadek umarł i leżał na marach, pocałował go czule w lodowatą twarz. Mój ojciec opowiedział nam o tym z nieco kwaśną miną i dodał: „Nie powiem, żebym nie kochał ojca, ale nigdy bym się na to nie zdobył.” A wuj Louis, na zdjęciu też jeszcze młody chłopak, robi tu taką minę jak później, kiedy po rozwodzie zamieszkał u nas i chcąc nie chcąc musiał się rozstać z zegarkiem, który mi obiecał. Skupował stare złoto i biżuterię i często trafiały mu się przy tym zegarki. Wieczorami pod lampą zrywał całkami złote i srebrne koperty, a nam oddawał mechanizmy. Za każdym razem mówiłem, że szkoda je niszczyć, aż w końcu doszło do tego, że przyrzekł mi taki zegarek. Zapewne liczył na to, że o wszystkim zapomnę. Każdego wieczora gdy wracał do domu, dopominałem się o swoje, nie popuściłem. W końcu matka powiedziała mu ze złością: „I po co to obiecywać dziecku takie rzeczy?” No i musiał się szarpnąć. Pewnego razu, gdy w pokoju nie było nikogo, rozsiadł się dostojnie w fotelu i kazał mi podejść, byle nie za blisko. Wyjął z kieszeni wielką pomarańczę i podsunął mi ją zachęcająco. „Co wolisz, tę wspaniałą, soczystą jaffę”, spytał spoglądając promiennie na pomarańczę, „czy to”, dodał od niechcienia, pokazując zegarek niemal

skryty w cieniu na wpół zamkniętej dłoni. „To”, powiedziałem. Nigdy mi tego nie wybaczył. Wsadził pomarańczę do kieszeni i natychmiast wypadł z pokoju. Ale i tak mścił się na mnie, bo zawsze gdy byłem z nim sam, opowiadał najokropniejsze historie.

Moja ciotka Tres jest rozbrajająco słodka i piękna na tej fotografii, ze swoimi czarnymi lokami, wzruszającym wolem na szyi i płomiennymi, czarnymi jak gagat oczami z niemego filmu. Na późniejszych zdjęciach upodabniała się coraz bardziej do Billie Holiday, choć jej skóra była tak przezroczyście biała jak alabastrowy klosz w naszym sklepie. Warstewka człowieczeństwa spoczywająca światłem na jej twarzy. Tuż przed samą wojną opuściła nagle swoją rodzinę i tułała się miesiącami po całym kraju. Zewsząd słała do domu pieczone kurczęta, konserwy i słodczyce dla dzieci. Gdy w końcu ją odnaleziono, trzeba było natychmiast umieścić ją w szpitalu. Odrażająca choroba, która w okresie wylęgania przybrała postać chrześcijańskiej miłości bliźniego, strawiła jej ciało w kilka tygodni.

Kiedy moja matka natknęła się na to zdjęcie między papierzyskami i dokumentami rodzinnymi, poznałem po jej twarzy, że nie przepadała za tą gromadką. Nic wyraźnego, spostrzegłem to jedynie po jej nosie. Jakby sam z siebie nieco się skrzywił. Czy to z powodu tej bogobojnej mały w drelichowym garniturze, siedzącej w rozkroku z dzieckiem na każdym kolanie? A może ze względu na tę kobietę, matkę mego ojca, której ręce, nawet spoczywając na najlepszej sukience, pachniały z daleka obieraniem kartofli. Moja matka z wielkim trudem wydostała od niej mego ojca, ponieważ opiekował się nią po śmierci dziadka. A i tak za każdym razem gdy ojciec wspomina, jak to musiał zostawić ją samą, przywołuje jako argument ów tekst z Biblii, gdzie jest powiedziane, że człowiek opuści ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swej i będą dwoje w jednym ciele.

Lecz być może w grę wchodziła także i zazdrość, ponieważ mój ojciec po śmierci swych rodziców sprowadził ich do domu, i to w powiększeniu. Powiesił ich oboje w pokoju, w szerokich owalnych ramach, niczym na czarnym stryczku swego podziwu. O wiele za wysoko, by można się było dobrze przyjrzeć. Lecz uszczerbek na wyrazistości w następstwie tak wysokiego zawieszenia w dwójnasób rekompensowany był bijącym stąd uwielbieniem. Jakby ojciec chciał własnoręcznie wynieść ich do nieba, ale natrafił na przeszkodę w postaci sufitu. Kilka razy do roku, gdy zdejmowano ich ostrożnie ze ściany i kładziono na tapczanie, by miotłąką usunąć pajęczyny, widziałem jednak ich wizerunki wyłaniające się z dwóch owalnych plam na tapecie, która w miejscu, gdzie wisieli, wyglądała jak nowa. Za to co się tyczy rodziców mojej matki, to gdzieś między kalendarzem a radiem wisiła jedynie ich mała fotografia w cienkiej złotej ramce. Ten stan rzeczy nie zmienił się nawet wówczas, gdy oboje umarli.

Każde z moich rodziców uosabia jedną część wypowiedzi świętego Pawła: „Bądźcie tedy mądrymi jako wężowie a prostymi jako gołębicę.” Nie to, żebym nigdy nie widział mojej matki prostej jako gołębicę, lecz mój ojciec mądry jako wąż, nie, coś takiego nie zdarzyło się nigdy. Więc może to porównanie z gołębicą i wężem wzięło się tylko z powiedzonka o głowie i szyi. Bo gdy ojciec mawiał czasem w żartach, że jest głową domu, matka powtarzała zawsze z chytrym i zakłopotanym uśmiechem: „Mężczyzna jest głową, a kobieta szyją. Gdy szyja się kręci, obraca się i głowa.” Tak też było, ale nie sądzę, żeby mój ojciec kiedykolwiek zdał sobie z tego sprawę, a w każdym razie nie odczuwał tego jako czegoś krępującego, co by podważało jego autorytet. Bowiem moja matka jest mistrzynią niemal niedostrzegalnej mimiki. Sfrustrowaną kobietą, która zawsze skrywała swoje uczucia. Która, kiedy zmarł mój brat, rozplakała się dopiero wówczas, gdy zamknęła się w kuchni. I która pospiesznie otarła twarz fartuchem i zaczęła się krzątać, gdy niespodziewanie wszedłem z ogrodu. Która, wydawszy na świat tuzin dzieci, wciąż jeszcze w zakłopotaniu wierciła się na krześle, kiedy mój ojciec czytał ze Starego Testamentu o jednym z tych biblijnych rozplodowców, który znów poznał swoją żonę, tak że porodziła mu dziecko. Gdy pewnego razu kotka okociła się pod stołem podczas posiłku, matka najzwyczajniej wpadła w panikę. Kazała nam siedzieć prosto na krzesłach, ale mój młodszy brat i tak schylił się na bok i zawołał: „Ona robi nimi kupę!” Na to wybiegła do ubikacji i wróciła dopiero wtedy, jak mój ojciec szufelką do węgla ostrożnie przełożył młode do pudła i zaniósł je wraz z rodzącą kotką do szopy. A jednak to zahamowanie nie ma religijnego źródła, musi pochodzić z jej młodości, z czegoś, co widziała lub przeżyła. Podobnie jak jej strach przed zwierzętami wziął się wedle jej własnych słów z tego, że kiedyś, gdy szła po schodach w obcym domu,

z mroku półpiętra nagle skoczył na nią wielki kot. Lecz nawet jeśli zdaje sobie z tego sprawę, i tak nigdy nie wyjawia swojej tajemnicy. Kobieta, która przez całe życie tęskniła do harmonii, do odrobiny dobrobytu, do odrobiny szczęścia, a która u boku tego półświętego, tego mojego ojca-cygana wpadała wciąż z jednego poniżenia, z jednej hańby, z jednej rozpaczliwej sytuacji w drugą. Która, gdy zjawiali się niespodziewani goście, wbiegała nerwowo jako pierwsza do pokoju i ustawiała krzesła na wszystkich dziurach w dywanie, przez co wnętrze wyglądało tak, jakby jakieś zgromadzenie, którego uczestnicy ignorowali się nawzajem, dopiero co w pośpiechu rzuciło się do odwrotu wyjściem ewakuacyjnym. Która, gdy wszystko od dawna już się waliło, a sklep był już tylko składem pustych kartonowych pudeł reklamowych, powiedziała do mojej siostry, która miała przewrócone w głowie i coraz dopytywała się o szczebel zajmowany przez nas na społecznej drabinie, że należymy do zamożnego stanu średniego. Na to mój brat wybiegł z pokoju śmiejąc się pogardliwie i powiedział do mnie: „Jesteśmy prostą rodziną robotniczą, a kiedy na ciebie patrzę, to mam ochotę dodać: ze skłonnościami do włóczęgostwa.”

Wszystko to nie liczyło się zupełnie dla mego ojca. Dla niego istotne było jedynie to, czy w dniu Sądu Ostatecznego będziemy mogli godnie stanąć przed tronem Tego, który przyodziewa się światłością jakby szatą, który czyni obłoki wozem swoim i przechadza się na skrzydłach wiatrów. Który każe wzgórzom płasnąć jak barankom a rzekom klaskać rękami z radości. Był w każdej chwili gotów wyrzec się wszystkiego na ziemi. A gdy kończył modlitwę prośbą: „Tak, Panie Jezu, przybądź najspieszniej! Amen”, to jego głos brzmiał tak, że zamieraliśmy z wrażenia mrugając oczami. A moja matka nigdy wtedy nie wiedziała, w którą stronę ma patrzeć. Pewnie dlatego, że myślała o tak zwyczajnych sprawach jak pranie, które wobec tego na darmo zamoczyła w mydlinach. A ja rozmyślałem o tym, co by się stało z moimi zwierzętami w pudełkach, gdyby Chrystus przybył nagle na obłokach, i czy rzeczywiście aż tak bym się ucieszył, że mógłbym wtedy zapomnieć moje grzechy. Nikt nie śmiał wstać od stołu, nim brat nie przerwał uroku mówiąc na cały głos: „Niech wam będzie na zdrowie!”

Moi rodzice pochodzą oboje z Amsterdamu. Ojciec z dzielnicy żydowskiej. Jako młody chłopak zapalał często świece w sabat u jednego z żydowskich sąsiadów, któremu tego dnia nie wolno było pracować, tak samo jak jego słudze, jego służebnicy, jego bydłociu i gościowi, który jest między bramami jego. Ale mały chrześcijański chłopak nie podlegał oczywiście temu zakazowi. Przy wyświetlaniu slajdów o Amsterdamie mój ojciec zawsze wskazywał miejsca, gdzie ten czy ów żydowski kupiec miał na rogu swój przenośny kram. Z pomarańczami lub prażonymi kasztanami. Ten od kasztanów miał zawsze, o, takiego gila pod nosem. A potem ojciec naśladował pokrzykiwania, którymi ci ludzie zachwalali swój towar.

Moja matka pochodzi z Overtoom. Tam to mój ojciec zamknął kiedyś swego przyszłego teścia, który początkowo był przeciwny ich związkowi, w dębowej szafie i oświadczył, że nie wypuści go, dopóki ten nie da swojego przyzwolenia. Można było odnieść wrażenie, że tamto zajście odcisnęło się widocznym piętnem na moim dziadku. Zatrokana twarz pokryta zmarszczkami podobnymi do słoików w drewnie i bardzo jasne oczy. Był to trudny we współżyciu mężczyzna, cierpiący na nerwicę natręctw, tyran domowy. Moja mała, krucha babka, której jako brzdąc, gdy miała spędzić u nas dzień, wyjeżdżałem naprzeciw na hulajnodze aż do stacji benzynowej, i którą wszyscy uważaliśmy za damę, ponieważ mówiła „chronometr” zamiast „zegarek”, miała z nim ciężkie życie. Matka opowiadała dawniej, jak to tuż przed jego powrotem do domu każdy brał się do sprawdzania, czy wszystko jest w porządku. Filiżanki przekręcano tak, by motywy na nich i na spodeczkach znajdowały się dokładnie jedne nad drugimi, ponieważ gdy się zjawiał, kontrolował to w pierwszej kolejności. Jeżeli lustracja wypadła zadowolająco, spoglądał na obrus, jakby to była jadowita żmija, i wskazującym palcem wytyczał pionową linię biegnącą od czubka żyrandola w dół. Biada, jeśli koniec jego palca nie trafił dokładnie w środek obrusa. Wtedy zastawa znikwała ze stołu i tak długo ciągnięto obrus za rogi, aż leżał jak trzeba. Oba zegary stojące po bokach na kominku musiały znajdować się dokładnie osiem milimetrów od krawędzi. Spostrzegając natychmiast, jeśli były nieco przesunięte, i posługując się linijką znowu ustawiał je właściwie. Kawę pijał jedynie w niebieskiej filiżance z chińskiej porcelany, a i ta także musiała być wypełniona do określonej wysokości, inaczej nie tknął. Gdy podawano herbatę, należało najpierw wsypać cukier, potem wlać mleko, a dopiero na końcu herbatę. Jeżeli zrobiono to inaczej, szedł z filiżanką do kuchni, wylewał jej zawartość do zlewu i ponownie stawiał ją na stole.

Albo dostawał jednego ze swoich wyczekiwanych z lękiem napadów szału i tłukł coś ciskając o podłogę. Figurkę z saskiej porcelany czy któryś z innych bibelotów, za którymi przepadała moja babka. Były to wyrachowane napady, bo nigdy nie stłukł czegoś, co mu się naprawdę podobało. Miał także szczególny dar psucia każdej uroczystości. Piątego grudnia występował w roli Świętego Mikołaja. Zawsze wtedy musiał wyjść, rzekomo do znajomego. „A to ci pech”, mówiła wówczas babka, „akurat teraz, kiedy w każdej chwili może nadejść ta święta osoba.” Wszyscy musieli pozostać w pokoju, gdy odprowadzała go do drzwi. A potem w korytarzu pospiesznie pomagała mu się przebrać. Przez rozsuwane drzwi dzieci słyszały jego przekleństwa i wrzaski: „Znowu te parszywe łachy!” A w chwilę później, drżąc ze strachu, stawały twarzą w twarz z tym mężczyzną. Jego jasne oczy pod brwiami z waty jeszcze kipiały wściekłością. A w sylwestra, za pięć dwunasta, zawsze wyciągał odkurzacz i zaczynał zbierać popiół wokół pieca. Gdy potem wszyscy składali sobie noworoczne życzenia, ciągle się potykali o wąż i sznur. Starsi synowie wystawiali później odkurzacz na korytarz, ale on i tak przynosił go do pokoju, wobec czego nowy rok zaczynał się często od gwałtownej kłótni. Albo na kilka minut przed wybiciem dwunastej wychodził z domu i szwendał się godzinami po mieście.

Ciągle poszukiwał prawdziwego słowa. Przenosił się z jednego kościoła do drugiego. Póki na jakiś czas nie znalazł go u tego czy innego pastora, którego nazywał wówczas „znakomitym kaznodzieją”. Chodził tam, nawet jeśli było to na drugim końcu miasta. Jego synowie, którym, gdy nie szli w nogę, wymierzał policzek swoją giemzową rękawiczką, kroczyli przed nim sztywno i lękliwie. Pewnego razu, gdy się spóźnili, profesor den Hartog przerwał kazanie i powiedział: „Najmilsi, muszę na chwilę przerwać me słowa, bo oto wchodzi mój przyjaciel.” I zrobił zapraszający gest ku pierwszej ławce. Tam bowiem siadywał zawsze mój dziadek, z ręką przy uchu i uniesionymi od uważnego słuchania brwiami. Ale i tak słyszał tylko to, co chciał usłyszeć, jak mówiła moja matka.

Gdy przed wojną na krótko zamieszkałem na Overtoom, dał mi, zapewne dlatego, że przyniosłem mu kiedyś gałązkę głogu z Parku Vondela, starą fajkę z ułamanym bursztynowym cybuchem. Jej główka spoczywała w otwartych szponach drapieżnego ptaka i wycięta była misternie z pianki morskiej. Później zrobiło mu się jej żal i chciał ją odzyskać. Za każdym razem gdy był u nas i gdy zostawałem z nim na chwilę sam, łapał mnie nerwowo za ramię swoją chudą dłonią i potrząsał mną lekko, jednocześnie wpijając we mnie zdziwione spojrzenie swych przenikliwych jasnych oczu. „Dobrze się zastanów, na pewno wiesz, gdzieś ją podział”, mówił wtedy. A ja z przesadnym naciskiem kręciłem przecząco głową, ponieważ bałem się, że gdybym spojrzał na niego nieco śmieiej, z pewnością dojrzałby w moich oczach to miejsce za krokwią, gdzie schowałem fajkę, nim przyszedł.

Ilekoć marudziłem namolnie, mój ojciec mawiał: „No, tego to on nie ma po nikim obcym.” Miał na myśli dziadka. Na twarzy mojej matki widać było wtedy, jak myśli: „Lepiej przyjrzyj się swojej własnej rodzinie.” Ale nic nie mówiła.

Nie tak dawno temu mój ojciec powiedział do mnie, nieznacznie kiwając głową: „Cóż to za cudowne zrządzenie losu, że poznaliśmy się z twoją matką.” Patrzył przy tym przez okno swymi szarymi oczyma, które ze starości pokryła sieć czerwonych żyłek. Pomyślałem sobie, że oto nastąpi niezwykła opowieść, w której za splotem najniezwyklejszych przypadków znów będzie można dostrzec palec Boży. I wtedy opowiedział, że spotkał ją u znajomych, dokładnie tak samo, jak poznaje się dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na sto. Pobrali się na jesieni. Gdy zjawiam się w domu w piękny, bezwietrzny wrześnieowy dzień o delikatnie niebieskim niebie i tylko z odrobiną mgły spowijającej wszystko niczym welon, powtarza zawsze: „Taki sam był dzień, kiedy brałem ślub z twoją matką.” I wtedy znów widzi wszystko dokładnie przed sobą. Ja zaś ciotkę Tinę; tramwaj uciął jej palce u nóg, wskutek czego termin ślubu trzeba było nieco przesunąć. Jako dziecko nie przejąłem się zbytnio sprawą tych palców – choć zachodziłem w głowę, co z nimi zrobiono – natomiast przeraził mnie los skrywającego je buta. Przede wszystkim dlatego, że w naszym pokoju wisiało zrobione tuż przed wypadkiem zdjęcie, na którym ciotka miała na swoich grubych nogach wysokie sznurowane trzewiki.

Gdy miałem około dziesięciu lat, moja siostra odkryła za prześcieradłami w bieliźniarce plik listów związanych wyblakłą fioletową wstążką. Śmiała się z nich w szczególny sposób i szeptała, że są tam powypisywane dziwne rzeczy. Kiedy zajrzałem do nich w jakiejś dogodnej chwili, natychmiast rozpoznałem pismo mojego ojca. Były równie podniosłe jak słowa w Księdze Męczenników, którą dał mu jego ojciec na łożu śmierci: „Do zobaczenia, Umiłowany Ojcze, u Naszego Zbawiciela.” Tyle że napisał je równiej, mniej drżącą ręką. Pamiętam jeszcze to i owo, jak przez mgłę: „Jakże to będzie cudownie, Miła Moja, w niedzielę znów być przy Tobie i leżeć z Tobą w trawie ręka w rękę, tuż u Twego boku.” Ale mnie treść tamtych listów wydała się wówczas nierzeczywista. Podobnie jak zdjęcia z ich ślubu, na których on patrzy w obiektyw nieobecny wzrokiem, przystojny, o regularnych rysach i tych czarnych lokach, przez które w czasie wojny parę razy łapali go Niemcy, ponieważ myśleli, że jest Żydem. A ona, moja matka, pochylona nieco ku niemu, z dłonią w białej rękawiczce na jego ramieniu, i z nieznaczną ciekawością w twarzy, na wpół skrytej za woalką. I palma obok nich w brązowym świetle. Lecz dla niego, dla mojego ojca, wszystko to jest nadal żywe. Wciąż jeszcze o tym myśli, gdy czasem deklamuje jej przekornie:

Gdy lato, słoneczna pogoda

I ciepły nastaje czas,

Ja mówię do mojej najmiłszej:

Za miasto wyruszmy wraz.

Lecz ja widzę znowu ich wielkie dębowe łóżko w któryś ze słonecznych niedzielnych poranków. Moja matka siedzi wyprostowana, z poduszką za plecami. Jej włosy związane w gruby warkocz leżą jej na ramieniu. Ma przed sobą na kołdrze deskę do krajania chleba i smaruje masłem haskie sucharki. Wysoka pomarańczowa puszka z niebieskim stangretem spoczywa przekrzywiona w jednej z fałd. Mój ojciec obok niej nie przybiera żadnego określonego kształtu. Pozostaje jedynie wybrzuszeniem kołdry. Równie mgliście jawią mi się moi bracia i siostry, którzy ze wszystkich stron wsunęli się pod kołdrę. Widzę natomiast wyraźnie samego siebie, jak siedzę w nogach łóżka i głaszczę pokryte odciskami stopy mojej matki myśląc o Elizie, która ze swoim synkiem Harrym ucieka na krwawiących nogach przez pole lodowe, o czym tak często śpiewała moja matka. Obok głowy matki widzę romboidalne wgłębienie w drewnianym wezgielciu z wrytą w nim wielką różą. I widzę także pokryty papierem bitumicznym dach garażu i maszt o białych porcelanowych nóżkach, ku któremu biegną anteny i na którym siedzi wrona.

Moi rodzice nie od razu przenieśli się z Amsterdamu do Oegstgeest. Z początku mieszkali jeszcze w Lejdzie, gdzie mój ojciec ze swym szwagrem otworzył fabrykę silników okrętowych. Po kilku latach odkrył, że tamten go kantował, naciągał właścicieli małych jednostek śródlądowych, zaniżał w księgowości określone pozycje, różnicę chował do własnej kieszeni. Ojciec zrobił mu dziką awanturę, w trakcie której trzęsąc się z wściekłości podobno stanął przed nim z żelazną sztabą w rękę. Gdy opowiadał nam o tym później, na samo wspomnienie nabrzmiały mu żyłki na skroniach: „To chyba Pan Bóg mnie powstrzymał, bo inaczej jak nic doszłoby do nieszczęścia.” Później, gdy spór przycichł, wuj przyjeżdżał do nas na każde urodziny wielkim kwadratowym amerykańskim samochodem. Był to tęgi mężczyzna o masywnej bezbożnej twarzy i blond wąsiku nad całą górną wargą. Nazywaliśmy go Turkiem, ponieważ zawsze siadał z szeroko rozstawionymi nogami na zwykłym krześle z brzuchem spoczywającym na udach. W dniu moich urodzin wyciągnął guldena z kieszeni kamizelki i zapytał o moją skarbonkę. Nie miałem nic takiego, bo był kryzys. Ale on nie dał mi tego guldena do ręki. Musiałem iść do ogrodu i powiększyć dziurę w doniczce tak, by przeszła przez nią moneta, i przyjść do niego z tą doniczką, umieszczoną do góry nogami na talerzu. Wyszukanym gestem i z uśmiechem zadowolenia na szerokiej twarzy wrzucił w to guldena, który z brzękiem spadł na talerz. W tamtych czasach wuj śnił mi się niekiedy. Siedział przywiązany do krzesła i otoczony przez rozwścieczonych szyprów. Na jego głowie niczym fez tkwiła doniczka, przez którą szyprowie ze wszystkich sił rzucali guldeny na jego czaszkę. Ten wuj i ciotka stali się także przyczyną, że kiedyś strasznie skrzywdziłem moją kotkę. Byli u nas z wizytą ze swym grubym, żółtym psem. Moja ciotka odkryła nagle kleszcza w jego sierści. Z tą samą rozkoszą, z jaką wyciskała zawsze

wujowi na plaży krosty na plecach, wyciągnęła psu kleszcza pensetą. Przypatrywałem się ciekawie temu paskudnemu zwierzęciu, które było właściwie grudką tłuszczu opatrzoną małym, ciemnym i przypominającym kraba tułowiem, na którym poruszały się odnóża, nie posuwając go jednak do przodu. Mój wuj powiedział, że to nic nie daje, jak się go rozgniecie, bo wtedy rozpryskuje się jedynie jego zapas pożywienia. I zaczyna od nowa na innym zwierzęciu. I że kiedy jakieś zwierzę ma ich wiele, może od tego zachorować i z czasem paść z wycieńczenia. Położył kleszcza na skrawku gazety w popielnicze i podpalił. Gdy ogień zgasł, wycisnął na tym jeszcze żarzący się niedopałek swojego cygara. Niedługo później, gdy siedziałem w ogrodzie z kotką na kolanach, wyczułem jakieś zgrubienie na tylnej stronie jej przedniej łapy, tuż nad opuszkami. Uniósłem jej łapę i zobaczyłem takiego odrażającego kleszcza. Natychmiast pobiegłem do szopy i wziąłem obcęgi. Następnie znów podniosłem kotkę, delikatnie ująłem kleszcza obcęgami i równocześnie zacisnąłem i pociągnąłem. Kotka wydała przerażający kwik i pofrunęła skowycząc i prychnając między roślinami, skąd wyłoniła się, kulejąc nieco, dopiero pod wieczór. Z początku omijała mnie lękliwie, potem jej przeszło. Lecz ja nigdy nie ośmieliłem się obejrzeć czy pomacać tamtego miejsca, gdy siedziała mi na kolanach. Zawsze gdy przypadkiem dotknąłem zgrubienia na drugiej łapie, ślina napływała mi do ust. Zaciskałem wtedy z całej siły oczy. Ale to nic nie pomagało. Widziałem mimo wszystko tamten krwawiący strzęp na czubku obcęgów. Myślałem o tym za każdym razem, gdy spoglądałem na zdjęcie na kominku przedstawiające moją ciotkę z niemowlęciem na ręku. To była potwornie brzydka kobieta i to jej małe dziecko też wyglądało jak powykręcane. Kiedy moja matka wycierała kurze, a ojca nie było w pobliżu, mawiała zawsze: „A teraz odkurzymy tę małą z małpiątkiem”.

Rzeczywiście, wuj i ciotka nie mieli szczęścia do dzieci. Ich synowie ledwie co skończyli piętnaście lat, a już różnili najtańsze dziwki pod plandeką na ręcznym wózku. Kiedy u nich mieszkałem i wychodziłem gdzieś z moim ciotecznym bratem, ciotka zawsze upominała mnie, bym przede wszystkim uważał, żeby nie siusiał gdzieś ukradkiem. Miał coś z nerkami, przez co jego mocz był czerwony. Kiedy był nieznośny albo sprzeciwiał mi się po drodze, mówiłem zawsze: „Jak nie będziesz robił, co ci każę, to powiem twojej matce, że znów sikalesz krwią.” Jeden z tych chłopców został później zesłany przez własnego ojca na wyspę na Morzu Śródziemnym, ponieważ kradł wszystko co tylko popadło. Udało mu się nawet zwędzić w nocy perski dywan z sypialni rodziców. „Musiał unieść łóżko w nogach, podczas gdy my spaliśmy w najlepsze. Ten chłopak jest silny jak tur”, powiedział jego ojciec nie bez dumy. Inny trafił do indonezyjskiego więzienia za pederastię. A mimo to mój wuj został multimilionerem. Nie żyje już od dawna i pewnie stoczyły go robaki. Na łożu śmierci powiedział: „To po to się przez całe życie pracuje.” I umarł.

Po kłótni z nim mój ojciec wycofał swoje pieniądze z interesu i otworzył sklep kolonialny w Oegstgeest. Właściwie z początku nie był to zwyczajny sklep kolonialny, a szykowne delikatesy. Na pomalowanej jasnożółtą farbą tablicy biegnącej ukośnie od wystawy do spodu witryny widniał napis z zielonych liter: WIKTUAŁY – ARTYKUŁY DELIKATESOWE – WYROBY WĘDLINIARSKIE. A przy wejściu, z lewej strony, u dołu małej wystawy: TOWARY KOLONIALNE. Składały się na nie wielkie słoje z hiszpańskim pieprzem, przyprawami krupuk udang i trassi, laski wanilii i cynamonu, dziwacznie wysuszone rośliny i blade guzowate bulwy. Na szybie w drzwiach widniało ukośnie wymalowane starannymi ozdobnymi literami nazwisko mojego ojca. Kiedy patrzyło się ze sklepu na ulicę, widać było pod światło ślady pędzla, i miało się wrażenie, że cały napis został niechlujnie napaćkany szarą farbą. A potem od razu spostrzegano się przykręconą do ościeżnicy białą emaliowaną tabliczkę z napisem – ozdobionym u góry i u dołu czerwonym serduszkami: Koffiehag – Kawa bezkofeinowa.

POWRÓT DO OEGSTGEEST

Zawsze ci sami przechodnie z rana. O siódmej krępy, gruby mężczyzna w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym. Trzyma przed sobą rozłożoną poranną gazetę i ani na chwilę nie odrywa od niej wzroku. Wielki owczarek ciągnie go powoli za sobą. Gdy pies zatrzymuje się przy drzewie, on także przystaje. Jak tylko poczuje ponowne napięcie smyczy, rusza czytając dalej. Jeśli gazeta jest złożona, znaczy to, że jest wiatr, co znajduje potwierdzenie w kołyszących się topolach. Dziesięć minut później przechodzi niechlujna kobiecina w papilotach na głowie z szarozółtym jazgotliwym szpicem. Pomarszczona skóra jej twarzy przypomina powierzchnię zleżałego kartofla. Gdy jest pogodnie, ma na sobie podomkę, której barwa kojarzy się jedynie z zapachem nigdy nie wietrzanej pościeli. Jej nieznacznie uniesioną do góry brodę zapewne porastają długie, kręcone siwe włosy. Niemal równocześnie zjawia się wysoka, jasnowłosa dziewczyna z chartem rosyjskim. Ciepło jej łóżka owiewa ją jeszcze niczym welon. Odkąd kiedyś o brzasku zobaczyła, jak schodzę nago po schodach, nie śmie nawet spojrzeć w stronę mojego okna. Gdy mijają niechlujną kobecinę, natychmiast mocno skraca smycz. Jej pies musi mieć strasznie delikatny nosek, skoro nie wolno mu nawet powąchać tamtego szpica. W chwilę później przechodzi mały chłopiec z grubym, nieokreślonej rasy psem, który niemal ciągnie swój brzuch po ziemi. Pies ma wielkie bursztynowo-żółte oczy, które sprawiają wrażenie, jakby w czarnym futrze miejsce na nie wystrzyżono nożyczkami. Coraz to podskakuje do chłopca szczekając głośno, a ten obejmuje go wtedy ramionami. Muszą być ze sobą bardzo szczęśliwi. Dokładnie o wpół do ósmej przechodzi wysoki, ociężały mężczyzna w brązowym kapeluszu umieszczonym dokładnie na czubku jego dużej głowy, z okularami na nosie i w ciężkim płaszczu zimowym, zawsze sztywnym i rozpiętym. I zawsze z fiołkami w butonierce. Nie z czystej

radości, to musi coś oznaczać. Nazywam go żółwiem, nie tylko ze względu na jego figurę, lecz przede wszystkim z powodu chwiejnego, a jednak pewnego chodu. Prowadzi na smyczy karłowatego pinczerka. Nigdy nie napina smyczy, lecz troskliwie uważa, żeby luźno się zwieszała, dzięki czemu zwierzę nie czuje nigdy szarpnięć na szyi. Gdy pada deszcz, trzyma w ustach swą małą, okrągłą fajkę odwróconą w dół. Piesek ma wtedy na sobie niebieski kaftanik. Mężczyzna wlecze się powoli, zawsze taki dobrotliwy i wyrozumiały dla pinczerka. Lecz ma także w sobie coś złowrogiego. To chyba jakiś mizantrop.

Gdy odbywałem poranną gimnastykę i wywijałem hantlami, mój wzrok padł na fikus. Znowu zgubił kilka liści. Były zielone, lecz zwiotczałe w dotyku. Zupełnie jakby roślina przestała pobierać wilgoć. Pogrzebałem patykiem w ziemi i natychmiast wyłonił się z niej ciemnożółty robak. Oddzieliłem nożem ziemię od wewnętrznej krawędzi doniczki, tak że ujmując za łodygę mogłem wyjąć z niej całą bryłę korzeniową. Korzenie wyschły i obumarły. Kruszyły się, gdy poruszyłem je nożem. Fikus wydawał się bezpowrotnie stracony, nie było w nim nawet iskierki życia. Gdy piłowałem łodygę na kawałki, nie wydostawała się z niej już kleista mlecznobiała ciecz. Korzenie były martwe zapewne od dłuższego czasu. Roślina potrafiła jeszcze przez jakiś czas zachować pozory, lecz gdy wyczerpał się sok w łodygach, zaczęły opadać liście. Spodziewałem się, że znajdę w ziemi kłębowisko robaków lub turkucia podjadka, lecz tylko od czasu do czasu trafiałem nożem na biały kamyk. Robaka włożyłem do pustego pudełka po zapalkach i umieściłem pod grzejnikiem. Żeby wysechł, jak ta roślina. Mój ojciec mawiał dawniej, że kiedy łowi się na te robaki, ryby w promieniu kilkudziesięciu metrów trzymają się z daleka. Ale to chyba bajka. Rozważałem jeszcze i to, by puścić go wolno, ale wydaje mi się słuszne i sprawiedliwe, by ktoś zapłacił mi za tę zwiniętą i oplecioną sznurkiem roślinę, która leży teraz obok śmietnika.

Dziś w południe pojechałem do Oegstgeest. Padał deszcz i wiał silny wiatr. Droga była śliska. Moje wycieraczki nie działały jak należy. Rozmazywały deszcz w grubą warstwę na szybie, przez którą widziałem wszystko zniekształcone i rozmyte, aż rozboleły mnie oczy jak od okularów. Siedziałem z twarzą przy przedniej szybie i wpatrywałem się w ten świat z żelatyny, w którym wszystko zdawało się falować. Gdy przejeżdżałem w pobliżu Schiphol, rozległ się nagle bekiwy grzmot, jakby jakieś olbrzymie zwierzęta parzyły się w dzikiej pasji, by rżąc osiągnąć orgazm. Ze szczytów drzew poderwały się kracząc stada gawronów. W chwilę później wyłoniła się caravella, czysta i srebrna, by zniknąć w deszczowych chmurach.

Oto ptak feniks naszych czasów, pomyślałem. Wznosi się, odrodzony z piekła hałasu, i przenosi królowe piękności z różowymi kielichami kwiatów, słupkami i migocącymi listkami przez stratosferę z jednej części świata do drugiej. Przy tablicy z informacją, że do Oegstgeest muszę zjechać z autostrady, zwolniłem nieco. Deszcz ustał. Wyłączyłem wycieraczki i znów zobaczyłem wszystko wyraźnie...

A oto i kanał. Tędy szliśmy każdej niedzieli, gdy była ładna pogoda, do Katwijk. Ścieżka pozostała wąska, także i teraz trzeba by iść gęsiego. Koła dziecinnego wózka zawsze jechały po trawie. To było bardzo męczące. Mój ojciec pomagał czasem ciągnąć. A jednak nigdy nie chodziliśmy szeroką drogą przez Rijnsburg i Katwijk-Binnen, choć była krótsza. Myślę, że to z powodu tych pogan, którzy w krótkich spodenkach śmigali tamtędy z wrzaskiem na rowerach. Szeroki trakt wiodący prosto do zepsucia. A przecież obie drogi prowadziły do tego samego bezkresnego morza. Lecz chyba także ze względu na spacer wśród natury, nad kanałem, pośród pól warzywnych i kwiatów. Polne lilie, piękniejsze niż szaty króla. Minąłem zielony kościółek, gdzie spoczywa mój brat. Gdy szliśmy na cmentarz, nie miałem płaszcza. Musiałem nałożyć jasny płaszcz przeciwdeszczowy mojego brata, zrobiony ze spadochronu. Był to ciepły dzień pod koniec sierpnia, lecz miałem wrażenie, jakby lodowaty ziąb wniknął z płaszcza w moje ciało. Nad grobem ojciec powiedział łamiącym się głosem: „Bóg dał, Bóg wziął, niech będzie pochwalone imię Pańskie.”

Miesiąc wcześniej pokłóciłem się z moim bratem. Wydrwił moje rysunki i powiedział, że jestem nicponiem. Z zemsty wpiąłem mu nit dziewiarski w materiał jego niedzielnych spodni. Ale on tylko się roześmiał, bo nie dbał o ubranie i nawet mu się to spodobało. Tylko moja matka była niezadowolona. Wtedy wyjąłem mu z portfela wszystkie jego zdjęcia i spaliłem je w ogrodzie za szopą. Widzę jeszcze, jak jego twarz marszczy się i brązowieje, aż w końcu trawia ją płomień. Pozostała jedynie kupka czerni, w której chwilami dostrzegałem jeszcze jakby srebrnawy zarys jego twarzy. Tak długo wdeptywałem ją w ziemię, aż całkiem się z nią zmieszała. Gdy mój brat umarł, nie pozostała po nim ani jedna fotografia. Zniknął bez śladu z powierzchni ziemi.

Zjechałem z autostrady i za wiaduktem skręciłem do wsi. Tam, na rogu przy katolickim kościele, stał kiedyś, gdy miałem około dwunastu lat, mężczyzna o ordynarnej twarzy. Typowy okaz mieszkańca okolic, gdzie uprawia się rośliny cebulowe, na wpół złośliwiec, na wpół niedojda. Miałem na sobie prawdziwe bryczesy, kalosze i ognistoczerwony sweter. Szedłem dumnie wyprostowany i z rozmysłem kołyszając ramionami. Tamten mężczyzna spojrzął na mnie nagle niczym drapieżne ptaszysko i powiedział z niezachwianą pewnością: „Umrzesz młodo.” Odnosiłem wrażenie, jakbym dalszą drogę odbywał we mgle. Każdy stawiany krok był teraz niepewny i mechaniczny. Miałem uczucie, jakbym w każdej chwili mógł się zapaść pod ziemię. Przez chwilę wydało mi się, że ów mężczyzna stoi tam jeszcze. No to rozjadę go na miazgę, pomyślałem. Ale był to ktoś inny, kogo także znałem z dawnych czasów. Nie widziałem go przez dwadzieścia lat. Przez ten czas też zresztą przemienił się w pergamin. Oblał mnie zimny pot. Ci ludzie w tych samych domkach z zygokaktusami i fuksjami na parapetach. Dawniej myślałem, że aż po wieczność będę musiał przebywać z nimi w niebie. I wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że zabiorą tam ze sobą swoje przedpotopowe mebelki, swoje makatki i bibeloty. Że wszyscy urządzą tam sobie przytulne i wygodne kąty, gdzie zasiądą w swych niedzielnych ubraniach. Że już tu na ziemi wytyczyli sobie na zapas małe skrawki raj. Cóż za ulga, gdy spostrzega się później, że wszyscy po prostu trafiają na śmietnik. Że przemieniają się w gnój, w którym nawet żaden robak nie chce się nurzać. Bóg dał, Bóg wziął.

Tylko te zdjęcia mojego brata, tylko to jest przerażające. Jeszcze teraz, po tylu latach, budzę się niekiedy w środku nocy zlany potem, krzycząc, dusząc się niemal. Widzę wyraźnie, jak marszczy się jego osmalona twarz. Unosi rękę tak, jak wyciągał ją do mnie, gdy umierał. Lecz ja nie mogę go dosięgnąć, nie mogę go dotknąć.

Zatrzymałem się naprzeciwko domu rodziców. Przez okno, ponad ulicą, mój ojciec patrzył mi prosto w twarz. Jego białe włosy okalały brunatną, pomarszczoną twarz niczym światło. Na chwilę zniknął za niebieskim autobusem, lecz gdy ten przejechał, nasze spojrzenia znów dokładnie się spotkały. Uniosłem rękę, a on dostojnie pomachał mi w odpowiedzi. Matka stała już w otwartych drzwiach.

– A to ci dopiero przypadek – powiedziała – właśnie o tobie rozmawialiśmy. Zostało trochę kalafiora i powiedziałam do ojca, gdyby Jan wpadł, byłoby akurat dla niego. Dziwne, co? Całkiem jakbym przeczuwała, no bo sam wiesz, nigdy tego nie robię, ale dziś nie uprzątnęłam jeszcze po obiedzie. Podgrzać ci go od razu?

– Nie, dziękuję, już jadłem – powiedziałem, poklepałem ją kilkakrotnie po krągłym ramieniu i pocałowałem.

Nieznacznie odsunęła głowę i otarła policzek.

– Nadal ślinisz przy całowaniu, tak jak dawniej – stwierdziła i zaśmiała się z zażenowaniem.

Tuż za nią w korytarzu pojawił się mój ojciec.

– A więc jeszcze pamiętasz nasz adres – powiedział.

– Chodź szybko do środka – powiedziała matka. – Nastawić herbatę czy napijesz się soku jabłkowego?

– Soku, chce mi się pić.

Poszła do kuchni. Wszedłem za ojcem do pokoju i usiadłem w jednym z obszernych foteli. Na nie uprzątniętym stole stał półmisek z resztą kalafiora. Na talerzu mojej matki leżało sitko pełne gęstej różowej masy ze skórek czerwonych porzeczek. Ojciec zasiadł naprzeciwko mnie i popatrzył na mnie badawczo.

– Znowu szukasz tu inspiracji? – spytał. Roześmiałem się krótko i spojrzałem mu prosto w oczy.

– Po to nie muszę przecież przyjeżdżać do domu – odparłem. – Wszystko jeszcze pamiętam. Tę waszą ślubną pamiątkę, o tam – powiedziałem wskazując na ścianę nad organami i wciąż patrząc na niego – niedawno wykorzystałem w opowiadaniu. Na tle z zielonkawej flaneli widać kilka purpurowych fiołków i napis białymi literami: Służcie Panu.

– Tak, służcie Panu, List do Rzymian 12, wers 12 – powiedział w zamyśleniu. – Zawsześmy się tego trzymali, co, żonko? – Zwrócił się do matki, która weszła ze szklankami na tacy i postawiła je na stole.

– O co chodzi? – spytała.

Przez chwilę popatrzył na nią niechętnie, jakby nie potrafił zrozumieć, że nie usłyszała go przez ścianę. Potem znów spojrzał na mnie i potrząsnął głową.

– Siedzę w niedzielę w kościele – zaczął – i nagle słyszę moje nazwisko. Chyba nie ma na myśli mnie, starego, pomyślałem. A ten pastor, wiesz, to nie był nasz własny pastor, tylko taki młody gołowąs, zaczyna rąbać kazanie i rozwódzi się o twojej książce, o ciasnocie umysłowej, w jakiej dawniej wychowywano młodzież. Pomyślałem od razu, że to się odnosi do mnie, twojego starego ojca.

– Przecież to tylko książka – powiedziałem. – To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Tam się dzieją rzeczy, które tu nigdy się nie zdarzyły – dodała moja matka. – My nie jesteśmy tymi ludźmi z twoich książek.

– A jednak ja rozpoznaję czasem zaskakująco dużo z twojej matki i samego siebie w tych książkach – odezwał się ojciec z wyrzutem. – Wychowywaliśmy was zawsze wedle naszej najlepszej wiedzy i staraliśmy się wpoić wam bo jaźń i cześć dla Najwyższego.

Wyjąłem pudełko cygar z plastikowej torby i podałem mu je. W pierwszej chwili spojrział na mnie niechętnym wzrokiem, lecz wnet jego twarz nabrała łagodniejszego wyrazu.

— Zapamiętałeś moją ulubioną markę – powiedział.

– Tak, oczywiście – odrzekłem.

– Ale wracając jeszcze do tych twoich książek, tak jak ty piszesz o życiu między mężczyzną a kobietą, to mnie się to nie widzi.

– Żyjemy w innych czasach – powiedziałem. – Po prostu żyję inaczej.

– Ty to nazywasz życiem, bez nadziei na przyszłość. Ależ ty sobie robisz śmietnik z życia, chłopie – powiedział potrząsając głową. – Jeszcze Bóg cię kiedyś za to osądzi.

– No, to teraz po szklaneczce pysznego soku jabłkowego – powiedziała moja matka i postawiła przed nami szklanki.

Ojciec podniósł się i postawił pudełko z cygarami na komódce.

Otworzy je dopiero w niedzielę, kiedy wróci z kościoła, pomyślałem, i spostrzegłem nagle, jak bardzo jego krok stał się sztywny i niepewny, i że chodzi nieco przygarbiony. Jego krucha czaszka przeświecała przez rzadkie włosy. Nagle przypomniały mi się zdania z Eklezjastesa: ...i zachwieją się mocni mężowie, kiedy osłabnie głos mielącej, i wstawać się będzie na głos ptaka... i rozbije się wiadro nad źródłem, i złamie się koło nad studnią, i wróci się proch do ziemi swej, z której był.

Ojciec rozmyślił się nagle i zatrzymał się w połowie drogi, wrócił i wyjął jednak cygaro z pudełka. Siadając znowu, a także ściągając czerwony pasek i zdejmując celofan, przypatrywał mi się przenikliwie.

Co będzie z Bogiem, kiedy on umrze, pomyślałem.

Wciąż patrzył na mnie. Miałem wrażenie, jakby myślał o czymś z rozpaczą. Lecz może był to jedynie przypadkowy wyraz jego poranej zmarszczkami twarzy.

Matka wstała i zaczęła w wielkim zaaferowaniu uprzątać ze stołu.

– Popatrz tylko – powiedziała podsuwając mi pod nos sitko ze skórkami porzeczek – pamiętasz, kiedyś nie mogłam na to patrzeć. A teraz ojciec przeciera mi je przez sitko i zjadam je bez cukru.

– Jesteś bardzo dzielna – powiedziałem ze śmiechem.

– Tak, ty jako dziecko zjadałeś cytryny ot tak, z ręki – powiedziała krzywiąc twarz.

– Ale zawsze robiłem to właśnie wtedy, kiedy na mnie patrzyłaś – powiedziałem. – Miałaś wtedy taką przerażoną minę.

– Świetnie o tym wiedziałam – odparła i z tajemniczym uśmiechem przeszła obok mnie do kuchni.

– Tak, twoja matka miała krzyż pański ze swoimi chłopaczyskami, a zwłaszcza z Janem – powiedział mój ojciec prowokacyjnie.

– Czy panna Busman jeszcze żyje? – spytałem.

– Zaszła tu do nas w tygodniu – odrzekł. – Powiedziałem do twojej matki, popatrz tylko, wygląda jak zjawa, można patrzeć przez nią na wylot.

– Że też ona jeszcze żyje. Ileż to ona ma lat?

– Dożyła sędziwego wieku – powiedział i westchnął. – Chyba ma już z górą osiemdziesiąt. Stoi już, jak i ja, u progu wieczności – dodał w zamyśleniu.

– Jeszcze dziś słyszę, jak woła mnie z przerażeniem w głosie. Kiedy nadbiegłem, stała pochylona na progu i przyciskała szuflę moją wielką zieloną żabę do ziemi.

– Ciągłe przywlekałeś te oślizgłe zwierzęta do domu – powiedział z przyganą. – Można było pomyśleć, że nadchodzi potop. To znowu miałeś taką wielką skrzynię pełną różnych pełzających bestii, potem trzeba było wkopywać w ogrodzie starą balię dla zwierząt, które kryją się przed słońcem. Ciągłe wymyślałeś coś nowego.

– Co on wymyślał? – spytała matka wracając do pokoju.

– Mówię o tych historiach z zimnokrwistymi zwierzakami.

– Tak, stale było coś nowego – powiedziała. – A to przyszedłeś do domu z chorym psem, który miał pić mleko ze spodeczka, na którym leżał kawałek siarki, albo zjawiałeś się z młodą czapłą, co nie mogła fruwać. To znowu w moim koszyczku na szmatki dogorywał za piecem jakiś leśny gołąb.

– A w urodziny, kiedy zjeżdżała się rodzina, wchodził do domu z taką wielką żabą na ręku, pamiętasz – powiedział do niej ojciec. – A kiedy już wszyscy zgromadzili się wokół niego, on całował to oślizgłe stworzenie.

– Ojej, jakbym to widziała – odrzekła. – Wszystkim robiło się niedobrze, a dziewczęta uciekały z piskiem do ogrodu.

Ojciec wyjął z kieszeni kamizelki niewielki scyzoryk i ostrożnie odciął nim kawałek cygara. Potem zapalił je i z wdziękiem przesunął je kilkakrotnie tam i z powrotem pod nosem, wdychając z namaszczeniem jego zapach. Matka wychodząc do kuchni podsunęła mi jeszcze półmisek z kalafiosem.

– Na pewno nie chcesz, żebym, ci go wyłożyła na talerz? – spytała.

Spojrzałem na zielonkawę łydźki. Pył gałki muszkatołowej na kożuchu z sosu kukurydzianego zrobił się ciemnobrązowy. Na dnie półmiska była cieniutka warstwa wody.

– Wygląda tak samo znakomicie jak dawniej – powiedziałem. – Ale naprawdę nic już nie zmieszczę.

– Na pewno się boi, że tam w środku siedzi gąsienica – powiedział mój ojciec uszczypliwie. – Kiedyś zawsze rozdziobywałeś swoje jedzenie widelcem na drobne kawałki. Robiło się od tego niedobrze.

– A wcale nie było takiej potrzeby – dodała matka, zatrzymując się w drzwiach. – Na pewno nigdy nie znalazłeś u mnie w jedzeniu żadnego robactwa. Jestem na to zbyt dokładna. Oglądam każdą łydźkę pod światło.

– To prawda, nigdy nie znalazłem robactwa na talerzu – powiedziałem ze śmiechem.

– No tak – odezwał się ojciec – a jak jeszcze pomyślę o tych królikach i kurczakach. Ale ty nic, nawet takiego małego kawałka. Nawet nie chciałeś spróbować, byłeś zawsze taki oporny i przemądrzały. A to jest takie pyszne, co, żonko? I był z ciebie też niezły spryciarz, bo wtedy szedłeś do kuchni i brałeś sobie plasterek kaszanki do jedzenia. Nigdy tego nie akceptowałem, ale matka cię osłaniała. Zrobiła z ciebie takiego tadka-niejadka.

– Na pewno nie masz ochoty na ten kalafior? – spytała matka jeszcze raz, wchodząc już do korytarza.

– Co wieczór zostaje nam jedzenie – powiedział ojciec. – Twoja matka ciągle się jeszcze nie przyzwyczaiła. Pamiętasz, dawniej te wielkie garnki były pełne po brzegi, a teraz, teraz zostaliśmy tylko we dwoje.

Westchnął i strzepnął popiół z cygara.

– Mówię ci, strasznie cicho zrobiło się w domu — powiedział.

KAWA I HERBATA

Urodziłem się w trzydzieste piąte urodziny mojego ojca, 26 października 1925 roku. Rano. Mój ojciec ciągle ma jeszcze psalterz, który dostał owego dnia jako prezent urodzinowy. Czarne płótno wytarło się nieco na rogach, tak że widać tam karton. Ale poza tym wygląda jeszcze znośnie. Ojciec powiedział kiedyś, obracając go pieśczośliwie w rękach, że to był piękny prezent, lecz że ja byłem jednak najmilszym podarkiem, jaki otrzymał tego dnia. Później, gdy wypiąłem się na wiarę, odwołał to do pewnego stopnia. Oznajmił wtedy, cytując Biblię, że byłoby lepiej, gdybym się nie urodził, lub by na mojej szyi zawieszono kamień młyński i utopiono mnie w głębinach morza. Ale wyraził się tak dopiero wówczas, gdy moje zaprzaństwo ujawniło się wraz z pierwszym zarostem na brodzie. Póki co mieli ze mną inne zmartwienia, bo kiedy miałem kilka miesięcy, dostałem afty. Cała jama ustna obrosła mi małymi pęcherzykami, z których wydobywała się podobna do ropy ciecz. Nie wolno mi było ssać palców. Dlatego ojciec wsadził mi ręce w rękawice do mycia i przewiązał je sznurowadłem wokół przegubów. Później rodzice opowiadali mi, że tymi kikutami z szorstkiego materiału ciągle tłukiem się po twarzy. Musiał to być komiczny widok. Ojciec powiedział mi kiedyś, że wyglądałem jak marionetka waląca w bęben. A jednak wierzę, że te zawiązane ręce głęboko zaważyły na moim dalszym życiu. Te moje zaciekle usiłowania, by nauczyć się obchodzić z narzędziami. Rozpacz z powodu powykrzywianych przy wbijaniu gwoździ i nierówno przyciętego drewna, paraliżująca świadomość, którą mój ojciec pochylając się nade mną ubierał w słowa, gdy ja tymczasem siedziałem na progu pośród opornego drewna i nieposłusznych narzędzi z oczami zamglonymi od łez: „Słuchaj no, ty masz dwie lewe ręce.” I rzeczywiście byłem mańkutem, lecz w rezultacie trzepania po palcach i nieustannego powtarzania przy

powitaniach: „Nie, podaj dobrą rączkę, to przecież nie jest twoja ładna rączka, be, jaka brzydka rączka”, z czasem przestałem posługiwać się lewą dłonią. Lecz prawa ręka i tak pozostała nieporadna.

Gdy miałem pół roku, zachorowałem na bronchit. „Kołyska trzęsa się od kaszlu”, mówiła moja matka. „Można się było wystraszyć. Całkiem jakby w środku leżał i kasłał stary mężczyzna.” Obok mojej kołyski umieszczono specjalny miedziany inhalator. Gdy rozpalano w nim ogień i woda zaczynała wrzeć, jego długą, wygiętą szyjkę wsuwano przez szparę w zawieszanej nad kołyską zasłonce, pod którą szybko gromadziła się para. Wciąż jeszcze miewam koszmary, po których budzę się zlany potem powracając z tropikalnej dżungli, gdzie gęsty dach z liści zatrzymuje duszącą parę wodną. I zawsze krzyczą tam te szalone ptaki. „Ojciec i ja baliśmy się nawet, że coś jest nie w porządku, bo kiedy woda mocno się gotowała, inhalator wydawał piskliwy dźwięk”, powiedziała później moja matka. „Całkiem jakby coś siedziało w szyjce.” Po kilkakrotnym użyciu lut z wrzącą wodą miał podobno trysnąć mi na lewą skroń. Tuż przy oku, którego nie otwierałem jeszcze w wiele miesięcy później, tak że z początku nie wiedziano, czy nie oślepiłem na nie. Rodzice powiedzieli mi, że aptekarz, który wynajął im ten inhalator, nie zreperował go należycie. I że po tym wypadku chciał nawet zapłacić odszkodowanie. „Pieniędźmi nie okupi się uszkodzenia ciała spowodowanego u mojego dziecka”, miał powiedzieć ojciec. Czyżby jednak przyczyną tego zdarzenia była tylko nieostrożność ojca i matki? Ciągle mnie to zaprząta, zwłaszcza że sąsiadka powiedziała mi w ubiegłym roku, gdy o to spytałem: „Nigdy tego nie zapomnę. Widzę jeszcze, jak twoja matka wsiada z tobą, zawiniętym w kocyk, do taksówki. Później dowiedziałam się, że siedziałeś jej na kolanach i wyróciłeś czajnik.” „Czajnik do herbaty? To wcale nie byłem chory?” spytałem zdziwiony. „Ty chory?” powiedziała ze śmiechem. „Wprawdzie zawsze byłeś blady jak prześcieradło i kasłałeś tak głośno, że czasem słyszeliśmy przez

ścianę, ale byłeś zdrowy jak ryba. Nie, twoja matka mi mówiła, że przewróciłeś czajnik.”

Tamtego inhalatora ojciec nie zwrócił, ponieważ chciał go wykorzystać jako dowód w procesie, jaki zamierzał wytoczyć aptekarzowi. Nic z tego jednak nie wyszło. Inhalator trafił na strych, gdzie widywałem go co roku, gdy wolno mi było przynieść stamtąd ozdoby na choinkę. Patrzyłem na niego wtedy ze strachem i nabożnym szacunkiem. W półmroku między zakurzonymi przedmiotami wydawał się groźnym ptaszyskiem o długiej spiczastej szyi, która od samego korpusu przechodziła we wredny dziób. Kiedy miałem około szesnastu lat, zabrałem go ze stryszku i postawiłem na stole pośród mej kolekcji kości i czaszek. Od tamtej pory nie wierzgałem już w łóżku, co tuż po wypadku, wskutek bólu z poparzeń, robiłem tak gwałtownie, że wierzchy moich stóp były pocięte i okrwawione. Od tamtej pory przestałem też zmyślać historyjkę o ostrzu włóczni, gdy pytano mnie, skąd mam tę szramę, czy o strzelbie, która nagle wypaliła, gdy wuj zabrał mnie na polowanie. Opowiadałem po prostu o roztopionym lucie, tak jak to usłyszałem od rodziców. Ale na szyjce inhalatora nie odkryłem niczego, co przypominałoby ślady reperacji.

Kiedy miałem około dziesięciu lat, bawiliśmy się pewnego razu na najwyższym piętrze wznoszonego właśnie domu. Nagle ktoś krzyknął, że trzeba wiać. Wszyscy zbiegliśmy na dół świerkowymi schodami bez poręczy. Byłem ostatni i w drzwiach schwytał mnie mężczyzna w niebieskim kombinezonie i powalanych wapnem gumiakach. Zaczął mną szarpać wrzeszcząc: „Żebyś cię tu więcej nie widział, już ja sobie zapamiętam twoją twarz, jesteś napiętnowany. Masz piętno Kaina na głowie.” I zawsze właśnie tak to miałem odczuwać, bo kiedy umarł mój brat, po tym, jak spaliłem jego zdjęcia, przypominałem sobie ze zgrozą i pełen wyrzutów sumienia, że dym z ognia nie wznosił się do góry. Zupełnie jak w Biblii. I że to właśnie stało się przyczyną zabójstwa. I miałem wrażenie, jakbym znów słyszał głos Boga mówiący: „Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi.”

Sądę, że wypadek z inhalatorem wywarł spory wpływ na mój sposób widzenia, jak gdyby ból wyostrzył wtedy mój wzrok. Z początku ból i patrzenie były chyba jednym i tym samym doznaniem. Wydaje mi się, jakbym jeszcze widział kwiatuszki na niebieskim materiale zastłonki nad kołyską, podobne do maleńkich, różowych chmurek na niebie. Pozostało mi ono także i później, to wyostrene patrzenie, jakby dla zakłęcia bólu i strachu. Ból ustal, lecz patrzenie pozostało. Toteż zachowałem wspomnienia, które umknęły wszystkim innym ludziom. Obrazy, które przetrwały, ostre i wyraźne. Mój ojciec przechadza się ze mną na ręku po swoim sklepie. Jego twardy policzek szoruje moją twarz. Oglądam z wysoka przetkany żyłkami marmur lad sklepowych. Ojciec pozwala mi zajrzeć do młynka do kawy, kręcąc jednocześnie wielkim kołem z lanego żelaza. Widzę, jak schodzi się żelazna zębátka, w której kruszy się ziarenka kawy. Całkiem jakby się zaglądało do pyska jakiegoś kraba. Niczym drapacze chmur przesuwają się obok nas piramidalne sterty puszek. A teraz czuję się tak, jakbym znów siedział w koszyku na przodzie roweru naszego chłopca na posyłki, niczym zwierzę w klatce. Po nim bokach kosza widniały pokryte czerwoną i żółtą emalią tabele reklamowe z napisem: VAN NELLE – KAWA I HERBATA. Nie wiem, ile lat miał tamten chłopak, bo ilekroć o nim myślę, ja siedzę przed nim mały i niepozorny w koszyku, a on wydaje mi się niesamowicie potężny i dorosły. Miał dużą, czerwoną twarz o ciemnych, bezczelnych oczach, i czarne włosy, które sterczały mu jak kolce we wszystkie strony. Skórzane getry, które zawsze nosił, i które powodowały, że jego welwetowe spodnie wydymały się na kolanach, czyniły jego ropuchowate cielsko jeszcze bardziej bezkształtnym. A jednak potrafił po krótkim rozbiegu zręcznym ruchem i bez użycia pedału wskoczyć na siodółko, którego sprężyny skrzypiały wówczas pod jego nagłym ciężarem. Niekiedy

pedałował przez chwilę ze wszystkich sił, nadymając przy tym policzki z wysiłku. Wiedziałem wtedy, co zaraz nastąpi, i przymykałem oczy ze strachu. Kiedy pedały osiągnęły odpowiednie obroty, on zakładał lewą nogę na ramę, drugą nogą stawał na kręcącym się dziko pedale; widziałem, jak unosi się i opada z zawrotną szybkością, jakby co chwila uginały się pod nim kolana. Gdy pochylał się nade mną, jego ciepły, wilgotny oddech grubasa owiewał moją twarz. Gdy tylko wjeżdżaliśmy w zaciszne alejki pod kasztanami, na których głucho gruchały gołębie, otwierał torebki z ciastkami przeznaczonymi dla klientów, wyciągał z nich pełne garście słodczy i wpychał je do ust. Musiał dobrze znać się na dzieciach, bo chyba nie z samego skąpstwa nigdy nic mi nie dawał. Pewnie wiedział, że współudział prowadzi do zdrady. Nigdy też nie zakazywał mi wspominać o tym w domu. Zachowywał się tak, jakby nie było w tym niczego zdrożnego, i ja też tak to traktowałem, póki, gdy byłem starszy, nie zacząłem się nad tym zastanawiać. Ale wówczas już go u nas nie było, a i ja tymczasem prześcignąłem go w złodziejstwie. Niekiedy przejeżdżał długie odcinki kołysząc rowerem nieznacznymi, falistymi ruchami, gwizdał przy tym głośno i czysto, zwijając w trąbkę grube, mięsiste i pofałdowane wargi i na wół przymykając powieki, przez co odnosiłem wrażenie, że dźwięk dobiega nie tylko z jego ust, lecz także z oczu. Na Kwaaklaan często zatrzymywał się, opierał rower z koszykiem o pień jednej z topól i mówił: „A teraz zrobimy siusiu.” Nie śmiałem się poruszyć, siedziałem w koszyku jak sparaliżowany ze strachu, że przy najmniejszym drgnienu zsunę się po pniu i trafię do rowu, którym popłynę pośród trzciny w koszyku niczym Mojżesz w plecionce. Czasem miałem ochotę krzyknąć, bo wydawało mi się, że rzeczywiście zsuwam się wzdłuż drzewa, ale on zawsze wracał w porę, pozostawiając za sobą ciemnozieloną, połyskliwą plamę na zakurzonym zielsku. I wciąż ten sam strach, że pojedzie tak daleko, że

nie znajdzie drogi powrotnej, i będziemy musieli tak jeździć bez końca,
aż zapadnie zmrok i nastanie noc.

Nie pamiętam, czy jeździłem w koszyku z innymi chłopcami na posyłki, którzy przyszli po nim, choć widzę ich przede mną bardzo wyraźnie. Karzeł o nadętej sylwetce zapaśnika, widzę, jak dziwacznie podskakuje z odwróconym koszem na głowie i równocześnie bębni swymi tłustymi rączkami w puszki z ciastkami. Długi tyczkowany dryblas o pochylonych gruźliczych plecach, który w niezmiennie szyderczym uśmiechu swych wąskich, wiecznie otwartych usteczek odsłaniał sterzące do przodu zęby; był tak samo biały jak jego fartuch. Rudzielec pachnący suszonymi jabłkami, który miał tyle piegów, że nie pamiętam nawet jego oczu. Ale obraz sklepu z tamtych czasów pozostał dość niewyraźny i zamazany. Moje życie toczyło się głównie na jego tyłach, za przesuwanymi drzwiami, które tylko na pozór stanowiły połączenie między sklepem a pokojem, bowiem zawsze pozostawały zamknięte na haczyk. Nie widziałem nigdy, by były otwarte na oścież lub by ktoś przez nie przechodził. Sklep i mieszkanie pozostały dwoma tajemniczo rozdzielonymi światami, co podkreślała jeszcze wielka czerwona kanapa ustawiona przy tych drzwiach od strony pokoju. Gdy sklep zaczął podupadać i trzeba było w nim sprzedawać pospolite produkty żywnościowe takie jak cukier, groch i fasola, od strony sklepu pojawiły się w tym miejscu długie rzędy ustawionych jedno na drugich pudeł, które sięgały niemal do oprawnych w ołów szybek w drzwiach. Pamiętam, jak mój ojciec ukląkł kiedyś na kanapie i rozsunał nieco drzwi, by przechyliwszy się przez oparcie ustawić za pudłami łapkę na myszy tam, gdzie nie mógł sięgnąć ze sklepu. I widzę znów wszystkie te szare myszki rozszarpane na pół – prócz futerka – przez zacisk potrzasku. Kropla krwi na ich nosku i kilka kropel na drewnie pułapki, która, gdy mysz zapakowana w kawałek papieru gazetowego została już wrzucona do kosza na śmieci, trafiała pod kran i musiała zostać wyszorowana, bo w

przeciwnym razie inne myszy mogłyby wyczuć zapach. A były to te myszy, które miały szczęście, bo ginęły na miejscu, a ich nagły koniec miał zapach sera. Ale zdarzały się i takie, które zacisk trafiał w zad, wskutek czego żyły jeszcze kilka godzin i wlokły łapkę wiele metrów za sobą, póki ojciec następnego ranka nie wyciągnął ich kijem wraz z łapką spod pudeł czy szafy. Niekiedy z kłaczkiem kurzu przy pyszczku. Choć zawsze wywierało to na mnie ogromne wrażenie, było w tamtych wczesnych latach coś gorszego, coś, co stać się miało jednym z mych najwcześniejszych wspomnień. Bo kiedy wracam myślami do tamtego pokoju i werandy, mam w nozdrzach zapach gniazda z jajami, z którego dopiero co odleciał ptak, tak że niemal czuć bijące z niego ciepło, i wtedy spostrzegam, że jedno z jaj jest rozbite. Wysiedziane jajko. Wylewa się z niego drżąca, galaretowata masa, przetkana smugami podobnymi do żyłek. Poprzez ten obraz widzę moją matkę leżącą na łóżku na oszklonej werandzie. Musiałem być wówczas jeszcze bardzo mały, skoro matka, zazwyczaj tak wstydliva, nie uznała za stosowne mnie odesłać. A może po prostu mnie nie zauważyła. Widzę, jak leży w podwiniętej do pasa nocnej koszuli i z wypiętymi nagimi pośladkami. Ponad nią nachyla się lekarz. Później we wspomnieniach wydawało mi się niekiedy, że to mój ojciec pochylał się nad nią, ale musiała to być pomyłka, bo wyraźnie widzę przed sobą masywny kark doktora z krótko przyciętymi siwymi włosami, a ojciec jeszcze znacznie później miał włosy kruczoczarne. Widzę też jego skórzaną torbę stojącą na podłodze tuż obok fikusa. Pochyla się nad matką i od tyłu wkłada rękę między jej nogi. Wyciąga ją stamtąd czerwoną od krwi. I tu obraz się urywa. Ta czerwona ręka jest ostatnią rzeczą, jaką widzę. Matka miała wtedy około dwudziestu ośmiu lat. Pewnie znów była w ciąży i doktor prawdopodobnie badał, czy płód dobrze leży. A ta czerwona ręka? Lekarz założył zapewne czerwoną

gumową rękawicę, czego nie zauważyłem. Stał odwrócony do mnie plecami. Wszystko to wytłumaczyłem sobie znacznie później. Ale tamtej krwi nie potrafiłem wymazać z pamięci.

Wiem na pewno, że to, co wówczas zobaczyłem, strach, że z moją matką dzieje się coś przerażającego, i tamten wypadek w kołysce stały się przyczyną, że szukałem ucieczki w okrucieństwie. Pod wpływem czegoś na kształt przymusu zacząłem znęcać się nad owadami. Byłem wówczas tak mały, że wydawało mi się, iż cały ogród jest moją własnością. We wzniesionych z ziemi budowlach pozostały setki ślimaków, robaków i pędraków, usmażonych i zwęglonych, które okładałem podpalanym następnie sianem i gałązkami. Beładna biegania chrząszczy i mrówek, gdy ze wszystkich stron osaczał je ogień, powolne obroty ślimaków, które cierpiały potworne męki, ponieważ były takie mięsiste i ich śmierć trwała bardzo długo. Fakt, że mogłem decydować o życiu i śmierci tych zwierząt, dawał mi uczucie wyzwolenia. Brało się to także i z tego, co mój ojciec czytał z Biblii, z Księgi Kapłańskiej, czemu przysłuchiwałem się z otwartymi ustami. O składaniu zwierząt w ofierze i o płazie, który się rusza po ziemi i jest obrzydły, albo o wszystkim, co ma wiele nóg wśród pełzających zwierząt, i też jest obrzydłe. Może stąd właśnie wiedziałem, że stonoga może biegać jeszcze na czterech nogach. Na dwóch już jej nie szło i trzeba było ją zabić zapałką, którą zapalałem tuż przy niej, przez co cała zabarwiała się na biało od oparów siarki. A później stało się to grą współczucia i zemsty. Chwytałem pszczołę, która weszła do kwiatu niecierpka, zamykając po prostu i zrywając ten podobny do chodaka kwiatek. Tuż przy pajęczynie tłustego krzyżaka wypuszczałem ją tak że zawisała w sieci. A gdy już została opleciona kokonem, chwytałem pająka i rozgniatąłem na miążgę między dwoma kamykami. Potem uwalniałem pszczołę, zrywając z niej osnowę zapałką. Innym razem trzymając osę za skrzydła spinaczami do wieszania bielizny pozwoliłem, by śmiertelnie użądliła szczyprawkę. Dokładnie w odwłok, gdy ta uniosła swe szczypcy. W owym czasie mojemu bratu, jako że

był już dość duży i dorósł do tego, wolno było zaglądać niekiedy w niedzielę do Księgi Męczenników. Mnie wysyłano wówczas zawsze do ogrodu. Gdy dorosłem i pozwolono mi także obejrzeć ilustracje z mężczyznami i kobietami, którzy ze złożonymi dłońmi i wzniesionymi w górę głowami spokojnie modlili się w płomieniach, albo z ciężarną kobietą, która rozpękała się w liżącym ją ogniu, wiedziałem, że to wszystko istnieje, i że ja sam to wszystko wymyśliłem.

POWRÓT DO OEGSTGEEST

Dziś rano przejechałem obok domu, w którym dawniej mieścił się nasz sklep. Jest tu teraz bank dla drobnych ciułaczy. Zapragnąłem wejść i zapytać, czy mogę jeszcze raz obejrzeć dom. Lecz nie zrobiłem tego, ponieważ bałem się, że w moim pokoju na strychu stać będą regały z teczkami i segregatorami. A także z obawy, że nie zobaczę już wielkiej jabłoni, którą mój ojciec zasadził pośrodku ogrodu. Powiedział kiedyś, gdy z początku drzewko nie rośnie tak bujnie, jak oczekiwał: „Kto sadi drzewo, sadi je dla swoich dzieci.” Sprzątaczką pastowała właśnie kamienny podest, który niegdyś ja sam tak często szorowałem. Zawróciłem i wjechałem na plac przed garażem naprzeciwko naszego domu. Podczas wojny Niemcy po całych dniach majstrowali tu przy swoich samochodach. Znajdował się wśród nich ciemnowłosy żołnierz, który był bardzo miły i często dawał chleb okolicznej dzieciarni. Kiedy chowano mojego brata, a przed domem formował się orszak pogrzebowy, on leżał na derce pod samochodem. Wydostał się spod niego, wytarł ręce w bawełnianą szmatę, a potem podszedł do krawężnika, zdjął czapkę i stanął tak z pochyloną głową. Widziałem przez tylne okienko w dorożce, że odszedł dopiero wówczas, gdy z ulicy wyjechał ostatni pojazd. Kiedy wieczorem moja siostra opowiedziała o tym ojcu, ten odparł posępnie: „Kto wie, ilu zastrzelił takich, przed którymi nie zdjął czapki.”

Dopiero gdy wysiadłem z samochodu, spostrzegłem, jak mało zmienił się tu nastrój od ostatnich miesięcy wojny. Ten sam odarty z farby garaż, stare ciężarówki, na których brakowało jedynie wojennych barw. Pomyślałem, że kiedy się odwrócę, zobaczę pomalowane na biało okno naszej wystawy i poczuję zapach leżących na niej cukrowych buraków. Ale sprzątaczką wciąż jeszcze pastowała wejście. Przeszedłem przez ulicę i ruszyłem ku domowi sąsiada. Drzwi otworzyła mi jego żona, jego nie było w domu.

– Od razu wiedziałam, że to ty – powiedziała. – Kiedy zobaczyłam twoją twarz przez szybę, powiedziałam sobie: To Jan. To już siedemnaście lat – bąknęła, gdy wchodziłem za nią do pokoju.

Rozkład domu jest dokładnie taki sam jak naszego, jedynie proporcje są nieco inne, ponieważ tu nie ma sklepu. Dawniej też zawsze miałem to uczucie, gdy tu przychodziłem, jakby śnił mi się nasz dom. W regale stali jeszcze w jednym szeregu i wciąż na tym samym miejscu *Socjaliści* Quacka, lecz czerwone tomiki Gortera zastąpiono jego dziełami zebranymi. Dalej rozpoznałem po szarym grzbiecie, na którym nie widniał żaden tytuł, *Rady Robotnicze* profesora Pannekoeka, i obok broszurę Lenina *Dziecięca choroba „lewicowości” w komunizmie*. Nad kredensem wisiała niewielka martwa natura z dzbankiem nasturcji, która teraz znów przywiodła mi na myśl puszkę na słodkie sucharki mojej matki: widniał na niej wianuszek tych samych kwiatków i okrągłych listków. Gdy zajrzałem na werandę, pomyślałem nagle o rozmytych obrazkach umieszczonych na butelkach octu pod paskiem cienkiego papieru, przez który ledwo przeświecała ilustracja. Długo zachowywały wypukły kształt skutkiem okrągłości butelek: Ojczulek Długonóg, Duch w Butelce. I te obrazki firmy Verkade. Sucharki były górą z ryżowej kaszy, przez którą należało się przegryźć do następnej ilustracji: dumnego bielika czy barwnych wron na śniegu. Jasio Wieżowron. Znałem jeszcze początkowe wersy na pamięć: Napinając mięśnie i ścięgna aż po kres wytrzymałości mknął Jasio Wieżowron w przestworzach. Lecz choć bił skrzydłami najszybciej jak potrafił, nie mógł się jednak uwolnić od swego niezmordowanego prześladowcy (a był nim bielik). Rozdziały „Jesienna tęsknota”, „Zimowa udręka”. Gdy na opakowaniach pojawiły się obrazki do albumu z rybkami akwaryjnymi i zwierzętami z terrariów, wielka beczka na sucharki w sklepie przemieniła się w zbiornik pełen tajemniczej wody z krewetkami i zawilcami morskimi na dnie, gdzie radośnie pływała pasiasta brzanka sumatrzeńska albo gdzie wygrzewała się w słońcu salamandra ognista z robakiem podobnym do czerwonego

wąsika w pyszczku. Przynieść opakowanie sucharków ze sklepu oznaczało nurkowanie do dna beczki i wynurzenie się z morskim zwierzęciem czy gadem. Kiedy kryzys zaznaczył się w sklepie tak wyraźnie, że w beczce nawet dna nie pokrywały już opakowania sucharków, a ona sama stała się schronieniem dla myszy, mój ojciec wyniósł ją do ogrodu i nie bardzo wiedział, co z nią dalej począć, bo była za duża, by stać w komórce. Mój brat zauważył, że z powodzeniem mogłoby w niej spać kilkoro dzieci; wszyscy potraktowali to jako żart, choć znając ojca nie wykluczam, że kiedy przybyło mu więcej dzieci, rozważał także i tę możliwość. Ja od razu znalazłem dla niej zastosowanie, miałem jednak dość rozsądku, by odczekać, żeby zaaklimatyzowała się w nowym miejscu. Gdy wszyscy do niej przywykli i już na dobre wrosła w obraz ogrodu, pewnego popołudnia przesmykiem między domami naznosiłem niepostrzeżenie tyle piasku, że nie tylko pokryłem nim dno beczki barwy ochry, ale miałem go jeszcze dość, by tu i ówdzie usypać wzgórze i wyżyny. Z kamieni ułożyłem coś na kształt stawu, obłożyłem go kępkami mchu i gdzieś tam rozmieściłem grupy roślin. Przy tylnej ścianie zbudowałem wspaniałą wznoszącą się labirynt z kory i pni drzew. A potem przeniósłem tam jedną po drugiej wszystkie moje ropuchy z terrarium. Natychmiast zaczęły ciekawie penetrować nowy teren, pewnie dlatego, że miały tu tyle przestrzeni i może wydawało im się, że są na wolności. Aż jedna z nich doszła do bocznej ściany i na próżno usiłowała wdrapać się na nią. Mimo to czułem się szczęśliwy. Ból brzucha spowodowany uciskiem krawędzi beczki był jeszcze silniejszy niż dawniej, gdy musiałem wyjąć z niej opakowanie sucharków, ale przecież i tak już ze sto razy przedtem wisiałem przewieszony przez nią z nogami w powietrzu. Odnosiłem wrażenie, jakby wszystkie tamte opakowania sucharków firmy Verkade z obrazkami były zaledwie

obietnicą tego, co teraz miałem w beczce. A także ogarnęło mnie uczucie, jakbym uszczknął coś z władzy, z mocy mego ojca, lub jakbym – jak to on mówił o katolikach – utworzył „państwo w państwie”. Toteż z napięciem i strachem czekałem na jego powrót do domu. Kiedy wszedł z moim bratem do pokoju, matka powiedziała głosem, w którym słyhać było, że akceptuje to, co się stało, choć ostateczną decyzję pozostawia jemu: „Zajrzyj koniecznie do beczki po sucharach.” Natychmiast popędził do ogrodu i pochylił się nad terrarium. Zdenerwowany stałem z boku i w napięciu wpatrywałem się w jego twarz. Jego oczy i brwi wyrażały przychylność, gdy jego wzrok prześlizgiwał się po miniaturowym krajobrazie, lecz jego usta i wąsik Hitlera pozostały zacięte, gdy powiedział: „Ten kawałek raju jest właściwie o wiele za piękny dla tych światłowstrętnych zwierząt.” Pojąłem, że odniosłem zwycięstwo, i natychmiast zacząłem opowiadać mu w podnieceniu, jakie to jeszcze inne zwierzęta zamierzam tu dołączyć. Ale nie sądzę, żeby zwiększyło to jego entuzjazm. Tylko mój brat wciągnął głośno zapach sucharów, który mimo wilgotnego mchu i zgniłej woni pieńków drzew nigdy całkiem nie wywietrzył, i powiedział: „Jakie to było smaczne i chrupiące.” Wydaje mi się, że mój ojciec dopiero wówczas uświadomił sobie, co się zmieniło. Bo jego twarz się zachmurzyła.

Przeszedłem przez werandę ku oszklonym drzwiom i zobaczyłem nagle, że komórka z szarego pumeksu, którą mój ojciec wznosił własnoręcznie na tyłach naszego ogrodu, zniknęła bez śladu. I pomyślałem o jego modlitwie, gdy prosił Boga: „Zachowaj dzieło naszych rąk.” Tam, na tym pustym miejscu, z łebkami na wydrążonym od uderzeń siekiery pieńku straciły życie moje króliki. Flamandzki olbrzym, samiec; przez jakiś czas siedział w jednej klatce z kaczką, która zawsze układała się do snu w puszystym futerku na jego karku, ciekawie opierając główkę między jego uszami. Nic to nie pomogło, także i jego powalił cios siekiery. Dokładnie w to miejsce, gdzie przesiadywała senna kaczka. Holenderczyk, który po pierwszym ciosie, kiedy mego ojca nagle wywołano na chwilę, wykuśtykał krzywawo z komórki. A ojciec, gdy wrócił, zawołał: „Nie mogę, nie potrafię.” I darowano mu życie. Wyściskałem mego ojca za to jak szalony, ale następnego ranka i tak królik już nie żył. „Tak musiało być”, powiedział ojciec. Patrzyłem na miejsce, gdzie stała komórka. Nie pozostał nawet kamień na kamieniu. Zachowaj dzieło naszych rąk. Tak musiało być, pomyślałem i odwróciłem się do sąsiadki, która właśnie podawała herbatę.

– Rozebrano komórkę – odezwałem się. Stanęła obok mnie.

– Tę waszą – powiedziała – tak, nie ma jej już od lat. Jeszcze widzę, jak stawia ją twój ojciec. Robił ją całkiem sam, w słońcu, z podwiniętymi rękawami. Pamiętam to niewiarygodnie upalne lato. Po całych dniach siedziałeś i wpatrywałeś się w niego. Byłeś jeszcze, o, taki. Kiedy ściana sięgała już czubka twojej głowy, ojciec często wsadzał cię do środka. I wtedy wystawały tylko twoje blond włosy.

– Jakimi ludźmi byli moi rodzice? – spytałem.

– Och, to wspaniała para, jacyż to byli piękni ludzie – powiedziała. – Wszyscy o tym mówili. Twoja matka była taka piękna, taka pulchna, ale nie za bardzo, i też nie taka – powiedziała wykonując kilka nieporadnych ruchów, którymi starała się wyrazić rozhukanie i kokieterię. – A twój ojciec z tymi czarnymi włosami i ciemnymi, płonącymi oczami. Tyle, że trochę uparty. Boże mój, Boże, jakiż to był uparty człowiek. Kiedy rozmawiało się z nim o liturgii czy polityce, nigdy nie przyznał innym racji. Zawsze obstawał przy swoim. Kosztowało go to wielu klientów, bo jak się ma interes i nie mówi ludziom tego, co chcieliby usłyszeć, to wtedy można pakować manatki.

– Czy to dlatego sklep całkiem podupadł? – spytałem.

– No nie, to były takie wspaniałe czasy – powiedziała pogardliwie. – A przed wyborami wywieszał zawsze w oknie plakat Colijna. Poza tym tyle dzieci, od tego nawet bogacz stałby się żebrakiem. Ale z początku nie, najpierw wszystko szło jak po maśle. Bo pamiętam jeszcze, jak ludzie z sąsiedztwa mawiali: „Chodzą ubrane jak dzieci lekarza.” Tak dostatnio żeście wyglądali. Tyle, że było was zbyt wiele. Jestem pełna szacunku dla twojej matki, jak starała się w miarę możliwości poradzić sobie ze wszystkim. Cóż to była za obrotna kobieta. Ale przecież nie mogli was pozamykać. Kiedy ojca nie było i twoja matka obsługiwała klientów, coraz to ty czy któreś z twoich braciszków czy siostrzyczek wchodziło do sklepu z opuszczonymi majtkami, albo któremuś trzeba było obetrzeć nos. Zza drzwi zawsze wyglądało parę dziecięcych główek. A ludzi tego nie lubią.

– Czy mogę wyjść na chwilę do ogrodu? – spytałem.

– Tam nie ma nic do oglądania – odpowiedziała. – Żebyś tylko nie nanosił ziemi do mieszkania.

Otworzyłem drzwi werandy, wyszedłem na dwór i wkroczyłem niczym Guliwer do krainy Liliputów, tak małe stało się wszystko dookoła. A przecież zawsze musiało być takie małe, uprzytomniłem sobie z dziwnym uczuciem w żołądku. W kilku krokach dotarłem na tył ogrodu. Usunięto furtkę, a przesmyk między domami zlikwidowano, tak że już nigdy więcej żaden chłopak nie będzie tam mógł podnosić płyt chodnikowych, by zobaczyć, czy nie siedzą pod nimi na wpół wyschnięte salamandry czy pędraki. Zresztą na suchej ziemi, po której biegły regularne rysy po grabiach, nie pozostała ani jedna płyta. Pochyliłem się i spojrzałem przez kratkę otworu wentylacyjnego w wysokim murze garażu. Taki sam półmrok jak dawniej, ten sam zapach benzyny. Tylko inne były samochody. Nie miały już tych szerokich błotników i kawałków metalowych plastrów miodu, osłaniających od przodu silnik. Ani też stopni czy połyskujących lamp. Ale kiedy się wyprostowałem, miałem jak dawniej w oczach łzy od przeciągu i pyłu rdzy z wentylatora. Przez otwarte drzwi werandy sąsiadka zawołała, że stygnie herbata. Widziałem jej szarą sylwetkę w oknie, jej twarz z opuszczonymi kącikami ust. Ale jeszcze nie wróciłem. Oparty o mur garażu patrzyłem wciąż zażawionymi oczyma przez poźółkłe drzewka na nasz dom. Był taki zadbany. Ani śladu plam na drewnie, gdzie latem wskutek słonecznego upału tworzyły się wielkie bąble, jakby drewno próbowało odetchnąć przez warstwę farby. I jakby protestowało przeciw tej okropnej zielonej barwie, która powstała wskutek ubóstwa, ponieważ mój ojciec musiał mieszać wszystkie resztki farb. Jako dziecko nie byłem w stanie powstrzymać się od jej zeszkrobывania. Dłubałem tak długo, aż ją przebiłem i znów pojawiała się gołe miejsce. Z werandy zniknęły kępy rojnika i nie było już regału z półką pełną niebieskich kótek, gdzie stały mokre torebki niebieskiej farbki firmy Reckitts. Wszystko było tak blisko, wydawało mi się, że mógłbym

wszystkiego dotknąć wyciągniętą ręką. W jaki sposób potrafiłem wypełnić jako dziecko tę odległość tak wielką przestrzenią.

Tylko ukośne okienko mojego pokoiku na strychu wyglądało nadal nieco zapuszczone i zdawało się leżeć o wiele dalej. Ale może brało się to stąd, że chcąc przez nie wyglądać, musiałem uprzednio stanąć na krześle, by przez zamazane szyby spoglądać ponad dachem garażu w dal, ku szczytom drzew w Endegeest i cebulastej wieżyczce ratusza.

SKALA OCEN

„Płakały niemal wszystkie dzieciaki, ale nie ty. Ty tylko przygryzłeś dolną wargę.” Matka opowiada to zawsze, ilekroć pytam ją o początek mojej nauki. Zachowała wspomnienie owego pierwszego dnia, nieco bolesne, jak ostateczne odcięcie pępowiny. Bo kiedyś powiedziała mi: „Kiedy poszłam po ciebie o dwunastej, myślałam: teraz to już na pewno rzuci mi się na szyję, teraz pojawią się łzy. Ale nic podobnego, nie powiedziałaś ani słowa, szedłeś tylko cicho jak myszka obok mnie. Dopiero po długim naleganiu powiedziałaś: «Nasza pani nazywa się Vink.» Kiedy byłeś w drugiej klasie, ona odeszła ze szkoły. Całymi godzinami siedziałeś na schodkach przed sklepem i płakałeś.”

Pani Vink! Nie potrafię sobie wyobrazić, że ona jeszcze żyje. To wszystko tak głęboko zapadło w moje wspomnienia, wydaje się tak odległe, że w moich myślach wszyscy z tamtych czasów dawno już umarli. Lecz ona nie może mieć dziś więcej jak pięćdziesiąt pięć lat. Ale że nigdy się z nią nie ożenię, wiedziałem już na tym szkolnym zdjęciu, na którym tak posępnie wpatruję się w ziemię. Niewiele brakowało, bym dopchał się do niej, lecz między nią a mną stoi wysoki chłopak z zadowolonym z siebie uśmiechem i przechyloną w jej stronę głową. Objęła go, jej ręka spoczywa na jego lewym ramieniu. Na zdjęciu widać, że wpatruję się w ziemię, żeby nie widzieć tej dłoni, jej dłoni, tuż przy moim prawym uchu. Zagięła palce, wsuwając ich czubki pod jego wełnianą kamizelkę. Stoimy poza szkolnym dziedzińcem tuż przed bramą. Tło wypełnia mroczna sylwetka czerwonego buka. Fotograf ustawił swój statyw chyba między torami wózków ciągniętych przez wariatów. Byli do nich zaprężeni jak zwierzęta. Klnąc głośno i wydając dzikie ptasie dźwięki przechodzili zawsze przed naszą szkołą w drodze z zakładu do ogrodu warzywnego.

Nasza szkoła leżała między dwoma zakładami dla umysłowo chorych. Idąc do niej przechodziłem obok zakładu oddzielonego od drogi jedynie wąskim rowem. Bramy były otwarte dzień i noc. Między wysokimi, gładkimi pniami buków widać było wielki biały pawilon, który przywodził mi na myśl pocztówkę z Niemiec. Ludzie mówili, że przebywali tu lepiej sytuowani pacjenci. Nieco dalej, po przeciwnej stronie ulicy, za wysokim ogrodzeniem obwiedzionym od góry drutem kolczastym stał budynek zwany po prostu domem wariatów, gdzie przebywali mniej zamożni; mój ojciec powiedział, że jeśli jest się biednym, to z pewnością ma się innego fioła, niż kiedy się jest bogatym. I to była prawda. Bo w oknach pawilonu widziałem czasem, jak ktoś dziwacznie podskakuje czy osobiwie gestykułuje, lecz nigdy nie bez pewnej elegancji. Jakby tam w środku wystawiano sztukę teatralną, w której każdemu wolno było samemu obmyśleć, co zrobi czy jak się zachowa, byle to tylko było zwariowane. Nigdy nie widywało się tam wulgarnej gestykulacji czy złowrogiego gapienia się spod zmarszczonego czoła jak po drugiej stronie za ogrodzeniem. A o tym ogrodzeniu mój ojciec powiedział, że zrobili je za ciasne. Chciał przez to powiedzieć, że pan Savijn, który każdego miesiąca przychodził sprzedać nam paczkę herbaty, podczas gdy to my sami mieliśmy przecież sklep, też się tam powinien znaleźć. Ale matka i tak ją od niego brała, nie potrafiła mu odmówić. Zdaniem ojca pan Hercules oczywiście też powinien tam trafić. Gdy przechodził koło naszego domu, kruchy, ze swą przezroczystą twarzą i śnieżnobiałym morskim wąsikiem, ojciec zawsze mawiał kręcąc głową, że ten dureń wierzy, iż po śmierci przemieni się w małą. Gdy kiedyś w wybiegu dla jeleni karmiłem je papierem gazetowym, czym były zachwycone, podszedł do mnie wściekły i powiedział, że zakłócam rytm przyrody. Pomyślałem

wtedy, że pewnie się boi, że kiedy będzie małą, także znajdą się chłopcy, którzy wtykać mu będą papier przez kratę.

Na klatce schodowej naszej szkoły wisiały tablice z symbolicznymi wizerunkami przemysłu, rolnictwa, rybołówstwa i hodowli, wykonanymi wedle kanonów Jugendstil. Było tam też okno z matowego szkła, w którym przezroczyste pozostały jedynie ozdobne litery dwóch napisów: „Wiedza to potęga” i „Którzy wcześniej mnie szukają, znajdą mnie”. Teraz sentencje te wydają mi się ze sobą sprzeczne, lecz z początku, gdy jeszcze nie potrafiłem czytać, miały w sobie coś z fascynującej tajemnicy. Jakby czyjaś niewidzialna ręka wypisała na tafli lodu złowieszcze przesłanie. Jak w Biblii, gdy zapowiedziany zostaje upadek państwa Baltazara: *Mene mene, tekel ufarsim*. Później, gdy potrafiłem już czytać, zdania te nadal pozostały tajemnicze, ponieważ nigdy nie dotarło do mnie ich znaczenie. W korytarzu pod wieszakami stały chodaki dzieci spoza wsi, niekiedy leżał w nich bąk czy czerwono-czarne jojo. A z boku, na wysokim wieszaku, mającym jedynie trzy haczyki, wisiał płaszcz pani Vink, na który spoglądałem od razu, gdy tylko wszedłem do środka. Zawsze wieszałem moją pelerynę na najbliższym pustym haczyku, a gdy się spóźniałem, chowałem na chwilę twarz w jej płaszcz, tak że mój nos całkiem zniknął w jego fałdach. Bałem się zawsze, że ktoś może mnie na tym przyłapać i pomyśleć, że wycieram sobie nos w jej płaszcz. A jeśliby jeszcze obejrzał wewnętrzną część mojego rękawa przy przegubie, co często czyniła moja matka mocno kręcąc przy tym głową, to podejrzenie takie nie wydałoby mu się nieuzasadnione, bo materiał był tam śliski i połyskliwy, jakby regularnie spacerowały tamtędy ślimaki. Zawsze też coś mnie korciło, żeby wsadzić rękę do kieszeni jej płaszcza. Nie żeby coś stamtąd wyjąć czy obejrzeć, lecz ot, tak sobie, by dotknąć drobnych przedmiotów i posłuchać chrzęstu trących o siebie muszelek kauri. Zawsze miała ich kilka przy sobie. Była w Indonezji, i przywiozła stamtąd całe pudełka po cygarach i słoiki po dżemach pełne tych

muszelek. Jeśli ktoś bardzo się starał, dawała mu ich kilka. A kiedyś, gdy wręczałem jej karteczkę starannie zapisaną zwróconymi w górę i w dół laseczkami, powiedziała, wtykając mi w dłoń dwie muszelki: „Te muszelki to pieniądze ludożerców.” I zawsze przypominałem sobie o tym ze zgrozą, gdy latem przechodziliśmy w niedzielę wzdłuż kanału i mijaliśmy piec wapienny, obok którego leżały całe góry muszli.

Jedyną osobą, która na jakiś czas wyparła panią Vink z moich myśli, była ciemnowłosa dziewczynka z mojej klasy, której oczy, nos i usta znajdowały się w tak niewielkim oddaleniu, że podobna była do zwierzątka. Miała zdrowe, białe zęby drapieżnika. Lecz o niej rozmyślałem jedynie tuż przed snem. W myślach katowałem ją gołymi rękami. To znaczy, leżałem przy niej tak blisko, że nie widziałem, co robię. Ale grzebałem w jej ciele rękami, wywlekając z niego wszystko. Miało to coś wspólnego z zabawą w rzeźnika, jakiej oddawałem się z moimi braciszkami i siostrzyczkami w naszym domu na strychu; obmacując się nawzajem wskazywaliśmy części ciała, które pragnęliśmy nabyć. Bo na końcu tamta dziewczynka wisiła zawsze do góry nogami niczym krwawy strzęp mięsa na haku. Ta wizja pojawiała się niezależnie od mojej woli, tuż przed zaśnięciem. Kiedy wieczorne światło przenikając przez kłodrę tworzyło nad moją twarzą czerwony mrok. W ciągu dnia, gdy na nią patrzyłem, starałem się o tym nie myśleć. Tylko tym białym zębom nie potrafiłem się oprzeć. Kiedy się śmiała, tamto zjawiało się natychmiast, mima wszystko, po prostu w biały dzień. Działo się to pewnie także za sprawą naszego otoczenia. Zakłady, których pacjenci w dni odwiedzin przechadzali się wraz z najbliższymi po alejkach albo siedzieli na ławkach. Drobną, niepozorną matką z synem kolosem, bezwonną górą mięsa o sterczących włosach, któremu małeńką, zwiniętą chusteczką obcierała śluz płynący z rozdziawionej gęby. Karmienie słodyczami, wtykanie bananów w wielkie, blade dziecięce twarze, które zdawały się rozpadać ze zdziwienia i których nie scalała żadna ludzka cecha. Które powinny być porośnięte włosami, by nie pozostawić najmniejszej wątpliwości, że są to bezradnie i bezwolnie człapiące zwierzęta, których kierunek marszu zmienić można było tylko pohukiwaniem i razami kija. I miłością oraz rodzicielskim rozpieszczaniem. Lecz gdy pora wizyt i spacerów

dobiegła końca, wszyscy oni stawali jak bez życia za ogrodzeniem, a na machanie i głośne wołanie „do widzenia” nie reagowali choćby najślabszym odruchem rozpoznania. Czasem, gdy rodziny już odeszły, któryś z nich podskakiwał kawałek wzdłuż ogrodzenia na ugiętych nogach, lecz potem zatrzymywał się nagle, odwracał i z wysokim wrzaskiem znikał w zaroślach. To mógł zobaczyć każdy. Lecz ja wiedziałem, że dzieją się tam jeszcze gorsze rzeczy. Siedząc kiedyś w ubikacji usłyszałem przez uchylone drzwi, jak jeden z pielęgniarzy mówił w sklepie do mojego ojca: „To zbrodnia wobec Stwórcy, że oni coś takiego utrzymują przy życiu. Są tam niektórzy z takimi głowami, a ciała prawie nie widać. Pływają we własnych odchodach, a mózg po prostu wylewa im się z głowy. Co do niektórych nie wiadomo nawet, czy coś widzą albo słyszą, nie wykonują najmniejszego ruchu. Po prostu leżą. I mimo wszystko przychodzą rodzice, żeby pomachać ręką czy zawołać hop hop. Trzeba tam trochę popracować, żeby móc sobie to wyobrazić.” Od tamtej pory strychy tych surowych budynków leżących w oddali między mrocznymi drzewami zaludniły się w mej wyobraźni odrażającymi istotami, które nie leżały nawet w łózkach, lecz na wilgotnej ziemi, lub pływały w akwariach. Istoty między rośliną a zwierzęciem, o głowach podobnych miękkim melonom, których ciało rosło niczym konary i liście. Którym być może przesunięcie ich bezkształtnych członków o pięć centymetrów do przodu zajmowało długie tygodnie, które były przezroczyste, tak że widać było położenie organów, jak u rybki czy nagiego pisklęcia, które niczym meduzy roztopiłyby się w kałużę błota, gdyby znalazły się na słońcu. Na wszystkie te okropności pomagały jedynie oczy pani Vink. Codziennie rano następowała ta ucieczka do bezpiecznej klasy. Także i dlatego płakałem wiele godzin na schodkach przed sklepem, gdy odeszła, bo gdy po niej przyszła do nas panna Hakkenberg, mogło się wydawać,

że do klasy wdarł się obłąd z zakładów. Okaleczony chrząszcz, który kulał po klasie w wysokim, podobnym do staroświeckiego żelazka czarnym bucie na lewej nodze. Na palcu miała pierścionek bez oczka. Kiedy ktoś zrobił coś, co jej się nie podobało, tłukła delikwenta swymi knykiami po głowie, tak że niekiedy pozostawał na niej mały kwadracik od oprawy. Gdy pokazałem go w domu, powiedzieli: „Na pewno na to zasłużyłeś.” Pewnego razu jeden z obłąkanych tuż pod oknem naszej klasy wbił łopatę w czaszkę pielęgniarki. Z początku dobiegały stamtąd mamrotliwe przekleństwa, które przeszły w zwierzęce dyszenie. Stanowczy głos pielęgniarki. Panna Hakkenberg powiedziała, że mamy się nie odrywać od pracy. A wtedy rozległ się nagle tępy odgłos uderzenia, jakby ktoś na plaży wbił szufelkę w mokry piasek nad samą wodą. Zanim stanęliśmy w ławkach, żeby wyrzeć na dwór, panna Hakkenberg zaciągnęła już zasłony. Ale nie stłumiły one przekleństw i pomruku. Wtedy chwyciła skrzypce i zagrała szybką taneczną melodię. To tylko powiększyło mój przestach, bo wyglądało to tak, jakby i w nią wstąpiło szaleństwo zza okna. Zwykle bowiem gdy śpiewaliśmy psalmy, akompaniowała nam dość niemrawo. Po wyjściu ze szkoły zobaczyliśmy, że między torami wózków rozsypało piasek, przez który przesiąkała krew jak przez opatrunek.

Niedługo potem, gdy mieliśmy po raz pierwszy pisać piórem i atramentem, wciąż przypominała mi się tamta zakrwawiona łopata, ponieważ w naszej klasie unosił się zapach żelaza. Byłem wskutek tego tak rozkojarzony, że nie usłyszałem, jak nasza pani mówi, że trzeba poślinić pióro, nim się je zanurzy w atramencie. Toteż na moim papierze nie pojawiła się ani jedna kreska. Wypinając pierś do przodu i podnosząc palce czułem zapach gumy mojej nowej suszki, która miała kształt małego słonia. Była ceglasczerwona i stała na zielonej podstawce, która składała się z dwóch warstw. Guma wyglądała jak mech. Kiedy pani wreszcie uniosła wzrok zza młynka do ostrzenia ołówków, a ja powiedziałem, że moje pióro nie pisze, zsunęła się ze swego krzesła i podeszła do mnie. Gwałtownie wyrwała pióro z mojej dłoni, zanurzyła je tak mocno w kałamarzu, że czubek stalówki wydał na dnie odrażający dźwięk, i obejrzała je uważnie. Potem trzepnęła mnie swymi knykциями w głowę, że aż poczułem się tak, jakby moje włosy w tamtym miejscu były jeszcze krótsze, i zaskrzeczała, że ja się chyba nigdy nie nauczę słuchać. Później po prostu otarła pióro o słonia i wsadziła je do ust. Zanim znów wetknęła je w atrament, zdążyłem jeszcze zobaczyć, że w zagłębieniu stalówki zawisło trochę żółtawej śliny z pęcherzykami powietrza. Potem na marginesie pierwszej strony mojego nowego zeszytu zrobiła kreskę z taką siłą i rozmachem, że aż rozdzieliła się stalówka pozostawiając dwie osobne linie. Po czym wetknęła mi obsadkę w dłoń. Nim się odwróciła, pstryknęła jeszcze od niechcenia mojego słonia, tak że się przewrócił, i powiedziała: „Jutro przyniesiesz prawdziwą suszkę. Żadnych zabawek na ławce.”

Następnego dnia miałem przed sobą na ławce suszkę z ciemnoczerwonej skóry, między którą znajdowało się kilka skrawków zamszu. Całe szczęście, bo pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było sprawdzenie, czy zastosowałem się do jej polecenia. Skinęła głową niemal z żalem. Lecz jeszcze tego samego tygodnia mogła powetować sobie to rozczarowanie, bo odebrała mi okarynę, którą z odległości wyrzuciła do kosza na śmieci. A także dwie muszelki, które dostałem jeszcze od pani Vink i przechowywałem w mojej kasetce pod ławką, by popatrzeć na nie od czasu do czasu. Moja wrogość do niej stała się tak wielka, że chłopakowi z klasy opowiedziałem o niej całą historię. Że nie sypia w domu, ponieważ ma ciągle potworne napady wściekłości, w trakcie których budzi sąsiadów krzykami. I że dlatego każdego wieczora jest zabierana przez dwóch mężczyzn z zakładu, którzy zamykają ją w obitej watą skrzyni, a do lewej stopy przywiązują jej poduszkę, bo swym masywnym czarnym butem już dwukrotnie rozbiła wieko. I że gdy rano otwierają skrzynię, ona leży cała w ślinie i pianie.

Później, gdy odszedłem ze szkoły, widywałem czasem pannę Hakkenberg jadącą alejkami na wysokiej damce. Gdy patrzyło się na nią od przodu, odnosiło się wrażenie, że jedzie na stojąco, albo że siedzi dziwnie na skraju siodełka. Nie mogłem dojrzeć, czy ma jeszcze na palcu swój pierścionek bez oczka, bo latem i zimą jeździła w rękawiczkach. Z początku myślałem, że to ze wstydu. Że ukrywa knykcie, którymi potrafiła tłuc tak mocno. Ale teraz sądzę, że wkładała je po to, by odwrócić uwagę od tego dziwnego czarnego kawałka jej nogi, który zdawał się kręcić sam z siebie, jakby był przedmiotem.

Gdy tylko otwarto szkołę podstawową o kalwińskiej orientacji, moi rodzice zabrali mnie ze starej szkoły, gdzie liczyła się tylko Biblia. Na trzy miesiące przed końcem roku. Lecz sądzę, że nie tylko gorliwość w wierze skłoniła ich do powzięcia decyzji o tym nagłym przeniesieniu, bo kiedy patrzę dziś na moje stopnie u panny Hakkenberg, widzę, że jest bardziej niż pewne, że zostałem na drugi rok. Jeśli u pani Vink byłem oczywiście jednym z najlepszych uczniów, to u panny Hakkenberg musiałem chyba ulec całkowitemu umysłowemu zaćmieniu, bo przeważają oceny negatywne. Było wręcz tak źle, że kiedy odszedłem ze szkoły, przerobiłem skalę ocen na świadectwie, tak że obok 1 pojawiło się „celująco”, a przy 10 – „bardzo słabo”.

POWRÓT DO OEGSTGEEST

W sklepiku, gdzie kupowałem dawniej artykuły akwaryjne, stoi nadal ten sam łyśy mężczyzna. Tylko jego bujny wąs przybrał tymczasem śnieżnobiłą barwę. Ma już chyba z siedemdziesiąt pięć lat, ale ciągle tak samo się boi, żeby mu czegoś nie zepsuć, bo gdy oglądałem maleńką syrenkę z pokrytego glazurą fajansu, wyrwał mi ją szybko z rąk i powiedział, że to bardzo kruche. Kupiłem u niego woreczek piasku z muszelek, ponieważ stał na przodzie lady. Ale właściwie nie wiem, co miałbym z tym zrobić. Wszystko zostało zmodernizowane. Tylko unoszący się tam zapach torfu i tubifexu pozostał taki sam jak przed trzydziestu laty.

Za pierwszym razem gdy przyszedłem do niego, kupiłem pudełko suszonych dafni dla moich rybek. Widniał na nim napis: Skarmiać oszczędnie. Przez całą drogę do domu powtarzałem cichutko pod nosem: „Skarmiać oszczędnie”. Zacisnąłem oczy i rozmyślałem o tym głęboko. Gdy dotarłem do domu, wydało mi się, że w końcu zrozumiałem. Trzeba dać rybkom tyle, żeby im jeszcze zostało na później, gdyby znowu miały poczuć głód. Wsypałem połowę pudełka do wody. Następnego ranka, gdy leżałem jeszcze w łóżku, mój brat powiedział: „Popękały ci z przejedzenia.” Natychmiast wyskoczyłem z pościeli. Wszystkie unosiły się martwe w akwarium, jakby powyginane i z nadętymi brzuchami. Skutek był taki, że ojciec zabronił mi na długo trzymać w domu zwierzęta. Nie wynikało z tego nic prócz nowej biedy. Bo gdy mimo wszystko ustawiłem sobie po kryjomu w pokoju wazę z ciernikami, martwiłem się o nie tak bardzo, że pewnego chłodnego wieczora zabrałem je ze sobą do łóżka, ponieważ bałem się, że poskręca je reumatyzm. Nie zmrużyłem oka, dopóki mój brat nie położył się spać. Leżąc już obok mnie zapytał, dlaczego nie wyciągnę się jak zwykle na brzuchu. Powiedziałem, że boli mnie żołądek, ale on nie uznał tego za dostateczny powód, bym mógł leżeć z wytkniętym zadkiem zajmując więcej niż pół łóżka. Następnego ranka wszystkie rybki jeszcze żyły. Tylko z wazy wyciekło trochę wody i lękałem się jeszcze długo, czy matka nie pomyśli sobie, że zsiusiałem się w łóżko. A brat powiedział kręcąc głową, że te rybki mogą mówić o szczęściu, bo gdybym od bólu żołądka dostał gorączki, woda stałaby się o wiele za ciepła.

Zostawiłem samochód przed sklepikiem i poszedłem pieszo od naszego dawnego domu do mojej pierwszej szkoły. Tą samą drogą, którą jako sześciolatek chłopak przemierzałem codziennie czterokrotnie. Pośród pierwszych opadłych liści buka biegały zięby tak samo drobnymi kroczkami jak dawniej. Zupełnie jakby były nakręcane kluczykiem i w każdej chwili mogły zatrzymać się z nagłym szarpnięciem. Właściwie wszystko pozostało nie zmienione. Dom Parmentiera, dowódcy „Bociana”, wyglądał wciąż tak samo jak dawniej. W 1934 roku, po locie do Melbourne, w którym zajął drugie miejsce, stały tam pod ogrodzeniem tłumy ludzi, nagle zaczynających klaskać, gdy poruszyły się zasłony. Po prawej stronie, na ławce w lasku zakładu dla umysłowo chorych, siedziały dwie siwe, oddychające z trudem damy o prosto ustawionych patykowatych nogach. Obok nich siedziała pielęgniarka, wpatrując się nieobecny wzrokiem w wierzchołki drzew. Miałem wrażenie, że po trzydziestu latach podsunięto mi znajomy obraz, zakurzony i zapomniany. Na tarasie hotelu „Het Blauwe Huis” dowiedziałem się od kelnera, że panna Hakkenberg umarła zaledwie kilka lat temu. On też chodził do jej klasy. Trzy lata przede mną. Gdy stuknąłem się knykiami w głowę, powiedział: „No tak, każdy z nas to pamięta. Ale teraz jej piąstki wreszcie uspokoiły się na dobre.” Popijając kawę i spoglądając w głąb lasu zakładu dla umysłowo chorych zastanawiałem się, czy chowając pannę Hakkenberg zdjęli jej te wysokie czarne buty. Chyba byłaby to profanacja.

Usłyszałem nagle regularne, przypominające mlask odgłosy dobiegające z lasku. Ścieżką tuż za ogrodzeniem szła, gestykując chaotycznie i nieokiełznanie, grupa chłopców w zakładowych strojach. Ostatni ciągnęli niski wózek, na którym też siedziało ich kilku, grubych i pulchnych, pokładających się na sobie nawzajem, jakby byli ze sobą zrośnięci. Mięso w ubraniu. Za nimi szedł ciemnowłosy chłopak o chudej twarzy i długim nagim karku, który za każdym razem, gdy jego prawa noga wysuwała się w marszu do przodu, trzepał się mocno w udo. Jednocześnie unosił bukiet zwiędłych kwiatków do twarzy, a potem gwałtownym ruchem prostował ramię, jakby komuś salutował. Szedł tak patrząc tępo i melancholijnie prosto przed siebie.

Zapłaciłem kelnerowi, który, wskazując tamtą grupkę, powiedział, że widać znowu oleju nie dowieźli, i poszedłem do szkoły.

Gdy pewnego wieczora przed miesiącem przejeżdżałem obok niej, drzwi były otwarte. Zatrzymałem się i wszedłem do środka, bo pomyślałem, że pewnie pracują tam sprzątaczkі, które być może nawet się nie zainteresują, po co przyszedłem. Ale gdy spojrzałem przez szybkę w drzwiach mojej dawnej klasy, wystraszyłem się. W ławkach, o wiele za małych, siedzieli około dwudziestopięcioletni chłopcy. Przez chwilę opadło mnie paraliżujące uczucie, że to jest nasza dawna klasa, nadal tyranizowana przez pannę Hakkenberg. Lecz kiedy spojrzałem na katedrę, ujrzałem tam podobnego do sowy mężczyznę, który patrzył na mnie ze zdumieniem przez szkła swych okularów bez oprawki. Pewnie była to szkoła wieczorowa, lecz kiedy wracałem, nie opuszczało mnie uczucie, że oto pozostawiłem samego siebie między dawnymi uczniami w tamtej sali, gdzie czarny futerał na skrzypce panny Hakkenberg stoi jeszcze pewnie w kącie obok kosza na śmieci.

Dziś rano zatrzymałem samochód przed szkołą i przysłuchiwałem się przez chwilę głosom śpiewających dzieci. Potem ruszyłem w drogę powrotną. Wzdłuż ogrodzenia zakładu dla chorych umysłowo. W miejscu, gdzie kiedyś zostałem złapany przez wariata, kiedy usiłowałem zerwać pod ogrodzeniem surojadkę, leżała teraz, nigdzie nie skaleczona i połyskująca, martwa sroka. Zdechła chyba dzisiaj, bo jeszcze nie zapadły się jej oczy i nie oblażyły jej muchy.

Na Dorpsstraat minąłem mojego ojca. Miał w ręku pleciony wiklinowy koszyk i nie zauważył mnie. Zawróciłem i zrównałem się z nim. Szedł do sklepu Alberta Heijna, żeby odnieść trochę, pustych słoików i butelek. Podwiozłem go tam. Siedział nieco skulony obok mnie ze sztywno wyciągniętymi do przodu nogami. Był w nowych sandałach, w których jego stopy wydawały się małe jak stopy chłopca, ponieważ założył czarne skarpety. Pomyślałem o tym, jak kiedyś ja siedziałem na ramie z przodu jego roweru. Też trochę skulony i bojaźliwie odsuwając nogi jak najdalej od koła.

Kiedy patrzyłem na mego ojca, gdy tak kroczył sztywno po dziedzińcu, nagle zacisnąłem oczy. Nigdy nie widziałem, by chodził po innym sklepie niż nasz. Było w tym coś poniżającego, gdy szedł tak, stawiał swe słoiki i butelki przed sprzedawczynią i wyciągał rękę po zastaw. Dawniej zawsze mawiał o tego rodzaju sklepach: „Te wielkie cielska połkną nas bez reszty. Wyssą komara i pochłoną wielbłąda.”

W drodze powrotnej zapytał nieco podejrzliwie, dlaczego w ostatnim czasie tak często się tu kręcę. Nie odpowiedziałem. Gdy przejeżdżaliśmy obok naszego dawnego domu, powiedział z westchnieniem: „Tam to żeśmy się naharowali.” Dodał też jeszcze, wskazując z wyrzutem dom obok naszego, że nasza sąsiadka, pani Van Teeng, zmarła niedawno. „Jestem matką miłości”, powiedziałem naśladując jej głos. „Tak”, odparł, „to durne stworzenie. Znaleźli ją martwą przy kieliszku wina.”

W drodze powrotnej rozmyślałem przez cały czas o pani Van Teeng. Moja matka mówiła na nią zawsze „to straszdyło”. Istotnie, była to dość dziwna kobieta, lecz z początku chyba w ogóle jej nie spostrzegalem. Istniał tylko ogród, „Ten jej ogród”, mawiał zawsze mój ojciec pogardliwie, „to prawdziwa dżungla.” I tak właśnie było. Zielona kipiela chwastów wzrostu człowieka, która rozbijała się o nudę naszego ogrodu. Każdej soboty ojciec pełną chwasty motyką, lecz po kilku dniach z ziemi znowu wyłaniały się różowe kielki i strzelały w górę w zawrotnym tempie, tak że z czasem ojciec musiał odstąpić część naszego ogrodu wzdłuż ogrodzenia. Odstąpić niecierpkowi i innym dziwnym roślinom. I mnie. Moja matka wołała zawsze, gdy znikalem jej z pola widzenia: „Znowu siedzisz w tym śmietniku!” A wtedy wyłaniałem się na czworakach z tego zielonego półmroku, niekiedy błądy ze strachu przed wielkim czarnym owadem o szczękach podobnych do obcęgów, a także przed sznaucerem, który niczym szara bryła ziemi potrafił stać nieruchomo między łodygami, by nagle, niczym umięśniony demon, rzucić się z warknięciem do siatki. Później, gdy byłem starszy, któregoś dnia wreszcie ją zobaczyłem. Niczym zjawa przykucnęła niedaleko mnie wśród swoich roślin. Nie widziała mnie. Jej twarz była zielona i widniał na niej dziwny uśmiezek, który zdawał się nie do usunięcia. Zdejmowała opancerzone ślimaki z łodyg i liści i wkładała je do doniczki, mówiąc przy tam coś cicho do siebie. Czasem strącała ślimaka, który usiłował przeleźć przez krawędź. Nie słyszałem, co mówiła. Brzmiało to jak tajemne zaklęcia i ogarniał mnie coraz większy przestach, bo wiedziałem niemal na pewno, że ona z tych zwierząt warzyć będzie śluzowatą ciecz, którą przyjdzie mi wypić, jeśli mnie odkryje. W wyobraźni czułem już rozgniecione skorupki na moim języku. Kiedy podeszła tak blisko do ogrodzenia, że błękit jej sukni stał się widoczny jedynie jako kolor między łodygami, zabrakło mi

odwagi, by dalej patrzeć. Przywarłem tak płasko do ziemi, że dotykałem jej ustami. Tuż przed moją twarzą siedziała brązowa żaba. Można było pomyśleć, że mój dyszący oddech łączył się poprzez ziemię z jej drgającym szybko żółtym podgardlem. Poczułem, jak razem z żabą stapiam się ze strachu z ziemią. Nie wiem, jak długo tak leżałem, ale dopiero gdy usłyszałem jej kroki na podeście przed domem i skrzyp zawiasów w drzwiach kuchennych, ośmieliłem się podnieść. Także i żaba skoczyła gdzieś w bok. Kiedy wieczorem zapytałem mojego ojca, co ona robi z tymi ślimakami, odpowiedział mi, że pewnie je zjada. Ciarki przebiegły mi po plecach, a brat powiedział, że teraz rozumie, dlaczego ona się tak ślini przy mówieniu. Dopiero później dowiedziałem się, że pani Van Teeng spuszczała je z wodą w sedesie, bo objadały jej rośliny. Ale wtedy chyba bym w to nie uwierzył. Zbierała je z roślin tak ostrożnie, jakby się bała, że na liściu pozostanie kawałek ich bladego, oślizgłego spodu. Nie, gdy o tym myślałem, wyobrażałem sobie, że puszcza je na dzikie wino porastające całą ścianę werandy. I że tak się tam roi od ślimaków, że gdyby przesunąć ręką po winorośli, to od wszystkich tych czułków poczułoby się pluszowe łaskotanie w dłoń.

Kiedy miałem około ośmiu lat, dowiedziałem się, że jest spirytystką. W tamtym okresie przyjeżdżały do niej często w niedzielę całe autobusy z klientami, nawet z zagranicy. „Znów dzisiaj stół niezłe zatańczy”, mawiał wówczas mój ojciec. Lecz moc jej czarów zdawała się sięgać jeszcze dalej. Przywoływała ludzi, którzy zjawiali się niczym mary w jej ciemnym, wyłożonym aż po sufit perskimi dywanami pokoju. Ojciec mawiał, że oto wróciły grzechy z czasów króla Saula, i grał wtedy, jakby dla odegnania złych duchów, przez całe przedpołudnie na organach, podczas gdy matka śpiewała mu do wtóru swym pięknym, wysokim głosem. Lecz nic to nie pomogło. Pewnego razu, gdy tuż przy ogrodzeniu zajęty byłam budowaniem ze słomek i gałązek wysokiego stosu ofiarnego dla stonogi, jej twarz o wielkich, wodnistych oczach pojawiła się tuż przy mnie między roślinami po drugiej stronie metalowej siatki. „Widzem za tobom brązowego kapłana, brązowego kapłana”, powiedziała ze swym dziwnym akcentem. I natychmiast znów zniknęła. Nie miałem odwagi bawić się dalej. Wciąż oglądałem się za siebie, lecz nie widziałem niczego. Otworzyłem pudełko po zapalkach i wypuściłem stonogę, ale i tak rozdeptałem ją idąc do domu, by opowiedzieć o wszystkim mojej matce. „A to wariatka”, powiedziała. „Jakby jeszcze kiedyś zobaczyła coś za tobą, to masz powiedzieć, że ty widzisz za nią otwartą książeczkę kredytową, a w niej dwadzieścia osiem guldenów długu.” Czułem już wtedy, że nienawiść, jaką moja matka żywiła do pani Van Teeng, musiała mieć głębszą przyczynę niż jej czary. Być może wzięła się ona z tego, co kilka lat temu powiedział mi ojciec niskim głosem z wbitym w ziemię wzrokiem: „Jesteśmy tutaj między nami mężczyznami, ale co ta kobieta ośmieliła mi się proponować, nawet teraz nie chce mi przejść przez gardło.” Pamiętam jeszcze ciepły letni dzień, kiedy pani Van Teeng po drugiej stronie ogrodzenia podlewała węże winorośli. Przed naszym domem

powstała kałuża wody i mój mały braciszek wytkniętą z kojca ręką zaczął grzebać się w błocie. Matka wypadła na dwór i zawołała do niej, żeby natychmiast przestała. „A ja bende polewać”, odrzyknęła tamta. Wówczas moja matka przyniosła wiadro wody i chlusnęła jego zawartość ponad ogrodzeniem. Najpierw rozległ się przenikliwy wrzask, a w chwilę potem strumień wody skierował się pionowo w górę. Spadająca woda bębniąc tłukła o podest przed naszym domem. W kropelkach, które niczym mgła zawisły w powietrzu, zobaczyłem maleńką tęczę.

Od tamtej pory moi rodzice nie odzywali się do niej, i my też mieliśmy zachowywać się tak, jakbyśmy jej nie widzieli. Ale gdy byłem sam w ogrodzie, z tęsknotą i zgrozą zaglądałem ponad ogrodzeniem i chwastami do wnętrza jej tajemniczego i mrocznego pokoju. Gdy mnie widziała, kiwała do mnie przyjaźnie głową albo unosiła uspokajającym gestem rękę do góry. A potem znów spoglądała nade mną, jakby patrzyła na kogoś tuż za mną. Nurkowałem wtedy szybko między roślinami i wchodziłem do komórki, gdzie stawałem w bezruchu, jakbym się czemuś przypatrywał. Potem zaczynałem się obracać, jeszcze raz, i jeszcze raz, aż zakręciło mi się w głowie i miałem wrażenie, że rzeczywiście dostrzegam zjawę, która kręci się wraz ze mną. Kiedyś wystraszyłem się tak bardzo, że nagle przywarłem plecami do ściany. Stałem tak, zmartwiały z przerażenia. W miejscu, gdzie kończyła się moja czaszka, coś zimnego i ostrego dotykało mnie w kark. Gwóźdź, na którym mój ojciec wieszał łbem do dołu świeżo zabite króliki, by się wykrwawiły.

Od tamtej pory wiedziałem, że ta zjawą była śmiercią, a może nawet czymś jeszcze gorszym, gorszym od śmierci. Pustym miejscem, które pozostaje, gdy coś odchodzi na dobre, gdy czegoś nigdy już nie będzie nam dane zobaczyć.

SPRINGBOK I PERLIMOEN

W nowej szkole szło mi od razu znacznie lepiej. W ciągu ostatniego semestru drugiej klasy udało mi się nawet przemienić złe oceny na świadectwie z poprzedniej szkoły w siódemki i ósemki. Mimo to odnotowano w UWAGACH: „Jan przechodzi do trzeciej klasy. Musi tylko nieco mniej oddawać się marzeniom.” I rzeczywiście było to przejście nie lada, z tamtej szkoły, na wpół ukrytej pośród lasu, do tego brzydkiego budynku z czerwonej cegły przy ślepej przecznicy eleganckiej Rijnsburgerweg. Na rogu owej przecznicy na ślepych murach sklepu spożywczego widniał wymalowany szarą farbą wielki skaczący kozioł na tle ciemnoczerwonego koła. Poniżej znajdował się napis czarnymi literami: SPRINGBOK & PERLIMOEN – WINA Z PRZYŁADKA. Gdyby prześledzić ten wymyślony łuk, jaki określił kozioł wyskakując do góry, to musiałby on zapewne wyskoczyć ze środka szkoły. Musiałby przebić się przez dach w miejscu, gdzie na strychu stały w regałach wielkie tablice: Kanaan – ziemia obiecana, foka o smutnym wejrzeniu otoczona wiecznym odpływem, żmija niczym błyskawica pośród flory wrzosowiska. I przez tę wymyśloną dziurę sam najchętniej wyfrunąłbym ostatniego dnia owego roku szkolnego, gdy na strychu, specjalnie na tę okazję przekształconym w małą salkę teatralną, miały zostać odegrane krótkie scenki dla rodziców. Grałem w jednej z nich rolę, która była bardzo ważna, ponieważ krótkie zdanie, jakie miałem wypowiedzieć, stanowiło „kropkę nad i”, jak powiedział dyrektor. Pośrodku sceny znajdowało się okienko pocztowe, za którym siedział urzędnik. Był nim Frits Vreeken. Pewnie dlatego, że miał taką rudą głowę i ciągle wtykał sobie palec w tyłek, by podsuwać go każdemu ze słowami: „Powąchaj.” Przed okienkiem stała cała kolejka obsługiwanych kolejno dzieci z paczkami i listami. Byłem ostatni. Grałem rolę małego chłopca i musiałem przez cały czas stać na ugiętych kolanach. Gdy przychodziła kolej na mnie,

miałem oddać list, który Frits powinien był zważyć. Spoglądając z zaciętą miną na wagę pocztową miał powiedzieć do mnie: „Ten list jest za ciężki, chłopcze, musisz nalepić jeszcze jeden znaczek.” Na co ja miałem odrzec oburzonym piskliwym głosem: „Ależ proszę pana, wtedy będzie jeszcze cięższy”. I na tym koniec. Wydało mi się to taką bzdurą, że podczas spektaklu stanąłem bez słowa z zaciśniętymi ustami przed okienkiem. A Frits Vreeken powtórzył głośniejszym głosem przy tym głowę do przodu, tak samo jak wtedy, kiedy podtykał nam palec pod nos: „Ten list jest za ciężki, chłopcze, musisz nalepić jeszcze jeden znaczek!” Ja jednak nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Wówczas na podium wskoczył nagle dyrektor szkoły, złapał mnie za ramię, wcisnął brutalnie moją głowę w okienko i wrzasnął z furją tuż przy mojej twarzy, tak głośno, że jego ślina opryskała mi ucho: „Ależ proszę pana, wtedy będzie jeszcze cięższy!” Potem wypchnął mnie z podium za zasłonę. Na sali rozległy się krótkie, zakłopotane oklaski i tłumiony śmiech dzieci. Zderzyłem się z regałem na tablice i upadłem na pluszową zasłonę, w której Elly Lampet w poprzednim spektaklu grała królową. I wtedy pomyślałem o tamtym koźle, który w ciemnościach na dworze wyskoczył ze szkoły. I nawet przestałem się cieszyć, że zaczęły się letnie wakacje.

Dyrektor szkoły chyba nigdy mi nie wybaczył, że sam musiał postawić „kropkę nad i”. A może to tylko jego zaufanie w moją zdolność wyrecytowania tekstu publicznie uległo takiemu zachwianiu, że kiedy znalazłem się później w jego klasie, wbrew wszystkiemu nie potrafił już w to uwierzyć. Bo kiedy przeglądam moje świadectwa, we wszystkich klasach mam dziewiątkę z recytacji, podczas gdy u niego zawsze piątkę, co teraz mocno mnie dziwi, bo znałem wszystkie psalmy na pamięć. Zapewne zerknął po prostu na skalę ocen i bardziej kierował się słowem „wątpliwie” obok 5 niż moją recytacją. Jest też możliwe, że moje wyniki u niego rzeczywiście nie zasługiwały na więcej niż słabą piątkę, że moją pamięć za każdym razem, gdy stawałem przed klasą, paraliżował strach, że znów złapie mnie brutalnie za ramię i głośno wrzaśnie tuż przy mojej twarzy; „Boże, przyszli poganie do dziedzictwa twego, splugawili kościół twój święty, obrócili Jeruzalem w budkę na chowanie jabłek!”

Wszystko to jednak zdarzyło się później, gdy byłem w szóstej klasie. Póki co chodziłem do panny Steggerda. Lecz jej twarz nie wyłania się przede mną z przeszłości, choć tak często wymawiam jej nazwisko. Tak czy owak napisała na moim świadectwie za pierwszy okres: „Jan jest leniwy i nieposłuszny. W ostatnich tygodniach zaznaczyła się pewna poprawa.” A po drugim okresie: „Zachowanie Jana jest nieco lepsze, ale jego pilność nie jest jeszcze dostateczna.” Po trzecim: „Jan czyni postępy, ale stać go na wiele więcej, gdyby tylko bardziej się przykładał.” Lecz także z jej pisma nie wyłania się jej twarz. Czasem widzę blond włosy, ale na tym koniec, nie pojawia się nic więcej. Cały ten trzeci rok szkolny zniknął właściwie z moich wspomnień. Pamiętam tylko długie czarne szorty Fritsa Vreekena, opięte i błyszczące, gdy stał pochylony przy zabawie w kozła, a ja zsunąłem do przodu po plecach innych chłopców. A także obawę, że jeśli spadnę, będę musiał stanąć z głową między jego nogami, a on śmiejąc się skrycie będzie mógł spuścić mi na kark brudne, tłuste pierdnięcie. Widzę też jeszcze przed sobą krzewy przy ogrodzeniu boiska, na których rosły rozdęte strąki pękające gwałtownie, gdy się je przydepnęło.

W czwartej klasie trafiłem na pana Blendera. Był to nieco gburowaty mężczyzna o dużej kościstej głowie, który gdy zrobiło się coś, co mu się nie podobało, przystawał obok ławki swej ofiary i spoglądając ponad nią w okno wymierzał jej nagle mocnego szturchańca w głowę. Mówił krótkimi, szczekliwymi zdaniem. W szkole opowiadali, że przeżył nieszczęśliwą miłość i dlatego pozostał na całe życie kawalerem. Po moich świadectwach u niego widzę teraz, że był wrażliwym i wyrozumiałym mężczyzną. Oceny wyglądają na postawione nieomal z czułością, zawsze z plusikiem czy minusikiem. Ale ja nie miałem u niego kłopotów, bo za pilność i zachowanie stawiał mi zawsze pełne ósemki i dziewiątki. Pamiętam jeszcze wyraźnie słoneczne południe, które, sądząc po świetle słońca, musiało przypadać w jesieni. Stał przed klasą w brązowym garniturze w jasne prążki i dyktował: „Wilk jest to zaopatrzony w długie łapy pies.” Dopiero znacznie później pojąłem, że chodziło tu o to, iż wilk jest czymś w rodzaju psa o długich łapach. Można by zatem przyjąć, że pies jest to wilk zaopatrzony w krótkie łapy. Lecz wszystkie wilki z dawnych bajek pobił autentyzmem ten zaopatrzony w długie łapy pies.

Także u pana Blendera zdarzyło się kiedyś, że na rysunku nie pociągnąłem trawy równomierną zielenią, lecz namalowałem krótkie pionowe kreski. Kiedy zobaczył rysunek, zawołał; „A to co znowu za bazgroły! Popraw to zaraz.” Ale ja się postawiłem: „Trawa rośnie do góry”, powiedziałem.

Zdarzenie to doprowadziło do mojej przyjaźni z Dirkiem Kolfem, grubym chłopcem o powykręcanych uszach, fantastą i łgarzem, który kłamiąc czerwienił się coraz bardziej z każdym kolejnym zmyśleniem. Ale nie potrafił przestać, nawet gdy wiedział, iż nikt nie wierzy, że ma w domu wypchanego tygrysa albo że jego zmarła siostrzyczka stoi w szafie na ubrania w jego pokoju. W środowe popołudnia bawiliśmy się na tyłach jego ogrodu, który właściwie nie był ogrodem, a małym lasem. Wybudowaliśmy tam szałas, w którym mógł przesiadywać ze mną w półmroku i łąć do woli, nie zdradzając, jak bardzo się czerwieni. Jego siostrzyczka też często przyłączała się do nas, blada dziewczynka o blond loczkach, cierpiąca na padaczkę. Czasem padała w konwulsjach na ziemię tłukąc dziko głową i przewracając oczami. A potem zamierała nagle w bezruchu jak nieżywa. Za pierwszym razem wystraszyłem się tak okropnie, że siedziałem jak zdrętwiały, ale Dirk zachowywał się tak, jakby nic się nie stało i przestępował przez nią, jakby była pniem drzewa. Po jakimś czasie podniosła się, rozejrzała jak zbudzona ze snu, i jakby nigdy nic powróciła do zabawy.

Pewnego razu gdy byłem z nią sam, uchyliła nogawkę majtek i pozwoliła mi zajrzeć do środka. Potem dała mi patyk i powiedziała, że mam go jej tam wsadzić. Nie śmiałem odmówić, choć bałem się, że zaraz znów przewróci się z tym sterczącym patykiem. Ja też musiałem rozpiąć przed nią spodnie. Przez chwilę przypatrywała się uważnie, coraz mocniej marszcząc czoło, i w końcu powiedziała: „Ty masz słońeczko, a ja malutki księżyc.”

Przypominało mi się to zawsze wtedy, gdy dyrektor, który przejął nas w szóstej klasie, mawiał do mnie złośliwie, kiedy myliłem „s” i „z”: „Sobaczyłem, jak złońce sachodzi sa lazem.” Nazywaliśmy go Papugą, bo na jego chudej twarzy wyrastał zakrzywiony, czerwony papuzi nos, który z ledwością oddzielał blisko osadzone, jasne, świdrujące oczka. Miał wąskie, władcze usta, a jego blade włosy sterczały mu do góry jakby w wyrazie zdumienia. Przypominał czarownicę. Słyszałem kiedyś, jak mówi do ojca jednego z uczniów: „Gdybym nie wierzył w Boga, byłbym komunistą.” Potrafił w ciągu kilku sekund zrobić się ze złości amarantowy na twarzy. Znajdował sadystyczną przyjemność w grzmoceniu na oczach wszystkich swego własnego syna, który chodził do naszej klasy, także za przewinienia, których chłopak nie dopuścił się w szkole. Nas jednak nie bił nigdy. Sprawiał wrażenie, jakby swą wściekłość wywołaną wykroczeniami uczniów musiał wyładować od czasu do czasu na tym z nich, który napełniał go największą odrazą: na własnym synu. Do tego celu nie używał swoich kościstych rąk, lecz linijki. Być może czynił to, by dać przykład, i oczekiwał, że naturalną kolejną rzeczy zaniechamy pewnych postępów, za które krwi ze swej krwi i kości ze swej kości wymierzał tak gwałtowne razy.

Pewnego razu wracając ze szkoły znalazłem w śmietniku wyblakły różowy gorset. Założyłem go i poszedłem dalej. Jakiś chłopak za mną zawołał: „Dzień dobry pani!” Zacząłem iść drobnym kroczeniem i kręcąc biodrami, i już po chwili przyłączyła się do mnie spora grupka wiwatujących i wrzeszczących dzieci. Jeden z chłopców złapał sznurki, okręcił je kilkakrotnie wokół mego ciała i związał mocno na moich plecach. Z innego śmietnika wydobyłem kilka kawałków papieru, zgmiotłem je w piguły i wetknąłem od góry w gorset. „Cycki, cycki!” zawołałem głośno. „Panie i panowie, chodźcie i podziwiajcie czarymary!” Wokół mnie powstał tak potężny śmiech, że zacząłem dziko tańczyć wkoło i krzyczeć coraz głośniej. Nagle jakiś chłopak zawołał ochryple: „Papuga, Papuga jedzie!” Wszyscy się rozbiegli, a ja zostałem sam w połowie obrotu, w trakcie którego kątem oka dojrzałem dyrektora nadjeżdżającego na rowerze. Wpadłem do ogrodu i przykucnąłem skulony za żywopłotem z ligustru. Fiszbiny kłuły mnie pod pachami. Usiłowałem ściągnąć z siebie gorset, ale był tak mocno związany, że nawet nie mogłem go przesunąć, by wygodnie rozplatać tasiemki. Usłyszałem, że dyrektor opiera rower o latarnię, a potem rozległ się jego rozkazujący głos: „Wyłaż mi stamtąd.” Jego twarz była purpurowa, tylko brodawka z lewej strony nosa pozostała biała. „Mam na ciebie tylko jedno słowo: łajdak”, powiedział. „I nie stój tak, nicponiu, ściągnij to z siebie!” Przechodzący akurat ogrodnik zawołał drwiąco: „Co to, siostrzyczko, zdjęli ci sukienkę?” „No tak, jeszcze tego brakowało”, krzyknął z wściekłością dyrektor. Szarpałem gorset, ale nie mogłem się od niego uwolnić. „Chodź tu”, rozkazał. Złapał mnie brutalnie za ramię i odwrócił. Potem rozwiązał tasiemki. Gorset zsunął się wzdłuż mego ciała na nogi. Piguły z papieru spadły na chodnik. „Wyłaż z tego”, powiedział. „A teraz zwiniesz to, zabierzesz do domu i pokażesz rodzicom. I opowiesz wszystko dokładnie, tak jak było. A o

mnie jeszcze usłyszysz.” Ruszył długimi krokami w stronę roweru i odjechał z głową wtuloną w ramiona.

Gdy wszedłem z gorsetem do pokoju, mój ojciec powiedział: „Czyś ty zwariował? Odnieś to zaraz do sypialni!” „To nie jest nasze, odparłem, znalazłem to w śmietniku.” „To wyrzuć to biegiem z powrotem do śmietnika, a potem natychmiast idź umyć ręce”, powiedział. „Takie świństwo, nawet nie wiadomo, kto je nosił na sobie.” Nie miałem odwagi powiedzieć nic więcej. Wpakowałem gorset do śmietnika i umyłem ręce mydląc je obficie. Następnego dnia Papuga oświadczył, spoglądając na mnie z pogardą: „Chciałbym powiedzieć jeszcze tylko jedno na temat wczorajszego incydentu. Słyszałem twój wrzask o dwie ulice dalej. Zhańbiłeś w ten sposób całą szkołę. Jesteś niebezpieczny dla otoczenia. Chłopcy, którzy przedwcześnie za dużo wiedzą, nigdy nie będą szczęśliwi.”

Mógł to na dobrą sprawę jeszcze lepiej wywnioskować z wypracowania, jakie napisałem wkrótce potem. Była to opowieść o chłopcu, który wędrował po pustkowiu. Nagle pośrodku tego pustkowiecia wyrosła nieoczekiwanie wielka masywna wieża bez okien. Chłopiec przestraszył się okropnie, nie potrafił jednak stamtąd odejść. Coś go do niej ciągnęło. Przez cały dzień okrążał ją z daleka przez wilgotne wrzosowiska i gęste zarośla. Gdy zaszło słońce, niebo na horyzoncie stało się krwistoczerwone, a ciemność poczęła się unosić z dzikiego krajobrazu, wszedł do środka. Pamiętam jeszcze, jak pot zalewał mi twarz, gdy to pisałem. Chciałem wywieść tego chłopca ze środka, nim zapadnie zmrok. Ale okazało się to niemożliwe. Jakby nawet moje pióro uwięzło w pajęczynie, po której słowa wsysało coś ku jej środkowi: ku wieży. Gdy chłopiec wszedł do niej, owiał go tam tak silny strumień zimnego powietrza, że aż zatrzasnęły się za nim drzwi. W krótkiej chwili, gdy były jeszcze otwarte, zobaczył majaczące w wieczornym świetle kręcone schody. Podsunęła mi ten pomysł znajdująca się w pobliżu nas ruina, gdzie bawiliśmy się niekiedy w środowe popołudnia. Lecz przede wszystkim schody na strych w naszym domu, którymi wchodziłem na górę, by iść do łóżka, i na szczycie których z mroku półpiętra wyłaniały się dziwne kształty. Chłopiec obmacał drzwi, lecz nie znalazł klamki. W rozpaczy usiłował wypchnąć je ramieniem, one jednak nawet nie drgnęły. Wówczas ruszył na górę kręconymi schodami. Pochylony do przodu dotykał po omacku wilgotnych śliskich stopni przed sobą, coraz węższych i mniejszych. Nagle schody skończyły się i poczuł, jak z tej nicości, która była zapewne tylko nieprzeniknioną ciemnością, coś spada na niego. Gdy rozwarł powieki, sowy wbiły w jego twarz swe łapy z zakrzywionymi szponami i wyrwały mu oczy.

Następnego dnia dyrektor spytał mnie, gdzie to wyczytałem. Powiedziałem, że sam to wszystko wymyśliłem. Gdy zwracał mi wypracowanie, powiedział: „Trząśłem się ze strachu na krześle. Dziewiątka.”

Tej samej wiosny mego ostatniego roku w tamtej szkole zdarzyło się coś, co prześladowało mnie jeszcze w wiele lat później. Przed wejściem do szkoły zawsze zaglądałem do gniazd, które udało mi się odkryć. Czy nie wykradzono z nich jaj albo czy już wyfrunęły z nich młode. Pewnego ranka znalazłem pośród zarośli zdychającego kota. Przykląknęłam przy nim i wsunąłem rękę pod jego łeppek, ponieważ zwieszał się w dół. Przez cały czas starał się mnie ugryźć, był jednak zbyt osłabiony, by obrócić łeppek.

Tylko zaśliniony bok jego pyszczka ocierał się wciąż o wnętrze mojej dłoni. Gdy uznałem, że już nie żyje, okryłem go suchymi liśćmi i otarłem rękę o mech. Z nieco mętnym wzrokiem i dziwnym uczuciem pustki w głowie ruszyłem dalej. Na skraju lasu siedział na mostku chłopak z mojej klasy i w napięciu wpatrywał się w wodę. Gdy stanąłem przy nim, zobaczyłem, że na dnie rowu leżą nagie młode kosy wyjęte z gniazda na ostrokrzewie obok mostka. Zeskoczyłem do rowu i wyłowilem je z wody. Lecz w rękach trzymałem już tylko pozbawione życia różowawe woreczki z wnętrzościami. Położyłem je na skraju mostka i wtedy spostrzegłem kosa, który przefrunął nad ścieżką z wąsikiem robaków. Wpadłem wówczas w taki szal, że złapałem chłopaka za sweter i drugą pięścią rąbnąłem go w czaszkę tak mocno, że wydało mi się, iż słyszę, jak grzechoce jego mózg. Potem odepchnąłem go od siebie, przejechawszy mu paznokciami po twarzy. Chociaż był wyższy ode mnie o głowę, nie odważył się mi oddać. Poderwał się i uciekł. Pewnie dlatego, że stałem jakby nigdy nic pośrodku rowu. W szkole zobaczyłem, że ma na twarzy czerwone smugi po moich paznokciach. Dyrektor spytał, kto tak cuchnie błotem, i obejrzał nas badawczo jednego po drugim. Lecz ja nie wsunąłem nóg pod ławkę i bez słowa patrzyłem mu spokojnie w oczy. Wtedy powrócił znów do przesuwania kijka z jednego miejsca w drugie po mapie Hiszpanii. I oczywiście znów powiedział: „Fe! Fuj!” I klasa znów się roześmiała, a podlizuchy najgłośniej.

Następnego dnia tamten chłopak, który utopił pisklęta, nie przyszedł do szkoły, również w następne dni, nigdy więcej. W kilka tygodni później Papuga powiedział uroczyście przed klasą, że umarł na zapalenie opon mózgowych. Musieliśmy wszyscy siedzieć przez chwilę w milczeniu z założonymi rękami. Pewnie po to, by o nim pomyśleć. Tak też uczyniłem i ja, bo wiedziałem, że to była moja wina, że to ja go zamordowałem. W trakcie lekcji zerkąłem wciąż na jego opustoszałe miejsce, i przez to nie mogłem spokojnie pisać czy liczyć. W końcu nie wytrzymałem i opowiedziałem nauczycielowi, że uderzyłem tamtego chłopca bardzo mocno w głowę, ponieważ utopił pisklęta. I że od tego zachorował. Lecz nauczyciel powiedział, że od uderzenia w głowę nie można dostać zapalenia opon mózgowych, ponieważ jest to choroba zakaźna. Lecz to mnie wcale nie uspokoiło. Byłem pewien, że coś w nim pękło, kiedy tak mocno rąbnąłem go w głowę. Z początku miałem z tego powodu tak ponurą minę, że wszyscy chłopcy z mojej klasy pokazywali mnie palcami, gdy siedzieli na ogrodzeniu Czarnej Ścieżki i śpiewali:

*Jan szukał dziewczyny, by była mu miła.
Lecz nigdy takowa mu się nie trafiła.
Więc wkrótce w gazecie czytają tuziny:
Pilnie szukam panienki z dobrej rodziny.
Nie musi być piękna ni smukła jak kreska,
Byleby nie była tak chuda jak deska.
A jeśliby jeszcze gotować mi rada,
To już mi z pewnością na żonę się nada.
Więc szukam dziewczyny, co raz się odważy
Iść z takim to chwatem jak ja do ołtarzy.
W posagu ślepego koguta jej wnoszę,
I jeśli mnie zechce, już o nic nie proszę.*

Uciekłem z pochyloną głową. I tak wiedziałem przecież, że nigdy nie będę miał dziewczyny. Morderca. A jednak skrycie zakochałem się do szaleństwa w Elly Lampet. I nie tylko dlatego, że kiedyś, w tamtej sztuce teatralnej, grała królową w prawdziwej koronie na głowie. Siedziała obok mnie w sąsiednim rzędzie. Była bardzo blisko, ponieważ ja i tak zawsze zajmowałem jedynie skraj ławki obok rozpartego Fritsa Vreekena. Pewnego ciepłego dnia spojrzałem na nią z ukosa, siedziała w swej białej letniej sukience w czerwone kropki, która tak ściśle opinała jej ciało, patrzyłem na jej piegowate, pulchne ramiona w krótkich rękawkach. I wtedy zobaczyłem, jak porusza się jej brzuch. Czerwone kropki falowały delikatnie i miękko w górę i w dół. Nagle stała się dla mnie ciepłym, oddychającym ciałem, o którym często rozmyślałem w łóżku, gdy leżąc na brzuchu ze zsuniętymi nieco majtkami tarłem podbrzuszem o prześcieradło. A do tego fantazjowałem bez opamiętania, bo takiej, jaką była, nigdy nie udało by mi się jej zdobyć. Że na przykład miała wypadek, w wyniku którego sparaliżowało jej obie nogi, i trzeba ją było wozić w wózku inwalidzkim. A chłopcy, z którymi teraz się zadawała, zostawili ją oczywiście na lodzie. Tak trudno było im teraz po czwartej zabrać ją choćby na krótki spacer po parku. Po niedługim czasie nawet już o niej nie rozmawiali. Zapomnieli o jej istnieniu, przez co stała się wyłącznie moja. Każdą wolną godzinę spędzałem z nią na spacerach. Niekiedy czytałem jej pod drzewami, których gałęzie zwieszały się do ziemi, tak że siedzieliśmy w namiocie z zielonego światła. Gdy kończyłem czytać, kładłem książkę na jej kolanach, a ona dotykała jej ostrożnie swymi dłońmi, bo oczywiście także oślepa. A ja wiozłem ją dalej, i mówiłem, że kiedy trybula leśna kwitnie na łąkach, wydaje się, jakby trawa unosiła się w powietrzu. Bardzo ją to rozśmieszyło. Starłem się tak

mówić o wszystkim, jakbym spoglądał wokół patrząc za nas dwoje. Teraz należała wyłącznie do mnie.

Lecz rzeczywistość była inna, bo kiedy moja siostra idąc za mną razem z nią do szkoły powiedziała: „Wiesz, Jan zakochał się w tobie”, wymierzyłem jej kopniaka do tyłu i uciekłem zaczerwieniony po uszy. Później, gdy siostra przestała się już na mnie gniewać za tego kopniaka w goleń, powiedziała mi, że Elly odrzekła wtedy: „Wcale tego nie zauważyłam.” Kazałem to sobie powtarzać wciąż na nowo, bo nie mogłem uwierzyć, że nie powiedziała „to obrzydliwe” albo po prostu „tfu”. Po tym zdarzeniu moje zakochanie stało się jeszcze bardziej skryte, ponieważ już nie miałem odwagi dłużej przypatrywać się Elly podczas lekcji. A kiedy pewnego razu byliśmy w lesie i chłopcy wydobyli siusiaki ze spodni, by pokazać je dziewczynom, nie zrobiłem tego, ponieważ ona była wśród nich. Chcieli właśnie ściągnąć ze mnie ubranie, kiedy ich uwagę odwrócił ode mnie Jaap d’Haan, który usiłował ukradkiem wymknąć się w zarośla. Był to żydowski chłopak, któremu i tak dokuczano w szkole, ponieważ nie był katolikiem. Zawlekli go na ścieżkę i jeden z chłopaków zawołał, całkiem ściągając skórę ze swojego siusiaka: „Boi się go pokazać, bo ma takiego!” Lecz zanim zdążyli rozpiąć mu rozporek, wszyscy stamtąd zwialiśmy, bo właśnie nadchodził leśniczy. Niektórzy jeszcze w biegu poprawiali sobie spodnie.

Jednym z chłopców był Peter Parentier. Miał dwie ładne siostry o imionach Pia i Ria, które chodziły już do szkoły średniej. Pewnego środowego popołudnia, gdy szliśmy za wierzbami na Hofdijk, gdzie wskutek częstych spacerów powstała w trawie naturalna ścieżka, rozmawialiśmy o nich szeptem. Peter powiedział mi, że one zawsze po kąpieli przebiegają nago przez korytarz, a kąpią się też zawsze razem, ponieważ to bliźniaczki. „Takie kępy włosów”, pokazał. U jednej ciemne, u drugiej blond. Ale ja mu nie uwierzyłem, bo każdej niedzieli były w kościele. Tyle, że ich matka miała czasem na sobie długie spodnie, o czym mój ojciec, gdy to zobaczył, natychmiast pospieszył donieść. „Ale to pocziwa kobieta”, dodawał jednak często później. Tego popołudnia rozmawialiśmy o siostrach Petera coraz pożądliwiej. Zabierzemy je kiedyś ze sobą aż tutaj, w krzaki, i rozbierzemy do naga. Aż będą całkiem gołe, i wtedy zrobimy „to” z nimi. Usiadłszy w trawie mówiliśmy wciąż na nowo, szepcząc ochryple, że „to” z nimi zrobimy, powtarzaliśmy tak długo, aż wydało nam się, że są obecne tuż obok. Nagle Peter ściągnął spodnie i ukląkł w trawie na czworakach jak zwierzę, zwracając ku mnie swe białe pośladki. Powiedział, żebym najpierw zrobił „to” z nim. Ukląkłem za nim, rozpiąłem rozporek i zacząłem suwać się powoli trąc o jego szparę. Jego głowa leżała w trawie, miał otwarte usta. Nos drżał mu jak królikowi. Spojrzałem przez drzewka ponad łososiowym polem gladioli na stary i zaniedbany domek, przy którym stał rower oparty ukośnie o ścianę. Ogarnęło mnie ogłupiające i bezbarwne uczucie, które uczyniło całe moje ciało nierzeczywistym. Kiedy wstałem, chciałem, żebym teraz ja ukląkł na czworakach w trawie, ale powiedziałem, żeby szybko naciągał spodnie, i że musimy zwiewać jak najszybciej, bo przyglądał nam się jakiś mężczyzna na polu. Uniósł pięść w grożącym geście, a potem szybko wszedł do domku. Może poszedł po pompkę do roweru, żeby mocniej

napompować opony i móc szybciej jechać. Uwierzył mi do tego stopnia, że nawet gdy już znaleźliśmy się we wsi, on wciąż jeszcze oglądał się do tyłu.

Następnego dnia nie mieliśmy nawet odwagi spojrzeć na siebie, a po południu Peter został niejako ukarany w poniżający sposób za wczorajszy uczynek. Umiał niewiarygodnie dobrze rzucać do celu. Miękkie psie gówno, trzymane ostrożnie przez liść bluszczu, potrafił bezbłędnie wcelować w uchylone za ledwie na kilkanaście centymetrów okno na drugim piętrze. Podczas lekcji geografii często żuliśmy kawałki naszej zielonej bibuły, aż powstawała z nich papka, z której formowaliśmy małe grudki i rzucaliśmy nimi w mapę. Na torfowiskach nie było nic widać, zaś na piasku grudki pozostawiały maleńką plamę zieleni. Szczytowym osiągnięciem było oczywiście trafienie tą metodą w miasto. I w tym Peter ze swą małą mysią twarzą i sprytnym uśmiechem na miękkich wargach był niedoścignionym mistrzem. Tamtego popołudnia usłyszałem, jak mówi przede mną w ławce, cicho i z naciskiem: „Amsterdam”. I w tej samej chwili miasto to zniknęło z mapy. Lecz Papuga usłyszał pacnięcie. Stanął z policzkiem przytkniętym do mapy i popatrzył po niej. Czerwieniejąc na twarzy spytał, kto to zrobił. Gdy Peter uniósł palce, on wywłókł go z ławki, zaciągnął do mapy, złapał za szwy jego krótkich spodni i uniósł na parę centymetrów. Peter musiał pościągać wszystkie wilgotne grudki. Nogawki spodenek podjechały mu do góry, skutkiem czego jego nagie chude uda poruszały się przed mapą jak odnóża pływającej żaby. Ogarnęło mnie takie samo przygnębiające uczucie jak poprzedniego dnia, gdy klęczał przede mną jak zwierzę. Gdy wszystko już ściągnął, Papuga puścił go po prostu i Peter spadł na podłogę niczym przedmiot, który nagle urwał się z gwoździa. Potem musiał przejść wzdłuż ławek z tymi obrzydliwymi grudkami na otwartej dłoni, zatrzymać się przy każdym z nas i powiedzieć: „Oto jaki jestem dziecinny.” Kiedy podszedł do mnie, popatrzyłem tylko na jego rękę, na tę wilgotną zieloną miązgę, i próbowałem go nie słyszeć. Nagle zobaczyłem przed sobą

żabę, z którą przyszedłem kiedyś do domu. I znów usłyszałem głos mojego ojca: „Ach, jakie piękne paskudztwo masz na rękę.” Mój najstarszy brat i siostra roześmieli się wtedy dziwnie głośno, i szybko wybiegli z pokoju.

Niemal co dzień toczyliśmy bijatyki z dziećmi z katolickiej szkoły. Spotykaliśmy się z nimi w połowie Rijnsburgerweg, i zwłaszcza w okresie, gdy czytałem książkę o zezowatej Ebben, tej obłudnicy, która zaszywała protestantów żywcem w workach i wrzucała ich w burzliwe noce do zamkowej fosy, stałem się zaciętym bojownikiem Wilhelma Orańskiego. Pewnego razu tak bardzo dokuczaliśmy jednemu z chłopców z powodu modłów do Marii, że wybuchnął szlochem i powiedział: „Wy też kładziecie przecież wieńce przed pomnikiem De Ruytera.” I wtedy dopiero dostał porządne lanie, ponieważ śmiał przyrównywać Marię do naszego Michiela De Ruytera. Także i ja pewnego razu wcisnąłem stary nocnik, który wypełniłem krowim łajnem przeznaczonym na nawóz do ogrodu, na głowę jakiejś katolickiej dziewczynie. Zielonobrązowa masa spłynęła jej po twarzy. Wrzeszcząc szarpała za ucho nocnika, ale tylko przekrzywiła sobie głowę. Za to nim dotarłem do domu, złapała mnie policja. Kiedy ojciec przyszedł zabrać mnie z posterunku, słyszałem, czekając na niego w korytarzu, jak mówił do brygadiera, że złoł mi skórę. Ale kiedy znaleźliśmy się w domu, powiedział tylko, że mam iść na górę. Słyszałem, że mówił coś zwyczajnym głosem do matki w pokoju, i wydało mi się nawet, że słyszę jego tłumiony śmiech. Ale uwierzyłem w to dopiero później, gdy kiedyś powiedział do mnie: „Ci parszywi katolicy, oni tworzą państwo w państwie.”

I tak zbliżały się moje ostatnie miesiące w szkole podstawowej. Zleciały jak z bicia trząsał na przygotowaniach do pochodu z okazji czterdziestej rocznicy wstąpienia na tron naszej królowej. Na strychu fastrygowano ze starych chust i ścierek, wśród których nie brakowało batików, najrozmaitsze szaty dla dziewcząt, w których miały symbolizować jedność wszystkich poddanych. Elly była indyjską kobietą. To nic, że miała jasne włosy, ponieważ była całkowicie owinięta chustami. Wystawał jedynie mały trójkąt jej twarzy. W dniu pochodu pomalowano ją na brązowo i zrobiono jej czarną kropkę na czole. Ja byłem policjantem. Wypożyczono dla mnie prawdziwy mundur, w którego rękawach ręce tonęły mi jeszcze bardziej niż w moim nowym garniturze, kupionym na wyrost. Marynarka sięgała niemal do kolan, a spodnie piły mnie pod pachami; gdy w wiele lat później zobaczyłem film z Charliem Chaplinem, pomyślałem: To przecież ja! Ale miałem wspaniały hełm, dokładnie taki sam, jaki mają angielscy *bobbies*, jak powiedział Papuga. Zakrywał tak dużą część mojej twarzy, że czułem się pod nim całkiem bezpieczny, ponieważ myślałem, że nikt mnie nie rozpozna. A było to nie bez znaczenia, bo w tym przepastnym mundurze miałem kroczyć na przedzie.

W tym samym czasie uczyliśmy się śpiewać po francusku *Dyszący jeleń, co umknął pogoni*. Papuga napisał najpierw tekst na tablicy. Coraz stukał linijką, a my musieliśmy zaczynać od nowa. Po kilku powtórzeniach ścierał kolejno jedną linijkę po drugiej. I w końcu zaśpiewaliśmy całość, jeszcze wolniej i rozwlekłej niż po holendersku:

*Comme un cerf altéré brâme
Après le courant des eaux,
Ainsi soupire mon âme,
Seigneur, après tes ruisseaux;
Elle a soif du Dieu vivant,
Et s'écrie, en le suivant :
„Mon Dieu, mon Dieu! quand sera-ce
Que mes yeux verront ta face?*

Frits Vreeken śpiewał słowo „brame” tak głośno, że kiwnąłem do niego ręką i zrobiłem ruch nogą w sensie „strzelić bramę”, ale mnie nie zrozumiał. W przeciwieństwie do Papugi, który to zobaczył. Jednak nie przerwał naszego śpiewu. Zemścił się na mnie w południe, gdy nie potrafiłem odpowiedzieć na jego pytanie, ponieważ znów nieobecny duchem wyglądałem przez okno. Spojrzał na mnie z pogardą i powiedział zjadliwie: „Gapisz się zawsze taki zamyślony, ale wątpię, żeby w tej twojej głowie działa się cokolwiek.”

W dniu pochodu, ostatnim dniu szkoły, na stole z przodu klasy leżały w wielkich stosach podręczniki. Papier, w który były pokładane, był pościerany na filc. Mieliśmy nie używać ich już nigdy więcej. Posmutniałem i ucichłem na myśl o tym. Ale nie na długo. Wkrótce biegałem po strychu i wygłupiałem się w tym wiszącym na mnie mundurze pośród przebierających i malujących się dziewcząt i chłopców. A jednocześnie zerkałem skrycie, jak przyjaciółka robi Elly czarną kropkę na czole. Gdy przyklejono mi pełne jasne wąsy, można było pomyśleć, że cała moja twarz jest z kartonu. Były one tak długie, że przesłaniały mi usta, przez co odnosiłem wrażenie, jakbym zjadał właśnie porcję wełny drzewnej. „Masz już marsową minę”, powiedział Papuga, gdy przyszedł przypiąć mi prawdziwą szablę. Wypchnąłem językiem na zewnątrz kilka wilgotnych włosów i usiłowałem się roześmiać. „Musisz trzymać dłoń na rękojeści, i uważaj, żebyś nie wyjął jej z pochwy, bo to jest mordercza broń.” Później zaczęła się bieganina po schodach w rozwianych szatach, a dziewczyny, ubrane w długie obcisłe spódnice, biegnęły po korytarzach małutkimi kroczkami i zeskakiwały ze schodów, ponieważ prawie w ogóle nie mogły zginać kolan. Wszyscy ustawiliśmy się na ulicy przed szkołą. Papuga biegał nerwowo wzdłuż kolumny i wypychał, wręcz wgniatał każdego na jego miejsce. Zobaczyłem, że Elly znalazła się w tyle wśród ludności kolonialnej pod tabliczką „Surinam”. Sam stanąłem na czele pochodu. Szeregi zamarły w idealnym porządku, jeden za drugim, lecz gdy Papuga zawołał „naprzód marsz”, natychmiast zaczęły wybrzuszać się w obie strony i jeszcze zanim wyszliśmy z ulicy, pochód wił się jak chiński smok. W centrum wsi chodniki wypełnione były ludźmi; gdy zobaczyli, że się zbliżamy, podniosła się głośnie wrzawa. Nagle ogarnęło mnie uczucie dziwnej lekkości. Zapomniałem o idiotycznym mundurze i o szerokich nogawkach, które wciąż szorowały o siebie.

Byłem dowódcą, entuzjastycznie witanym po wyprawie. Wyciągnąłem szablę z pochwy i począłem wymachiwać nią dziko dookoła. Usłyszałem bojaźliwe krzyki kobiet i nagle, dziwnie pochylony, podbiegł do mnie Papuga, z wyciągniętą ukośnie do przodu ręką pochylając spoconą głowę, jakby się bał, że mu przyłoży. Potem nieoczekiwanie złapał mnie za rękę, wyrwał z niej szablę i przytknął moją dłoń do pustej pochwy. Szablę zaś schował pod krepę na wozie paradnym.

Po przemarszu przez wieś, szklance oranżady i ciastku z kremem, ruszyliśmy w drogę powrotną. Po komendzie Papugi pochód rozwiązał się przed szkołą. Wszyscy rzucili się do środka. Niektórzy już biegnąc na górę ściągali swe maskaradowe stroje. Na twarzach dzieci, które grały rolę ludności kolonialnej, widniały w szmince ślady palców i smugi od potu. Gdy za zasłoną zdjęłem spodnie i oglądałem sobie uda, poobcierane od sztywnej wełnianej tkaniny, wszedł Papuga. Trzymał w ręku szablę i włożył ją do pochwy. Nim odszedł, dał mi jadowitego kuksańca w żebra i powiedział: „Dopóki nie zdobędziesz się na tyle karności, by respektować zakazy, tak długo nie staniesz się nigdy, solidnym filarem społeczeństwa”.

POWRÓT DO OEGSTGEEST

W drodze powrotnej jechałem przez Schiphol. Był niemiłosierny upał. Nagle w ciągu kilku minut niebo stało się ciemnoszare, a gdy przejeżdżałem przez Las Amsterdamski, tuż nade mną rozszalała się burza. Deszcz rozpryskiwał się wysoko, a z ciepłego asfaltu unosiła się para, która zawisała nad drogą grubymi pasmami. Miałem wrażenie, jakbym jechał przez tropikalną dżunglę w porze deszczowej. Odgłos deszczu na dachu samochodu brzmiał tak, jakbym siedział ukryty pod wielkolistnymi roślinami. Choćby pod fikusem w naszym domu, dawniej, gdy ojciec wystawiał go w deszcz na dwór.

Z muru na rogu ulicy, gdzie znajduje się moja druga szkoła, zniknęły litery, a wraz z nimi i skaczący koziół. Jeszcze dziesięć lat temu przeświecały przez wapno, którym pokryto ścianę. Z czasem wyłoniły się nawet jeszcze wyraźniej. Lecz teraz wszystko zniknęło pod grubą warstwą szarej farby. Szkoła także wyglądała całkiem inaczej. Stało się tak, ponieważ na parceli tuż obok, gdzie w wierzbowym zagajniku Frits Vreeken dał się obciągnąć dwóm dziewczynom na raz, i gdzie wydmuchiwaaliśmy dym naszego pierwszego papierosa, zbudowano katolickie seminarium nauczycielskie. Jedynie tyły domów przy Rijnsburgerweg, które widziałem ze szkolnych ławek, pozostały takie same, zachowały nostalgię pierwszych podróży pociągiem. Siwa kobiecina o długiej twarzy czarownicy, pobrzękująca wiadrami na werandzie. Mężczyzna, który patrzy przed siebie w zamyśleniu, oparty o balustradę balkonu. Otwarte okno, z którego dobiega muzyka, i w którym widać głowę chłopca pochylonego nad książką lub po prostu przyglądającego się czemuś. Zachowałem wrażenie, że to tylko dekoracja. Nie docierało wówczas do mnie, że po szkole można było po prostu spotkać tych ludzi na ulicy. Zdawali się tkwić, zamknięci w ogromnej samotności, a mimo to wykonywali zwyczajne czynności, by zabić powolny czas i nudę. Do czwartej, do ostatniego dzwonka. Potem wszystko znikало aż do następnego dnia.

W południe pojechałem do Lejdy. Ulice zaścielały jeszcze zniszczone papierowe czapki, serpentyny i kartonowe tacki, pozostałe po święcie trzeciego października.¹ W kawiarence na Steenstraat ktoś wybił szybę. Chudy mężczyzna o pomarszczonej twarzy głodującego wytknął głowę przez otwór i patrzył w niebo.

Wjechałem w ulicę Rapenburg i poszedłem do Muzeum Starożytności. Pod pachą niosłem mój mały tranzystorowy magnetofon. Portier chciał z początku zatrzymać go w szatni, sądząc, że to aparat fotograficzny, lecz gdy wyjaśniłem mu, co to takiego, pozwolił mi zabrać go na górę. Przeszedłem szybko przez wszystkie działy, z jednej sali do drugiej, niczemu specjalnie się nie przyglądając. Tak, jak idzie się przez las, w którym zna się wszystkie drzewa. Może dlatego, że byłem jedynym zwiedzającym. Tu i ówdzie stał na wpół uśpiony strażnik, owiany zapachem wędzonego węgorka, pozostałym, jak przypuszczałem, z minionego święta. Minąłem obojętnie starogreckie fragmenty, które dawniej tak mnie ekscytowały, a dziesięć buteleczek z rzymskiego szkła zaszczyliłem jedynie przelotnym spojrzeniem. Zajrzałem natomiast na chwilę do drewnianej trumny frankijskiego żołnierza. Nie włożyli żadnych nowych kości, to były z pewnością te same. Latem 1943 roku, gdy często przychodziłem do muzeum rysować, ukradłem i wyniosłem pod moim ciężkim płaszczem od deszczu kość udową i kość ramieniową z leżącego w trumnie brązowego szkieletu. Na tylnym pomoście tramwaju musiałem wyjąć bilet z wewnętrznej kieszeni, i całkiem zapomniałem, że trzymam je przyciśnięte do piersi. Gdy rozpiąłem pasek, wypadły na ziemię. Wystraszyłem się, lecz nikt nie zwrócił na nie szczególnej uwagi. Jedynie konduktor przyjrzał się im przez chwilę. A potem odsunął je nogą z przejścia, jakby to było kilka gałęzi, i przedziurkował mój bilet. W domu zbiteń obie kości gwoździami, tak że tworzyły krzyż, i powiesiłem je na ścianie mego pokoju na strychu. Następnego dnia po pogrzebie mego brata siostra przyszła do mego pokoju i wskazując na nie powiedziała, że powinienem zdjąć je ze ściany, bo jeśli zobaczą je rodzice, to nigdy nie przestaną myśleć o swym zmarłym synu. Natychmiast zdjąłem krzyż ze ściany i schowałem go do

szafki kuchennej za butelki z kwasem solnym i wodą chlorową. Gdy wydobyłem je stamtąd po wyzwoleniu, były pokryte jadowitą zielenią, a w dotyku przypominały błoto. Bez trudu mogłem wcisnąć w nie paznokcie. Nie miałem odwagi wyrzucić ich do kosza na śmieci, i następnego poranka, nim ktokolwiek zdążył wstać, pochowałem je w przesmyku między domami.

Od trumny poszedłem do działu egipskiego. Przystanąłem tam przy mumiach faraonów, leżących na płytach pilśniowych w oświetlonych gablotach. Wysuszone, leżały tam tak spokojnie, że na wpół śpiący strażnicy wydali mi się kimś w rodzaju ich straży przybocznej. Lecz małe zwierzątko, którego kształt widoczny był jeszcze przez bandażę, wydało mi się wzruszające. Przykucnąłem przy mumii dziecka i przyjrzałem się uważnie jego brązowej dłoni, która wyglądała jak osobliwy rodzaj grabi, którymi grzebano w ziemi. Nagle zamarłem ze strachu. Rozległ się śpiew Billie Holiday:

*Without your love,
I'm like a song without words.
Just like a nest without birds,
Without your love.*

Najpierw wydało mi się, że ten dźwięk dobiega z gablot, ale po chwili poprzez strach dotarła do mnie świadomość, że klękając nacisnąłem pewnie przycisk magnetofonu. Gdy szedłem przez sale do wyjścia, strażnicy stali dokładnie tak jak przed chwilą. Nie słyszeli niczego.

Od jednego z moich braci wzięłem projektor, który on pożyczył od rodziców. Jego dzieciom te zastygłe kolorowe obrazki podobają się bardziej niż telewizja. Opowiedział mi, że kiedy ja miałem dziesięć lat, a on siedem, zabrałem go ze sobą i powiedziałem, że pójdziemy szukać pieniędzy w śmietnikach. Z pierwszego lepszego śmietnika wyjąłem dwudziestaka i powiedziałem: „Popatrz no, dobry początek.” Ale dalej już nie szukałem. Z miejsca kupiliśmy za to słodycze. Doskonale wiedział, że ja ukradłem tamtego dwudziestaka, lecz nie chciałem mu o tym powiedzieć, żeby mnie nie wydał. Ale ja pamiętam dobrze, że nie wtajemniczyłem go, bo nie chciałem, aby i on poszedł do piekła. Pamiętał też jeszcze, jak goniła mnie kiedyś Urki-Turki, stara kobiecina, której wciąż dokuczały dzieci i która dlatego każdego bez wyjątku dzieciaka, jaki się jej nawinał, okładała parasolem. Kiedyś przechodząc obok niej pociągnąłem za ten parasol, a ona natychmiast rzuciła się za mną w pogoń. Uciekałem w stronę głębokiego zbiornika grząskiej krowiej gnojówki na łące za zakładem. Przebiegłem okalającą go groblą, a kiedy ona usiłowała skrócić sobie drogę, znalazła się nagle po pas w gnojówce. Przez dłuższą chwilę stała tak w tej mazi, młóćąc wściekle parasolem dookoła i rozpryskując tę breję na wszystkie strony.

Chciałem wyświetlić dziś wieczorem obrazki z projektora i napisać o tym. Lecz boję się, że to, co zobaczę, wyda mi się jedynie wspomnieniem.

Gdy dni stawały się tak krótkie, że przed mszą o siódmej panowały już od kilku godzin ciemności, mój ojciec schodził niekiedy ze strychu z projektorem pod pachą. Podnosiliśmy wtedy radosną wrzawę, lecz oczywiście nie nazbyt głośną, ponieważ był to Dzień Pański. Zwłaszcza rujnacja mieszkania wprawiała mnie w rozkoszne podniecenie. Stół stawiano na samym środku pokoju, a na nim pojawiały się wielkie Biblie i Księga Męczenników, by projektor stał dostatecznie wysoko. Fotele i krzesła dosuwano do ścian. Później ojciec z pomocą brata przestawiał sofę spod rozsuwanych drzwi i rozpinął na nich prześcieradło, na którym w świetle projektora widoczne były plamy po nocnym moczeniu się młodszego rodzeństwa. Lecz gdy zgasło światło, znikwały, ponieważ ojciec natychmiast wsuwał obrazek do projektora. I nagle w pokoju zawisała twarz jego matki, przerażająco wielka i pomarszczona jak pień drzewa. Tło za jej głową było mgliste, jakby wydychała ciemne powietrze. Zachowywaliśmy śmiertelną ciszę, jej twarz drżała nieco, jakby tliło się w niej życie. Ojciec pozostawiał ją długo na ekranie. Nie zniósłby, gdyby ktokolwiek z nas odezwał się choć jednym słowem. Gdy wyjmował fotografię z powrotem, zawsze mawiał z westchnieniem: „Dawno już spoczywa w pokoju.” Potem na jej miejscu pojawiał się jego ojciec ze swą surową twarzą i długą czarną brodą, która sięgała aż po jego niewzruszoną pierś. Także on nie żył już od dawna, lecz o tym mój ojciec nie wspominał ani słowem. Rodzinę mojej matki w wielkim pokoju z palmami na wysokich, wąskich stoliczkach, przesuwiał znacznie szybciej. Być może dlatego, że jeszcze żyli, a może irytowały go wytworne, białe koronkowe sukienki i palmy. A może także i dlatego, że zaraz potem pojawiały się biblijne obrazki, które zaczynały się od Chrystusa siedzącego na osiołku i jadącego pośród wiwatującej i wymachującej palmowymi gałązkami cizby. Po obrazkach biblijnych –

tańcu wokół złotego cielca, szpiegach, którzy uginając się pod ciężarem kiści winogron, powracali z ziemi obiecanej – następowały krajobrazy. Niemiecka wioska nad jeziorem z widocznym w oddali kołowym parowcem, biały kościółek z cebulowatymi wieżyczkami. Brunatna, wyblakła woda, która sięgała niemal do dywanu, bez jednej zmarszczki, nie licząc fałd prześcieradła. A potem następowały bajki. Najpierw *Tomcio Paluch*. Kamyki, okruchy chleba. Potworny gruby olbrzym, który wołał głosem mego ojca: „Czuję tu zapach ludzkiego mięsa.” I który potem wyciągał dzieci spod łóżek jak bułeczki z rodzynekami. W barwnym świetle spoglądałem bojaźliwie na braci i siostry. U nas też nie zabrakłoby mu ludzkiego mięsa. Mój ojciec mówił wtedy, znów swym zwyczajnym głosem i ze śmiechem, lecz przecież poważnie: „Jak sądzisz, żonko, czy my też nie powinniśmy wysłać tej zgrai żarłoków do lasu?” A ja wiedziałem wtedy, że tej nocy znów obudzę się zlany potem z przerażającego snu o ociekających krwią gigantycznych głowach i butach siedmiomilowych, i pójdę nasłuchiwać pod drzwiami rodziców, czy nie omawiają jakiegoś tajemnego planu. Po *Tomciu Paluchu* następował *Czerwony Kapturek*. Matka szykująca koszyczek z przysmakami dla babci. Butelka wina, kiełbaski, lecz przede wszystkim kawałek szpikowanej słoniną wątróbki. Marzenie! „Pewnie jest chora na wilczy apetyt”, mawiał mój brat drwiąco. Na co ojciec odpowiadał mu, żeby nie psuł zabawy młodszemu rodzeństwu. Gdy później w łóżku babci leżał już wilk, nie rozumiałem, dlaczego Czerwony Kapturek woła najpierw zdziwiony: „Babciu, jakie ty masz wielkie oczy, babciu, jakie ty masz wielkie uszy!” — „Tak, dziecko, to po to, bym mogła dobrze słyszeć.” Przecież było widać od razu, że to tamten wilk z długim pyskiem. Na białych poduszkach i w tej szlafmycy na odrażającym łbie wyglądał nawet jeszcze bardziej wilczo. A potem murzyńska chata Wuja Toma. Małe murzyńskie dzieci, które nawzajem

łaskotały się piórkiem w pięty. Na pasiastej tapecie widniał napis: *Love the Lord*, o którym mój ojciec mówił, że znaczy to samo, co ich ślubny tekst nad organami, gdzie można było przeczytać: Służ Panu. A jednak mimo wszystkich tych bajek nie mogłem zapomnieć portretu mojej babki. Widziałem go jeszcze przed sobą, gdy znów zapalało się światło, a my, przecierając oczy, pomagaliśmy ustawić krzesła na miejsce. Widziałem wtedy, jak babka jeszcze bardziej rozpęka się i marszczy, aż wreszcie niczym suche łuski opadała z niej skóra i ukazywały się białe kości.

Kiedy miałem około dziesięciu lat, wuj Louis zamknął kiedyś starannie drzwi za moją matką, a gdy już byliśmy sami w pokoju, powiedział: – Podejdź no tutaj do wujka Louisa.

Gdy podszedłem do niego, odwrócił się do ściany i popatrzył na portret mojej babki.

– Mamusiu, biedna mamusiu – powiedział płaczącym głosem. – Jakże potworny spotkał cię koniec.

Potem popatrzył na mnie. Nie wiedziałem, czy jego jasne połyskujące oczy śmieją się drwiąco, czy też kręcą się w nich łzy. Pokręcił głową i powiedział:

– Tak, chłopcze, ta twoja babka, nie ma co. To zbyt straszne, by komukolwiek o tym opowiadać. Czymś takim nie powinno się obarczać drugiego człowieka.

Pochylił się nade mną i jego głos przeszedł w szept.

– Żyła opuszczona przez Boga i ludzi w małym domku na wsi. Tylko twój ojciec i ja bywaliśmy u niej czasem, ale cóż, mieliśmy nasze zajęcia, tak że niekiedy mijały długie miesiące, nim znów mogłem zobaczyć tę biedaczkę. Wreszcie umarła któregoś dnia, tak jak my wszyscy pomrzemy.

Popatrzył na mnie przez chwilę.

– Leżała na podłodze przez kilka miesięcy, martwa – ciągnął dalej.
– Gdy zjawiliśmy się tam z twoim ojcem, na drzwiach były ślady jej paznokci. Prawdopodobnie przez kilka dni czołgała się jeszcze po podłodze, ale nie miała już siły, żeby się podnieść i otworzyć drzwi. Może w to nie uwierzysz, ale całe jej ciało pokrywała gruba warstewka robactwa. Lecz te zwierzęta też nie miały już nic do jedzenia, bo była całkiem twarda i wysuszona. Musisz wiedzieć, że to było w lecie. Pozdychały z głodu na jej ciele. Gdy twój ojciec i ja podnieśliśmy ją, opadły z niej jak łuski. To było wielkie przeżycie dla twojego ojca. Nie wolno ci nigdy z nim o tym rozmawiać, bo to jest zbyt potworne, by komuś o tym przypominać.

Nie wiedziałem, czy kłamał. Nie śmiałem zapytać o to ojca. Dla mnie była to przerażająca prawda, która widniała na tym samym prześcieradle, po którym później przesuwali się bajki. Nie mogłem o niej zapomnieć. Na zawsze pozostała cieniem tamtych bajek.

THE SPLENDID THIRTIES

W naszym stołowym pokoju wisiał wiersz, który mój ojciec wykaligrafował gotykiem w czasie urlopu podczas pierwszej wojny światowej. Duże litery pomalowane były na niebiesko, czerwono i złoto, przez co stały się całkowicie nieczytelne. Przypominały raczej egzotyczne motyle. Ale przecież wiadomo było, co jest tam napisane, po prostu nie zatrzymywało się na nich wzroku. Zakończenie brzmiało tak:

*Cierpienia tak bardzo nie boją,
Jak strach przed wszelką niedolą.
Lecz komu ta w progi zawita,
Temu Bóg dźwigać krzyż pomoże
Ten bez trwogi swój los przywita.*

Gdy kiedyś na pierwszym piętrze pękła rura, woda przeciekła przez sufit na ścianę i następnego dnia wiersz za szybą był wybruszony i poplamiony. Mój ojciec wyjął go z ramki, a kiedy go osuszył, „s” i część „t” na początku słowa „strach” zniknęły w jego chusteczce. Mamrocząc pod nosem, że przecież użył wodoodpornego tuszu, włożył ostrożnie ten arkusz papieru do szafy, by tam wysechł. Zawsze miał zamiar domalować owe „s” i „t”, lecz nic z tego nie wyszło, bo gdy papier wysechł, wybrzuszony się jeszcze bardziej. Nic też nie pomogło, że przez kilka miesięcy przeleżał pod ciężką Księgą Męczenników. Czasem, gdy musiałem poszukać czegoś w szafie, natykałem się na niego i czytałem: „Jak krach przed wszelką niedolą.” I za każdym razem przypominało mi to krach na Wall Street z 1929 roku, o którym wszyscy wtedy mówili. Jakby zawczasu ostrzeżono nas przed kryzysem. Ale gdy uświadomiłem to sobie, tkwiliśmy w nim już po uszy, a klienci przestali przychodzić po delikatesowe produkty. A gdy czasem przez przypadek zawitał do sklepu jeden z naszych starych klientów po puszkę kalifornijskich owoców, mój ojciec przywoływał mnie z ogrodu i szeptał mi w korytarzu, żebym pobiegł prześwitem między budynkami do konkurenta, by je od niego przynieść. Słyszałem jeszcze, jak mówił do klienta: „Jedno z moich dzieci przyniesie je zaraz z magazynu.” A wtedy ja gnałem jak szalony do spożywczego za rogiem. Biegając modliłem się w duchu, aby tylko nikogo nie było w sklepie, i żebym mógł szybko wrócić, bo inaczej okazałoby się, że mój ojciec powiedział nieprawdę. A z powrotem biegłem jeszcze szybciej, słysząc, jak chlupią owoce w puszcze. Jeśli tylko byłem w domu, ojciec zawsze posyłał właśnie mnie, ponieważ potrafiłem biegać tak szybko. Sądzę jednak, że było raczej na odwrót: biegłem tak szybko ze strachu, że ojciec mógłby wyjść na kłamcę. Ale na szczęście rzadko się zdarzało, by ktoś zaszedł do naszego sklepu, toteż prawie nikt nie zauważył, że

laseczki wanilii wyschły całkowicie i wyglądały jak pałeczki węgla drzewnego. Ze wielki szklany słoik z imbirem, na którym z początku wskutek scukrzenia pojawiły się jedynie białe kryształki, wypełniła z czasem brązowa, słonawa ciecz. Mimo to stał całe lata gdzieś z tyłu na półce. Aż ojciec wyniósł go w końcu do ogrodu, wykopał dół i wylał do niego ten mętny szlam— Gdy przysypał ziemią, ta breja nadal wydostawała się zdradziecko na powierzchnię, ojciec położył więc w tym miejscu kawałek starej sklejkki, po której nie wolno nam było chodzić. Poza tym nic więcej w sklepie nie mogło się już zepsuć, bo były w nim same atrapy. Jednym dmuchnięciem dawało się zwalić piramidalne stosy paczek kawy, herbaty i tartej bułki. Agenci też już przestali przychodzić, bo nie opłacało im się dostarczać tak małych ilości, jakich potrzebowaliśmy. Z czasem zniknął także agent firmy Van Nelle, którego mój ojciec zgodnie z hasłem na ich handlowej marce nazywał „rosnącą nadzieją”, ze względu na jego tuszę, i który, gdy nikogo nie było w sklepie, wykrzykiwał zawsze „wdowa!”, a potem ze swym agresywnym brzuchem sterczącym pod nie zipiętym płaszczem od deszczu wchodził aż za ladę.

Kiedy rano zebrano od klientów książeczki zamówień, moja matka przeglądała je potem i gorzko wzdychając sporządzała listę produktów, które trzeba było zdobyć. Posyłano mnie po nie po szkole. Zawsze do VeViVo po dziesięć funtów białego i pięć funtów brązowego cukru. A wtedy zawsze tak ustawiałem się za klientami, by obsłużyć mnie sam właściciel, sympatyczny człowiek, który chyba trochę rozumiał naszą sytuację i obsługiwał mnie bez słowa. Gdy jednak trafiłem na tego sprzedawcę o tłustych loczkach i wyprasowanej twarzy tchórza, niezmiennie powtarzał stawiając przede mną wielkie torby: „Ależ wy lubicie słodzić.” Przegięty na jedną stronę pod ciężarem siatki, z której sterczały torebki, nadrabiałem niekiedy spory kawał drogi, gdy zobaczyłem zbliżającego się w oddali kolegę. Nie mogłem przecież zdradzić, co niosę w tych torbach. Oni by tego nie zrozumieli, bo przecież to wyglądało tak, jakbym niósł wodę do morza. Nikt bowiem w szkole nie wiedział, jak źle jest z naszym sklepem, ponieważ już od dawna nie wolno mi było zapraszać kolegów do domu.

Na krótko przedtem moi rodzice, chcąc nie chcąc, zmuszeni byli do wynajmowania pokoi. Całe pierwsze piętro zajęli dwaj studenci medycyny. My wszyscy przenieśliśmy się na strych, a rodzice zaczęli spać w rozkładanym łóżku na werandzie. Mnie się to podobało, przez cały dzień obcy ludzie między nami a rodzicami, lecz moja najstarsza siostra powiedziała, że się boi, ponieważ jeden z tych studentów tak dziwnie na nią patrzy, gdy ona mija go na schodach. Wówczas jeszcze mieliśmy to i owo w sklepie, bo pamiętam, że kiedy nocą studenci wracali do domu, podpici i z kilkoma dziewczynami, zapalali światło w sklepie i pytali je, na co mają ochotę. A potem zabierali ze sobą na górę rolki dropsów miętowych, ciasto i puszki. Ale zapasy w sklepie były już wtedy tak uszczuplone, że kontrola nie nastęrczała większych trudności. Moi rodzice połapali się wreszcie, policzyli wszystko co było w sklepie i po prostu pod koniec miesiąca dopisywali to, czego brakowało, do komornego. Kiedy tamci poprosili o rachunek, a moja matka wręczyła im go z długim szeregiem doliczonych zakupów, zamrugali tylko oczyma. Ale nic nie powiedzieli. W ubikacji na pierwszym piętrze, dokąd nam nigdy nie wolno było chodzić – wisiał tam prawdziwy papier toaletowy i z oszczędności nie wolno nam było spuszczać wody po sikaniu – zawiesili sobie maksymę:

*W tym wnętrzu,
Gdzie nigdy nie śpiewa ptak,
Tu człowiek coś zostawia,
Co śmierdzi okropnie tak.*

Ale mój ojciec kazał im to zdjąć. Wkrótce potem między ojcem a nimi wywiązała się gwałtowna awantura, gdy jeden z nich powiedział, że to niehigieniczne, te wszystkie dzieci grzebiące we wszystkim w sklepie. „Co?”, wrzasnął mój ojciec, „jak wy macie czelność mówić mi o higienie. Co noc inna panienska w łóżku, to ma być higiena? Nie życzę sobie więcej takiego kurwienia się pod moim dachem!” I z miejsca wyrzucił ich za drzwi.

Po nich zamieszkała u nas chińska rodzina z Indonezji. Mąż studiował w Lejdzie. Mieli dwoje dzieci, Wana i Siena. „Od tych ludzi możemy się wiele nauczyć”, powiedział mój ojciec, „to światowcy w każdym calu.” Mimo to Wan wsadził pewnego razu głowę między pręty balustrady biegnącej przy schodach. Wrzeszczał głośno, a jego ojciec stał przy nim, mruzczał coś cicho i nerwowo, i ugniatał jego mięsiste policzki, lecz nic to nie pomagało, głowa nie chciała się wydostać. Wtedy zjawił się mój ojciec. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby się zorientować w sytuacji. Poszedł do komórki i wrócił z piłą. Nie miałem odwagi na to patrzeć, myślałem, że ojciec odpiłuję mu głowę. Bo przecież ta tłusta głowa chińskiego chłopca nie mogła tkwić wiecznie przy poręczy schodów. Kiedy po jakimś czasie pomyślałem, że już pewnie po wszystkim, i poszedłem popatrzeć, zobaczyłem, że w balustradzie upiłowano jeden pręt. Wan stał przytulony do matki, która swymi drobnymi, delikatnymi dłońmi ostrożnie gładziła zaczerwieniony kark. I oboje kłaniali się, pochylali głowy przed moim ojcem i zasypywali go gradem uprzejmych słów i uśmiechów. Cierpienie szybko poszło w niepamięć, bo jeszcze tego samego popołudnia Wan i ja spuszczailiśmy się przez otwór w balustradzie na schody. Wkrótce potem Chińczycy przeprowadzili się do Lejdy, ponieważ jazda na rowerze tam i z powrotem na uniwersytet, w deszcz i niepogodę, była dla wątłego Chińczyka zbyt męcząca. Ale ja byłem pewien, że odeszli, bo wystraszyli się naszego domu. Usłyszałem kiedyś, jak mój ojciec mówił, że oni nie wierzą w Boga, lecz myślą, że wszystko ma duszę, nawet martwe przedmioty.

Oficer, który po nich wynajął pokój, był wysokim, jasnowłosym germańskim typem o dzieciennych niebieskich oczach. Gdy w wyborach roku 1937 NSB², której był członkiem, poniosła ogromne straty, słyszeliśmy, jak za każdym razem tupie i klnie, gdy podawano przez radio wyniki z różnych miast. Wieczorami, leżąc już w łóżku, często przysłuchiwałem się jego grze na pianinie. Dobywał z instrumentu dziwne dźwięki, a mój ojciec mówił, że eksperymentuje z mechanizmem. Że chce wydobyć z pianina brzmienie ludzkiego głosu. „Ale to mu się nigdy nie uda”, dodał zarozumiale. „Bo jedynym instrumentem, który ociera się o ciepło ludzkiego głosu, jest fisharmonia.”

Gdy wyjeżdżał na sobotę i niedzielę, zakradałem się do jego pokoju i z najwyższej półki w głębokiej szafie wyciągałem słoje, w których między wielkimi grudami kamfory tkwiły zasuszone i wypchane węże, żuki i liście. Kiedy matka przytapała mnie kiedyś, jak siedziałem na podłodze otoczony wszystkimi tymi zwierzętami, powiedziała, że popamiętam ruski miesiąc, jeśli ojciec się o tym dowie. Ilekroć znikalem jej potem na jakiś czas z oczu, mówiła: „Daj ręce do powąchania.” Jeśli pachniały kamforą, posyłała mnie do mojego pokoju i tego dnia nie wolno mi już było schodzić na dół. Lecz ja nie potrafiłem się powstrzymać, by nie wyciągać tych zwierząt ze słoików i by ich nie obmacywać, aż wreszcie po jakimś czasie wszystkim chrząszczom brakowało przynajmniej jednej nogi, węże połamane były nieraz aż w trzech miejscach, a liście powykręcane. Te pierwsze biologiczne palcówki drogo mnie kosztowały, bo kiedy oficer zorientował się w szkodach i przyszedł do mojego ojca z uszkodzonymi zwierzętami na kawałku kartonu, wyglądającymi jak upuszczone i pokruszone ciastka, dostałem takie lanie, że przez cały tydzień nie mogłem porządnie usiąść przy śniadaniu. Lecz najbardziej było mi wstyd wobec oficera, bo widziałem, że naprawdę jest mu bardzo przykro. Gdy odchodził od nas, wybaczył mi jednak, bo z nieco smutnym uśmiechem wręczył mi wszystkie pozostałe egzemplarze, mówiąc przy tym, że teraz i tak nie sprawia mu to już żadnej przyjemności. Mnie też przestało to cieszyć. Nie pokazałem ich rodzicom, ale od razu zabrałem je do komórki, na płycie rozbiłem je młotkiem na proch, który zdmuchnąłem potem w ogrodzie jak obłok kurzu.

Bieda stawała się coraz bardziej dotkliwa. Symbolem dobrobytu była tabliczka podatkowa umieszczona w ramce na kierownicy roweru. U nas wisiała nad kominkiem przypięta na wielkiej agrafce do batikowej chusteczki. Na rowerze wolno nam było jeździć tylko na zmianę. Tabliczkę podatkową przypinano nam wtedy do klapy płaszcza, wskutek czego czułem się jak zwierzę. I jeśli ktoś był biedny, miał czarną plamę w kroku majtek. Od farby drukarskiej. Bo trzeba się było podcierać gazetą.

Nie brakło też ekstrawagancji. Kiedy podczas letnich wakacji wybieraliśmy się na plażę, dostawaliśmy zamiast chleba pierniki. Każde z nas kawalera i pannę, odwróconych do siebie plecami i zapakowanych w żółty celofan. Nie mieliśmy żadnej torby, do której moglibyśmy je włożyć, i wydawało nam się to takie fajne; podniecony wymachiwałem nimi i tańczyłem, wykrzykując: „To są nasze dzieci, pochowamy je na wydmach” i „Jaś i Małgosia znów się biją, aż miło patrzeć”. A potem tłukłem nimi o pierniki sióstr i braci. Rozlegał się głuchy odgłos, jakby były z drewna, bo leżały pod ladą jeszcze od gwiazdki. Gdy chcieliśmy je zjeść po drodze, by się ich pozbyć, musieliśmy najpierw rozbić je gdzieś o ogrodzenie. Rozpryskiwały się na kawałki, jakby były z wypalanej gliny. Gdy wieczorem wracaliśmy do domu, a kiszki grały nam marsza z głodu, ponieważ połowę pierników i tak wyrzucaliśmy po drodze, ojciec oczywiście znów powtarzał, że to skandal, i że w Rosji jeszcze by je sobie z rąk wrywali. Na co mój brat odpowiadał zuchwale, że tam pewnie mają żelazne szczęki.

I wciąż ten mdły zapach niemowląt i brudnych pieluch w całym domu. Wciąż nowa para różowych pośladków posypanych talkiem, coraz to inny wypukły brzuszek wymagający zalepienia pępka. Bananowa papka na talerzyku postawionym na piecu. I oczywiście pierś, przede wszystkim pierś. Najpierw jedna, potem druga. Wciąż nowe dziecięce usteczka przy brązowej sutce. I ociążałe, błogie nasycenie tych bezkształtnych dziecięcych ciałek w białych szydełkowych sweterkach. I mój ojciec, który chwycił jedną z rączek i mówił: „Popatrzcie, jakie to doskonałe. Nie brakuje nawet jednego paznokcia.” Miał to być komplement dla Stwórcy. Ale ja na najmniejszych palcach u nóg nie miałem paznokci. Pewnie dlatego, że z początku nawet Bóg nie nadszedł za tym zawrotnym tempem. Całkiem jakby w ostatniej chwili usiłował jeszcze zrobić szybko to, co do Niego należało, gdy mój tułów wysuwał się już z ciała matki, ale wyszły mu tylko zgrubiałe nagniotki na krzywych, zdeformowanych palcach, które zdawały się jeszcze nosić ślad Jego twórczej ręki. I za każdym razem, gdy któreś z dzieci przenosiło się znów z kołyski do dzieciennego łóżeczka, a inne musiało wskutek tego przejść na normalne łóżko, mój ojciec zmuszony był wymyślić coś nowego. Spaliśmy więc wszędzie. Jedno na drugim w głębokich szafach, obok siebie na podłodze, piętrowo w korytarzu. Na górze trzech chłopców, pod spodem trzy dziewczynki. Wszystko skryte za zaciągniętą kotarą. Wieszak przesunęło się wtedy bliżej drzwi i jeśli ktoś przyszedł z wizytą, a dzień był deszczowy, czułem zapach mokrych płaszczy, jakby jakiś pies trzymał wartę przy naszym łóżku. Przez ścianę słyszałem głosy i nastawione radio. Jeśli boczne okienko było uchylone, by wpuścić nieco świeżego powietrza, słyszałem, jak fryzjer kłóci się ze swoją żoną. Nie mówił wiele, mamrotał tylko coś pod nosem. Lecz ona była Niemką i wrzeszczała z obcym akcentem zajadle jak przekupki na

targu rybnym. Aż wreszcie on miał dość i zwracał się do niej wolno i dobitnie: „Zamknij tę swoją parszywą szkopską gębę.” Cichła wtedy od razu.

W moim odczuciu cały dom był plastrem miodu, budowlą pełną schowków i zakamarków, często dziwaczną i fantastyczną, lecz mającą przecież swego architekta w osobie mojego ojca. Zawsze z dumą demonstrował matce każde nowe rozwiązanie. Podziwiałem jego pomysłowość, lecz mój najstarszy brat już wtedy mawiał pogardliwie: „Stary znowu dobudował klatkę jak dla królików.”

Było nas już tyle, że ojcu opłacało się kupić maszynkę do strzyżenia i samemu podcinać dzieciom włosy. W owe fatalne środowe popołudnia przywoływano nas po kolei z ogrodu na werandę. Mój brat mógł zwyczajnie usiąść na krześle, ale gdy przychodziła kolej na mnie, trzeba było najpierw położyć na siedzeniu Księgę Męczenników. I przy każdym mniejszym dziecku dokładano jeszcze jedną grubą książkę. Oprawione roczniki „Chrześcijańskiego Życia Kobiety” albo dzieła zebrane Bilderdijka. Gdy już wokół szyi założono i zawiązano mi prześcieradło, ogarniało mnie uczucie bezsilności, jakby zaraz czekała mnie egzekucja. W moich wspomnieniach zawsze wtedy padał deszcz, ale może tylko mi się tak zdawało, bo wciąż przy tym płakałem. Nie dlatego, że mój ojciec robił to tak brutalnie, ani dlatego, że gdy przejeżdżał po bliźnie na mojej skroni, miałem uczucie, jakby wgniatał mi w tym miejscu czaszkę. Nie płakałem z bólu. Był to płacz pełen urazy, płacz z poniżenia. Ponieważ ta blizna, po większej części skryta pod włosami, znów będzie widoczna przez długie tygodnie. Bo wyglądałem głupio z krótkimi włosami i miałem wrażenie, że wszyscy przyglądają mi się badawczo. Ponieważ robił ze mnie kogoś, kim nie byłem, kim nie chciałem być. Jakbym wraz z opadaniem włosów po karku i twarzy tracił część samego siebie, coś, co sięgało we mnie korzeniami głębiej niż tamte włosy. I nie spoczął, póki nie byłem ostrzyżony równie krótko jak on sam. Gdy sztywno trzymałem głowę, szturchał mnie mocno w podbródek i mówił: „Ależ z ciebie odporne ziółko. Powinieneś się cieszyć, że skracam ci włosy. Długie włosy, krótki rozum.” Nienawidziłem go, gdy w takich chwilach czułem jego oddech na moim nagim karku. Zupełnie inaczej niż kiedyś, gdy jako małe dziecko siedziałem na ramie roweru i czując jego oddech na moim karku myślałem z lękiem: „Jeśli to ustanie, jeśli przestanie oddychać, to umrze”. Teraz myślałem: „Chcę, by to się skończyło,

chcę, by ten oddech ustal nagle. By opadły mu ręce i żeby umarł.” Lecz on nigdy tego nie zrozumiał. Dla niego po prostu zachowywałem się dziecinnie, bo płakałem z powodu kawałka skóry na karku, który dostał się między zęby maszynki, czy z powodu wyrwanego włosa. Kończyło się to niemal zawsze tym, że gdy wreszcie zirytowany ściągał ze mnie prześcieradło, strzepując nad gazetą moje jasne loki na czarne włosy mojego brata, mówił: „A teraz zejź mi z oczu, nieznośny bachorze.”

Lecz ja się mściłem. Natychmiast biegłem do sklepu i kradłem, co popadło. Czego nie dałem rady zjeść, wrzucałem do wywietrznika w ubikacji. A wieczorem długo nie gasiłem światła na strychu. Lecz on od razu to spostrzegął, bo dokładnie wiedział, jak szybko obraca się licznik, gdy pali się lampa w dużym pokoju. Kiedy krzyczał na schodach, kto pali światło, wyłączałem je szybko i nic nie odpowiadałem. Gdy był w szczególnie złym nastroju i przychodził na górę, by dotknąć żarówki, dostawałem porządnie w skórę. Zwłaszcza jeśli światło paliło się długo, a on parzył sobie palce. Wtedy znów musiałem się zemścić. I tak oto powstał nieodwracalny krąg kary, zemsty, współczucia i poczucia winy. Z czasem nie mogłem już bez tego żyć. To wносиło przygodę i napięcie w życie, na które składały się tylko modlitwy, czytanie Biblii i posłuszeństwo. W niedzielne poranki wstawałem o czwartej i nim wyszedłem na dwór, przeszukiwałem wszystkie szafy i pudła. Często wydłubywałem kawałki mięsa z zakrzepłego w brytfance tłuszczu i dzieliłem się nimi z kotem, który nie dostawał nic prócz garstki ziemniaków, jeśli tylko zostały z obiadu. Ponieważ zaraz potem stawiałem garnek na gazie, tak że grudy tłuszczu topiły się tworząc znów gładką powierzchnię, prawie nigdy mnie nie przyłapano. Gdy w kuchni był tort, przechylałem go na bok i wydrażałem od środka; kiedy matka po mszy chciała pokroić go do kawy, ostrze noża zapadało się w nim jak w przegniłym owocu. A wtedy ojciec bił mnie, nim jeszcze zdążył spytać, kto to zrobił. I znów cała niedziela była spaskudzona. Albo zaczynałem od wyjedzenia *crème de beurre*. Najpierw znikła jedna kawowa rozetka. Potem druga po przeciwnej stronie dla zachowania symetrii. A potem jeszcze z prawej i lewej strony, żeby znów ze wszystkich stron było jednakowo. A potem jeszcze ten drugi wianuszek, i tak nikt nie zauważy: I tak dalej, aż spostrzegłem z przerażeniem, że nie pozostało nic więcej prócz

nagiego kawałka ciasta, któremu moi bracia i siostry przyglądali się z żalem i odrazą, gdy matka wyjmowała je z szafki i ignorując nas niosła zdenerwowana, by pokazać ojcu ze słowami: „Popatrz no tylko.” A potem wszystkie oczy kierowały się na mnie. Mój brat patrzył na mnie ze świętym oburzeniem, bo sam był krnąbrny, ale uczciwy, A siostra przeszywając mnie wzrokiem krzywiła usta w zadowolonym grymasie, bo oto znowu miałem dostać w skórę. Tylko maluchy spoglądały niecosennie i jakby z lękiem. A ojciec szedł już w stronę wieszaka, by przynieść laskę. Tłukł mnie jeszcze na schodach, aż do drzwi mojego pokoiku na strychu. Nie chroniło mnie to jednak przed pójściem do kościoła, pięć minut przed wyruszeniem wywoływano mnie na dół. Z twarzą stężałą od łez i wykrzywioną od razów i obmyślanej w samotności zemsty wysłuchiwałem kazania. Nie dostawałem też dropsów miętowych, tak że podczas kwesty zmuszony byłem wrzucić centa do puszki. I natychmiast po powrocie z kościoła musiałem znów iść na górę. Przerażające wspomnienie nadjedzonego tortu pozostało we mnie tak długo żywe, że kiedy byłem starszy i któregoś razu poszedłem potajemnie do kina, gdzie podczas przerwy wyświetlano burleskę, w której dziesiątkami fruwały po ekranie torty z bitą śmietaną, siedziałem jak sparaliżowany ze ściśniętym gardłem, a do oczu napływały mi łzy wyzwolenia. Nie potrafiłem jednak pisać ze śmiechu jak inne dzieci.

Lecz nie zawsze był ze mną „krzyż Pański”, jak mawiał mój ojciec. Bywały też dni, które upływały tak spokojnie i harmonijnie, że nerwy drżały mi pod skórą jak zwierzęciu. Bo tak bardzo chciałem, żeby było inaczej. Ale gdy chcesz uczynić dobro, zło cię nie odstępuje, jak to często czytał nam z Biblii nasz ojciec. Właściwie popadałem z jednej skrajności w drugą. Byłem diabłem, który zatruwał całą domową atmosferę swym wiecznie urażonym wyizolowaniem. Albo stawałem się aniołkiem. Wówczas gdy tylko wróciłem ze szkoły, pomagałem matce we wszystkim. Szorowałem podłogę i grabiłem ogród. A jeśli jakieś święto czy urodziny minęły bez jednego złego słowa, cieszyłem się tak bardzo, że nim poszedłem do łóżka, obejmowałem ojca i matkę przy wieczornym pocałunku na dobranoc i mówiłem: „To był cudowny dzień.” Ale potem podsłuchiwałem jeszcze przez chwilę pod drzwiami, czy powiedzą coś na mój temat. Pewnego razu słyszałem, jak mój ojciec mówił do ciotki: „Jan jest trudnym dzieckiem. Ale wdzięcznym.” I wiedziałem wtedy, że może jeszcze wyrosnę na ludzi, i że jest jeszcze nadzieja.

Po którejś nieudanej niedzieli mój brat powiedział do mnie w łóżku: „Jij is nie eerlijk nie neefie.” A to budzi z kolei we mnie wspomnienia innej tragikomedii z tamtych czasów. Gdy podczas niedzielnych popołudniowych spacerów przechadzaliśmy się wraz z rodzicami po alejkach naszej wsi, ojciec zatrzymywał się często przed jednym z wielu pustych domów i wskazując na niego zamaszystym ruchem ręki od fundamentu aż po szczyt dachu mawiał: „Popatrzcie no tylko, to prawdziwe staroświeckie чудо” albo „Cóż za wspaniała posiadłość, a ile tam miejsca w środku”. A potem rozłączał przed nami rozmaite możliwości, jakie stworzyłoby nam posiadanie takiego domu. Bo chociaż żył myślą o jednym tylko domu, nie wzniesionym ludzkimi rękami, lecz wiecznym, a czekającym na niego w niebie, i choć ten ziemski był dla niego tylko czasowym schronieniem, to jednak w końcu doszło do tego, żeby posłużyć się jego własnymi słowami – że sam już nie wiedział, gdzie ma nas wszystkich pomieścić. Lecz jego zamysły rozbiły się wciąż o finansowe przeszkody, tak że podczas jednego z owych spacerów napomknął o emigracji. Z początku w żartach, ale szybko poszły w ruch atlasy. I niewiele później Południowa Afryka stała się Ziemią Obiecaną, na temat której znosił do domu wszelkie możliwe książki i zasięgał informacji u rozmaitych instancji. Wieczorami pod lampą sylabizował nawet teksty w języku afrikaans. W końcu wszyscy dostaliśmy na tym punkcie lekkiego bzika. Przy stole mówiliśmy do siebie: „Hij eet nie door nie” albo „als je nie eet nie ga je dood nie”. I w całym domu, czasem od strychu aż do ogrodu, słychać było śpiewy:

Niech żyją transwalscy chłopci,

W walce niezmożeni.

Niech żyje transwalski chłopski ród,

Niech żyje transwalski chłop!

Gdy nasz wyjazd przybrał już na tyle wyraźne kształty, że wolno nam było rozmawiać o tym z obcymi, natychmiast opowiedziałem o wszystkim w szkole. W pierwszej chwili Papuga spojrział na mnie jakoś tak dziwnie i z niedowierzaniem, lecz uwierzył mi, gdy powiedziałem, że uprzedzono nas już nawet, że podczas podróży morskiej w tamtą stronę mogą czasem spadać na pokład latające ryby. Wszystkie dzieci odwróciły się w ławkach w moją stronę i gapily się na mnie, ponieważ wybierałem się w tak daleką morską podróż. Podczas przerwy opowiadałem chłopakom, że Louis Wessels może jeszcze żyje, i że w takim razie na pewno uściskam mu rękę. I słowo „Kafr” nabrało dla mnie całkiem innego znaczenia. Lecz nagle nastąpił kres moich snów na jawie o afrykańskich antylopach, niebezpiecznych stepach i puszczech, bo mój ojciec nie mógł zdobyć niezbędnych pieniędzy na podróż. Z ponurą miną chodził tam i z powrotem po domu, a kiedy widziałem, jak stoi w zamyśleniu w ogrodzie, jakby szukając sposobu, by mimo wszystko dostać się do Afryki, myślałem sobie, że stać go nawet i na to, by własnoręcznie zbudować arkę. Ale trzeba by potopu, by uniosła się na wodzie, a dobry Bóg zgodnie ze swym przyrzeczeniem nie miał już więcej pustoszyć ziemi wodą, lecz ogniem. Nie miałem odwagi mówić o tym w szkole, ale kiedy pożegnanie odwlekało się coraz bardziej, zaczęto mi dokuczać: „Jemu na pewno fruwać latające ryby przed oczami” albo „Jeśli chcesz podać dłoń Louisowi Wesselsowi, to będziesz chyba musiał mocno wyciągnąć rękę”. Kiedy Papuga spytał mnie o nasz wyjazd przed klasą, powiedziałem, że na razie nastąpiła pewna zwłoka, na co niektóre dzieci zachichotały szyderczo. A on powiedział z odrobiną drwiny: „A więc to jeszcze trochę potrwa, nim zostaniesz zwiadowcą Christiaana de Weta.” Na co pomyślałem w duchu: „Het gaat nie door nie.” Ale nawet nie zdołałem się uśmiechnąć.

Jeszcze tylko jeden raz mój ojciec wpadł na podobny pomysł: Południowa Ameryka, Chile. „Wspaniały kraj”, powiedział. „I słabo zaludniony. Dla tak licznej rodziny jak nasza są tam doskonałe perspektywy.” I znów poszły w ruch atlasy i albumy z ilustracjami. Całymi wieczorami rozmawiał o tym z moim najstarszym bratem. Znali trasę podróży lepiej niż drogi u nas, w północnej Holandii. Ale w szkole nic już o tym nie wspominałem. Zresztą i tak nic z tego nie wyszło.

Wkrótce potem, latem 1938 roku, ukończyłem szkołę. Chciałem iść do gimnazjum, ponieważ podobnie jak mój wuj pragnąłem studiować biologię. Ale Papuga powiedział rodzicom, że nie nadają się do gimnazjum, i że lepiej zrobią, jeśli pošlą mnie do zawodówki, bo tam jest moje miejsce. Kiedy oglądam teraz swoje ostatnie świadectwo, to prawdę mówiąc nieco mnie to dziwi, bo choć nie jest to cenzura prymusa, to jednak uzyskałem całkiem przyzwoitą średnią.

Aż do samego egzaminu wstępnego usiłowałem na różne chytre sposoby przekabacić moją matkę. Kiedy na przykład siedziałem w ogrodzie z jakimś zwierzątkiem w ręku, a ona stała niedaleko mnie na podeście przed domem i tarła prześcieradła na cynkowej tarze, z rękami aż po łokcie zanurzonymi w pianie, mówiłem niby to do siebie, lecz dość głośno, by mnie słyszała, nieco płaczącym głosem: „Mój mały robaczku, nigdy nie będę mógł tyle się nauczyć, żeby wiedzieć o tobie wszystko.” Lecz jej stereotypowa odpowiedź zawsze była jednakowa: cały świat stoi przede mną otworem i dla chcącego nie ma nic trudnego. „Masz wszelkie możliwości”, mówiła, „bo szkoła zawodowa ma bardziej poszerzony program.” Na co moja siostra dodawała: „Tak, ale bardziej poszerzony program na poziomie podstawowym.” „Nie wtrącaj się”, odpowiadała moja matka. A siostra odchodząc powtarzała jeszcze, z urazą i przekorą w głosie: „To jest i zawsze pozostanie nauka na stopniu podstawowym. Tylko trochę bardziej rozszerzona.”

I tak oto po letnich wakacjach wyruszyłem Rijnsburgerweg do szkoły zawodowej na Noordeinde. Godzina drogi. Już pierwszego dnia musiałem o czwartej po południu kupić w drodze powrotnej u C. Jamina dziesięć bochenków chleba, ponieważ u niego były o cent tańsze niż u nas we wsi. Dwa pakunki po pięć bochenków, zawinięte w jasnopurpurowy papier i przewiązane ostrym sznurkiem, niemal przecinającym palce. Bałem się, że obie paczki nagle upadną na ulicę, choć ja wcale nie puszcze sznurka. A kiedy stawiałem je na chwilę, musiałem dobrze uważać, żeby nie położyć ich na psie gównu czy jakąś zielonożółtą plwocinę, bo nie były zbyt starannie zapakowane. Odtąd co drugi dzień musiałem taszczyć chleb, tak że nawet gdy nie byłem przeziębiony, miałem przy sobie dwie chusteczki do nosa. Mogłem oczywiście użyć do tego celu rękawów mojego płaszcza, bo kiedy podkurczyłem ręce, były dość długie, by osłonić mi dłonie. Ale wówczas z pewnością pojawiłyby się ślady w grubej, wełnianej tkaninie, w której sznurek odcisnąłby się bardzo szybko, ponieważ moja siostra uszyła mi płaszcz ze starego, przenicowanego palta, które po lewej stronie było mniej zniszczone niż po prawej. Poza tym ona tak bardzo zwracała uwagę, jak się z nim obchodziłem. Czy powiesiłem go w przedpokoju na ramiączku, ponieważ był zbyt ciężki, by wieszać go na pętelce, i czy nie wycieram nosa w rękaw. Była bowiem bardzo dumna z tego płaszcza, bo, jak powiedziała przy ostatniej przymiarce, udało jej się mimo wszystko wydobyć jakąś formę z tego opornego materiału. Mnie jednak wydał się on koszmarny. Był za ciepły na jesień, miałem wrażenie, że jestem pracownikiem przedsiębiorstwa pogrzebowego, który musi zawsze wyglądać dostojnie, podczas gdy inni spacerują ze swobodnie przewieszonymi przez ramię lekkimi płaszczkami. Jego rękawy nie ustępowały niemal długością rękawom w wypożyczonym dla mnie policyjnym mundurze podczas pochodu, ale

z kolei w klatce piersiowej był za wąski i gdy zapinałem wszystkie guziki, prawie nie mogłem oddychać. Jeśli go nie zapinałem, co robiłem przeważnie z powodu gorąca, a także dlatego, że wówczas nie było przynajmniej widać, że płaszcz tak pokraccie rozszerza się ku dołowi, wówczas miałem wrażenie, że jest jeszcze cięższy. Jakby ocieplacz w zwisających ku przodowi połach zrobiony był z piasku. Narzekanie w domu nic nie pomagało. Matka mówiła tylko: „To tylko takie pierwsze wrażenie.” Albo zaczynała śpiewać:

*Biedak w sabotach,
Żebraczych łachmanach
Często więcej znaczy u Boga Pana,
U Boga Pana,
Niż ci wszyscy panicze
W pięknych kaftanach.*

Ale kiedy pewnego razu szedłem mocno pochylony do przodu w rozpiętym płaszczu, trzymając w każdej ręce chusteczkę do nosa i pakunek z chlebem, usłyszałem, jak ktoś mówi tuż za mną: „Zobacz, jaka pokraczna postać.” Wtedy miarka się przebrała. W parku na ławce przy niewielkim stawie zdjąłem płaszcz. Lecz nim go wyrzuciłem, uprzytomniłem sobie, że ktoś z pewnością go znajdzie, i że w gazecie pojawi się ogłoszenie: Znalezione gruby wełniany płaszcz (własnej roboty). A wtedy moim rodzicom przysłoby jeszcze zapłacić znaleźne, żeby odzyskać ten paskudny łachman. Dlatego oderwałem kawałek papieru z jednego z pakunków z chlebem i napisałem na nim: „Panie szmaciarzu! Może pan sobie zabrać ten płaszcz. Są w nim mole i inne szkodliwe robactwo. Kładę go obok kosza na śmieci. Jeśli się panu nie przyda, proszę go wyrzucić gdzieś w lesie. Buysowa.” (Była to jedna z naszych klientek, bo przekonałem się, jak trudno jest wymyślić na poczekaniu jakieś nazwisko. Z początku bałem się jednak, że znajdzie się jakiś pomyleniec, który odniesie ten płaszcz, chociaż nie podałem żadnego adresu. Później, gdy zanosilem do niej zakupy i stałem w otwartych drzwiach czekając na koszyk, zawsze nieco bojaźliwie spoglądałem na wieszak.) Wetknąłem kartkę w dziurkę od guzika i wrzuciłem płaszcz w ostrokrzew za transformatorem. W domu powiedziałem, że w południe w trakcie gry w piłkę powiesiłem go na ogrodzeniu, i że o czwartej już go tam nie było. Ojciec oświadczył, że ma mnie już po dziurki w nosie. Przez tydzień bez kolacji do łóżka. Ale pozbyłem się płaszcz. Moja siostra aż gotowała się ze złości. Powiedziała, że oczywiście umyślnie się go pozbyłem. „Ale jeszcze mnie popamiętasz”, dodała. Może to i przypadek, że mówiąc to przesunęła mściwym wzrokiem po starej, żeliwnej singerowskiej maszynie do szycia na pedały, ale ja odniosłem wrażenie, iż w ten sposób przydaje mocy swej groźbie. Zrealizowała ją jednak dopiero w

połowie wojny, kiedy zacząłem pracować w biurze przydziałów i w związku z tym musiałem przyzwoicie się ubierać. Uszyła wtedy z włochatego brązowego materiału, który był tak gruby, że marszczył się jak smoła, coś w rodzaju wiatrówki, będącej czymś pośrednim między podciętym habitem mnicha a kaftanem średniowiecznego herolda. Ale póki co mogłem znów swobodnie maszerować do szkoły. Z początku musiało to chyba wyrzeć dobry wpływ na moje wyniki w nauce, co jednak niewiele pomogło, bo już zanadto się w niej opuściłem wskutek ciężącego mi nie mniej niż tamten płaszcz uczucia, że moje życie zostało zmarnowane, ponieważ nigdy nie będę mógł studiować biologii. Moje świadectwo na Boże Narodzenie było tak złe, że posłużyło moim rodzicom za dogodny pretekst, by zabrać mnie ze szkoły i postawić w sklepie. I dobrze się stało, bo mój ojciec mógł teraz zniknąć z domu na całe dni, by skupować stare złoto. I tak oto zacząłem zbierać zamówienia od tych niewielu klientów, jacy nam jeszcze pozostali. Żałosne listy zakupów:

1 funt szarego mydła

1 funt soli

1 funt sody

1 paczka chlorku

1 torebka ultramaryny

1 mydło toaletowe

Gdy odnosiłem zamówione towary i przyjmowałem zapłatę, musiałem podpisać się u dołu i dodać: „wykonano”. Zawsze przypominał mi się wtedy Chrystus na krzyżu, gdy oddaje ducha i mówi: „dokołało się”, tak że za którymś razem napisałem nawet u dołu: „dokołało się”. Nikt tego nie zauważył, bo nie mieliśmy już kalwińskich klientów, ci kupowali o cent taniej u Alberta Heijna czy VeViVo. Ale moja matka spostrzegła to natychmiast, gdy znów przyniosłem tę samą książeczkę zamówień. Nie powiedziała jednak ani słowa, chyba mnie zrozumiała. Może nawet wierzyła, że po każdej męce następuje spełnienie. Wytarła wszystko gumką i poprawiła. Lecz pod jej spokojnym, okrągłym charakterem pisma pozostał jednak ślad po moich bazgrołach. Gdy ojciec spytał, co to takiego, powiedziała: „Nic ważnego”, i oczywiście znów zaczęła nucić cichutko. W tamtym okresie naszym lokatorem był Niemiec, Schmidt, chudy mężczyzna o głębokich pionowych bruzdach w policzkach, który twierdził, że handluje zamkami. Miał walizkę wypełnioną próbkami małych klódek, ale kiedy wychodził z domu, mój ojciec mówił często: „Ten człowiek znowu zostawił walizkę w swoim pokoju.” Albo spotykał go spacerującego gdzieś po Lejdzie, a gdy ten spostrzegł mego ojca, sprawiał wrażenie lekko spłoszonego. Mój brat twierdził, że on pewnie jest szpiegiem, lecz ojciec zakazał mu o tym mówić, bo jeśli nawet tak było, to chyba szpiegował dla dobrej strony, bo za każdym razem gdy jechał do Niemiec, opowiadał, że tam jest strasznie i że Żydzi nie mają tam życia. I odtąd podczas wieczornej modlitwy mój ojciec modlił się także za Żydów, by Bóg osłonił ich przed bestią z otchłani, bo przecież wywiódł już kiedyś swój lud suchą stopą pod wodzą Mojżesza z domu niewoli w Egipcie. Wkrótce potem zjawił się u nas w sklepie niewysoki Żyd o sinych policzkach. Spytał ojca, czy mamy stare złoto, i wymienił tak wysoką cenę za jeden gram, że mój ojciec pomyślał, iż będzie

znacznie korzystniej sprzedać jemu niż wozić do Drijfhouta w Amsterdamie. Gdy ojciec przyniósł nieco złota z zaplecza, tamten mężczyzna zważył je, a gdy wymienił ciężar, okazało się, że było tego o sześć gramów mniej niż złoto ważyło w rzeczywistości. Ojciec wyjął z wewnętrznej kieszeni swoją małą wagę w drewnianym pudełeczku i zważył przy nim jeszcze raz. Nagle tamten człowiek powiedział: „Lata taki z gołym tyłkiem i jeszcze będzie się tu mądrzył.” Stałem jak zamurowany, bo byłem pewien, że ojciec huknie go głową w szczękę, jak kiedyś nauczyli go w amsterdamskiej policji, gdzie służył przez jakiś czas. Ale on najpierw spokojnie zapakował wagę do pudełka, a potem złapał tamtego człowieka za kołnierz, uniósł go w powietrze, otworzył drugą ręką drzwi i wyrzucił go na ulicę krzycząc: „Nic dziwnego, że chcą was przegnać z Niemiec, ty śmierdzący parchu!” Jeszcze tego samego tygodnia wyrzucił ze sklepu też NSB-owca. Był to przedsiębiorca budowlany, który mieszkał w sąsiedztwie i próbował skaptować mego ojca, tłumacząc mu, że w Niemczech wielodzietne rodziny cieszą się wielkim poważaniem, a po dziesiątym dziecku dostaje się tam nawet odznaczenie. Na co mój ojciec odparł ze złością, że za wypełnianie biblijnego przykazania „idźcie i mnożcie się” (o którym mój brat powiedział kiedyś ironicznie, że dwa razy dwa jest cztery) nie są mu potrzebne wyrazy uznania od świata. Lecz kiedy tamten mężczyzna zaczął opluwać Żydów, ojciec pokazał mu drzwi ze słowami: „Oni byli już cywilizowanym narodem, kiedy wy biegaliście jeszcze w zwierzęcych skórkach.” Te słowa przypominały mi się za każdym razem, gdy podczas wojny spotykałem jego żonę kroczącą po wsi w futrze.

Niemiec mieszkający u nas w domu był sympatycznym człowiekiem. Gdy któregoś dnia musiał znów jechać do Niemiec w interesach, obiecał, że przywiezie nam wrotki. Rodzice usiłowali ostudzić nieco nasze pełne napięcia wyczekiwanie mówiąc, że powiedział to tylko tak, dla żartu, bo wrotki są bardzo drogie. Lecz ja uwierzyłem mu bez zastrzeżeń, nawet zaczęto się ze mnie wyśmiewać, bo naszego lokatora nie było tak długo, że jeśli nawet miał taki zamiar, to z pewnością już dawno o nim zapomniał. Jednak nie, gdy wrócił, miał ze sobą trzy pary wrotek. I tak oto zostali spłoszeni ostatni klienci, którzy jakimś cudem wpadliby na pomysł, by wejść do naszego sklepu. Ponieważ moja matka chciała mieć nas cały czas przy sobie, a ojca nie było po całych dniach, wolno nam było jeździć po kamiennej posadzce w sklepie. Toteż kręciliśmy się wokół dwóch lad, z początku odpychając się od pustych pudeł czy od wielkiego żeliwnego koła młynka do kawy. Lecz już wkrótce śmigaliśmy po sklepie w takim pędzie, że musieliśmy dawać sobie znaki, kiedy ktoś chciał wejść czy wyjść, ponieważ inaczej zostałyby nieodwołalnie rozjechany na miazgę. Gdy wracałem do domu, jeszcze nim doszedłem do rogu, słyszałem metaliczny zgrzyt kółek. Brzmiało to tak, jakby ktoś cały nasz dom szlifował na szlifierce. A zaraz potem spostrzegłem pochylone sylwetki mojego brata i siostry, przemykające za stosami pustych pudeł wystawowych. Gdy wchodziłem do sklepu, nie zawoławszy uprzednio „zatrzymajcie się”, jako że i tak nie było słyhać dzwonka, brat pędził prosto na mnie, tuż przede mną robił ostry zwrot i wołał: „Pijnenburg na zakręcie!” W tamtym okresie przestał do nas przychodzić Nereczka, gruby, rudowłosy mężczyzna, który tak często wpadał tylko po to, by napęłnić mu buteleczkę maggi, że mój ojciec wreszcie powiedział: „Jeśli jemu nie wysiądą nerki, to ja nic z tego nie rozumiem.” Przestał się także pokazywać Miętówka, blady, wstydlivy młodzieniec, który

regularnie w każdy piątek przychodził po rolkę Kingów, i dla którego mój ojciec, gdy pewnego razu nie miał akurat dropsów miętowych w sklepie, przyniósł nawet z szafy w pokoju jedną rolkę odłożoną obok modlitewników na niedzielę. Co do niego jestem pewien, że unikał nas z powodu wrotek. Pewnego razu akurat sam jeden jeździłem wkoło po sklepie, gdy zobaczyłem, że nadchodzi. Natychmiast przykucnąłem za ladą, ale ponieważ matka nie usłyszała dzwonka, tak długo trwałem w tej niewygodnej pozycji, że w końcu przewróciłem się na plecy. Moje stopy z kręcącymi się z warkotem kółeczkami wysunęły się tuż poza ladę. Nie miałem odwagi wciągnąć ich z powrotem, leżałem więc nieruchomo. Przez chwilę zapanowała śmiertelna cisza, a potem znów usłyszałem dzwonek. Gdy wygramoliłem się zza lady i spojrzałem ostrożnie ponad nią, zobaczyłem, że Miętówka stoi po przeciwnej stronie ulicy i w zamyśleniu przygląda się naszemu sklepowi. Potem odszedł z pochyloną głową. Wyglądało na to, że nawet Niemiec, który stał się przyczyną naszej nowej manii, nie mógł jej wytrzymać. Nagle przepadł na dobre, i to bez pożegnania. Zostawił nawet swoją walizkę, jakby te kilka minut, które musiałby poświęcić na zniesienie jej po schodach, stanowiło dla niego sprawę życia i śmierci. Ponieważ zawsze płacił za trzy miesiące z góry, stała jeszcze przez jakiś czas w jego pokoju obok laski z mnóstwem metalowych znaczków z widokami uroczych niemieckich wiosek. Później walizka znalazła się na strychu, a z biegiem czasu ojciec zaczął wyjmować z niej po jednym zamku. W końcu nawet przy kłatkach dla królików wisały wspaniałe, połyskujące kłódki. My też podkradaliśmy od czasu do czasu jakąś kłódkę, by posłużyć się nią jako obiektem wymiany, ale chyba posunęliśmy się zbyt daleko, bo kiedy w połowie wojny ojciec znalazł walizkę na strychu, wgniecioną i pustą, kręcąc głową postawił ją przy koszu na

śmieci i patrząc na mnie z wściekłością powiedział: „Wygląda na to, że w tym domu wszystko znika bez śladu.”

Teraz, gdy pracowałem w sklepie, dostawałem każdego tygodnia piętnaście centów kieszonkowego. Wraz z tym, co udało mi się ukraść, stanowiło to dostateczną sumę, by w sobotę kupić paczkę damskich papierosów Rosita z czerwonym ustnikiem (które paliłem tak niezręcznie, że Wim Krijger powiedział do mnie: „Palisz jakbyś całował dziewczynę”), by zjeść w małym sklepiku przy Steenstraat w Lejdzie trzy jajka na twardo w majonezie i jeszcze pójść po tym do kina. Do „Rexa” przy Haarlemmerstraat, gdzie trzecie miejsca kosztowały piętnaście centów. Z początku nie miałem odwagi obejrzeć nawet fotosów czy stojąc po drugiej stronie ulicy przeczytać tytułu filmu na wielkiej tablicy umieszczonej nad wejściem. Szedłem tam tuż przy samych sklepach i im bardziej się zbliżałem, tym bardziej kuliliśmy się w sobie. A potem przemykałem chyłkiem przez hol do kasy. W wielkiej oświetlonej sali pełnej wspaniałych postaci na ścianach szedłem za mężczyzną w mundurze ze złotymi epoletami na wskazane mi miejsce. Nie pytał mnie nawet, czy wolno mi tu przychodzić, czy czasem nie jestem z kalwińskiej rodziny. Siadałem wśród chłopaków z Lejdy, którzy bynajmniej nie zachowywali się cicho, ani też nie byli pod głębokim wrażeniem. Poszturchiwali się nawzajem, wrzeszczeli i wiercili na swych składanych krzesłach. Często nawet któryś z nich przełaził przez oparcia, żeby usiąść o jeden rząd bliżej. Nie miałem odwagi zapalić, bo bałem się, że mnie wyśmieją, ponieważ oni rozmawiając ze sobą nie wyjmowali z kącika ust bujającego im się beczelnie papierosa. A dym wydmuchiwali przez nos. Kiedy bajka dobiegała końca, a w sali znów zapalało się światło, wszystko traciło dla mnie nagle wszelki urok. Z wypiekami na twarzy i głową opuchniętą od emocji przesuwalem się po łupinach od ziemnych orzeszków i papierkach po toffi do wyjścia. Pozwalałem, by poniósł mnie hałaśliwy strumień aż na ulicę, gdzie przystawałem na chwilę przed wystawą

sklepową, aż wszyscy widzowie odeszli i nikt już nie mógł pomyśleć, że jestem jednym z nich. Potem ukradkiem rozglądałem się parę razy wokół, przechodziłem przez ulicę i możliwie jak najszybciej skręcałem w lewo. A wieczorem przy skąpym świetle lampy naftowej, którą ojciec kupił, by oszczędzać na elektryczności, i przy której każdy siedział jak najbliżej ze swą książką czy lekcjami, żeby nie popsuć sobie oczu, ja marzyłem o Myrnie Loy i Claudette Colbert. Aż matka pytała, czemu siedzę tak cicho i czy coś się stało. Wstawałem wówczas nieprzytomnie i oświadczałem, że idę spać. Mój ojciec przyjmował wtedy automatycznie, że jestem niezdrów. I rzeczywiście miał rację, bo cały ten wydumany świat filmu przenikał moje ciało jak gorączka. Leżałem w łóżku, wyobcowany i zdumiony, i nie wiedziałem, jak można pogodzić to wszystko z pełnym trosk życiem tych ludzi na dole, którzy byli moimi rodzicami.

Sklep nie mógł już stanowić, nawet dla chłopca, który nie skończył jeszcze czternastu lat, zajęcia na cały dzień. Kiedy z koszykiem na kierownicy, w którym nieraz siedziałem jako dziecko, przejeżdżałem obok zapuszczonego poletka, pełnego dołów i małych wierzbowych zagajników, gdzie chłopcy grali w piłkę, patrzyłem najpierw, czy nie ma wśród nich mych dawnych kolegów, którzy poszli do gimnazjum. Jeśli byli, wracałem kawałek i chowałem rower z koszykiem w krzaki. A potem zbliżałem się do nich, jakbym akurat przechodził tamtędy przypadkowo, naciągawszy uprzednio mocniej sznurowadła i zawiązawszy je na kokardkę. Przyjmowali mnie zawsze z otwartymi ramionami, ponieważ przeważnie z konieczności grali w nierównych składach i z bramkarzami biegającymi również w polu. W tej ostatniej roli cieszyłem się nawet pewną sławą, bo po ataku na bramkę przeciwnika udawało mi się wrócić na czas do własnej i bronić jej przed kontratakami z taką zajadłością, jakbym wcale nie przebiegł przed chwilą całego boiska tam i z powrotem. Lecz także i tę przyjemność zatruto mi z czasem, bo choć nie mieliśmy oczywiście prawdziwej piłki nożnej i graliśmy wyłysiałą piłeczką tenisową, która wciąż ginęła nam w wysokiej trawie, to jednak na czubkach moich butów pozostawały ślady. Mój ojciec pytał mnie wtedy z wściekłością, czy mnie się może wydaje, że oni mają jeszcze za mało trosk, i czy czasem nie ubzdurałem sobie, że żyję na świecie tylko dla przyjemności. I czy koniecznie muszę latać jak opętany za piłką i nabijać sobie siniaki na nogach, podczas gdy oni z trudem zapychali nasze burczące brzuchy. A skoro jego zdaniem i tak nie miałem nic lepszego do roboty, a węgiel kosztował teraz straszne pieniądze, kazał mi, żebym od tej pory wracając z pustym koszykiem od klienta wypełniał go drewnem leżącym na poboczu albo w opuszczonych ogrodach. I tak oto jeździłem po wsi ze stertą omszałych pniaków i gałęzi w koszu, na

którym wciąż jeszcze widniały po bokach żółtoczerwone tablice firmy Van Nelle, choć teraz trudno byłoby uznać je za reklamę. Kosz zrobił się tak brudny, a wierzbowa plecionka tak wymazana błotem i zapleśniała, że wyglądała, jakby mieszkała w nim parka morskich świnek. Po deszczowym weekendzie pojawiły się w nim kiedyś małe grzybki, które w ciągu jednego dnia urosły na pięć centymetrów i wisiały ciężkimi, ociekającymi wodą plechami.

Wtedy nastąpił koniec. Ogłoszono mobilizację, i mojemu ojcu przydzielono kantinę w zamku Oud-Poelgeest, gdzie stacjonowały oddziały kawalerii zmotoryzowanej. Zamknął sklep i pobielił szyby od wewnątrz wapnem. Kazał mi iść do naszych ostatnich klientów i podziękować im za współpracę. Zakwaterowano u nas oficera, wobec którego musiałem być grzeczny i uprzejmy, choć on, gdy szedł za moją matką, czynił nieprzyzwoite gesty, jakby chciał ją złapać za biodra czy pośladki. Potem robił do mnie dziwne miny, jakby to były tylko takie żarty, ale ja cały czas miałem go na oku. W południe siedział jak nadmuchana ropucha ze swoją bladą, opasłą twarzą i serwetą wciśniętą za sztywny kołnierzyk munduru nad befsztykiem, a kiedy wybuchła wojna, pewnie zginął „bohaterską śmiercią ze strachu”.

Zanim jeszcze wapno na wystawowej szybie nie zdążyło dobrze wyschnąć, ojciec rozebrał wystawę i w odległości dwóch metrów od okna zbudował z tego drewna ściankę. Jeszcze jeden dodatkowy pokój. Byłem pierwszym, któremu przyszło tam spać, ponieważ mój pokój właśnie bejcowano. Czułem się tu nieswojo, tuż za tą białą szybą, przez którą padało światło latarni, jakby cały czas była pełnia, i po której przesuwaly się cienie przechodniów. W szparze u dołu okiennej ramy leżały jeszcze pod warstwą kurzu i odprysków farby wysuszone osy i muchy, które kto wie jak dawno temu przyciągnął tu zapach suszonych południowych owoców. Resztę sklepu, z wyjątkiem wąskiego przejścia, ojciec przedzielił pudłami. Za nimi składałem gałęzie i pniaki, które wciąż pilnie znosiłem do domu. Powstała z tego tak ogromna sverta, że pod koniec zimy, gdy ojciec wynosił piec na strych, znów mógł powiedzieć do matki: „No cóż, żonko, znów szczęśliwie przetrwaliśmy.” Pewnego wieczora, gdy przechodziłem przez sklep do mego pokoiku za szybą, zobaczyłem za skrzyniami świecące zjawy na gałęziach. Trupio bład i na drżących nogach wróciłem do pokoju. Mój ojciec wstał spokojnie i poszedł ze mną bez lęku, bo jako dziecko też kiedyś ujrzał diabła i przegnał go modlitwą. Gdy zapalił światło, nie było widać nic niezwykłego, więc powiedział, że mi się tylko wydawało i że pewnie mam nieczyste sumienie. Lecz kiedy zgasił światło, ogniki nagle pojawiły się znowu, i to jeszcze wyraźniej niż przedtem. Złapałem ojca za przegub i staliśmy tak przez chwilę. Aż nagle on zaczął się śmiać i powiedział, że to drewno fosforyzuje. Lecz ja tej nocy nie spałem spokojnie. Miałem takie uczucie, jakby tuż obok, tam za przepierzeniem, rozpełzał się powoli stos wijących się poczwary, by za chwilę rozgnieść mnie na miązgę o szybę wystawową.

I tak oto ten rok dobiegał końca, w atmosferze strachu i pośród kwaśnego zapachu butwiejącego drewna. Czasem, w środku nocy, ulicą przeciągali żołnierze, krzycząc na konie i przekrzykując zgrzyt armatnich kół. Gdy się zatrzymywali, przez pobielone szyby widać było tu i ówdzie ogniki zapalanych papierosów. I słyszę znów, jak ojciec, zdmuchując niemal całkiem wypalone świece na choince w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, mówi z melancholią w głosie: „I tak oto święta Bożego Narodzenia 1939 roku też nieodwracalnie należą już do przeszłości.” Wybiegłem wtedy na werandę i stanąłem przy oknie za zasłoną. W ogrodzie zobaczyłem pień do rąbania drewna z wbitą w niego z boku wielką siekierą, ostro odcinającą się na tle śniegu. A tuż przy szybie wąty sznurek orzeszków ziemnych dla sikorek, zawieszony w gałęziach gruszy. I patrząc w przyszłość, nie potrafiłem wymyślić niczego, co mogłoby mnie ucieszyć.

POWRÓT DO OEGSTGEEST

Dziś rano byłem w archiwum jednej z gazet, by sprawdzić, czy nie zawiodła mnie pamięć, i czy w święta Bożego Narodzenia 1939 rzeczywiście leżał śnieg. Mokry śnieg. Na tej samej stronie przeczytałem:

ROSJA PONOSI CIĘŻKIE STRATY POD SALĄ.
BOŻONARODZENIOWA WIARA DODAJE SIŁ
TRAGICZNIE DOŚWIADCZONYM FINOM.

Z wojny nic już nie pamiętam. Zapamiętuje się tylko to, co ważne. Starego małego Chińczyka, który nadszedł naszą ulicą po śniegu, z przewieszonym przez ramię i kołyszącym mu się na biodrze zielonym chlebakiem. Szedł środkiem ulicy po śladach samochodowych opon, co czyniło go jeszcze bardziej samotnym. Mój ojciec zastukał w szybę i gestem pokazał jedzenie. Gdy Chińczyk zasiadł przy piecu z głębokim talerzem grochówki na kolanach, otoczyliśmy go wszyscy i śledziliśmy każdą łyżkę zupy znikającą w jego ustach, w których widać było kilka złotych zębów. Miał na rękach czarne wełniane rękawiczki, przez co wyglądał jak zwierzątko, które potrafi doskonale ryc norki w ziemi. Jego małe ciemne oczka pozbawione brwi spoglądały przyjaźnie, lecz jego żółta pomarszczona twarz była zbyt zziębnięta, by mógł pojawić się na niej uśmiech. Nim odszedł, wręczył każdemu z nas paczuszkę bloku orzechowego. Ojciec odebrał go nam, włożył mu z powrotem do pudła i zrobił wzbraniający gest. Lecz tamten niewzruszenie rozdał go ponownie i uśmiechnął się do mego ojca. Gdy Chińczyk znów zniknął w śniegu, a ojciec wytarł już ścierką dwie mokre plamy na linoleum w miejscach gdzie spoczywały jego stopy, powiedział: „To był bardzo drogi talerz grochówki dla tego człowieka.”

Kartkując rocznik gazety przeczytałem w wydaniu z 2 października: Czy Hitler zamierza ustąpić? Według jednej z angielskich gazet chce zrezygnować ze swych funkcji na rzecz Goeringa. Londyn, 2 paźdz. (Havas). Jak podaje korespondent „Daily Mirror”, Hitler w najbliższej „mowie pokojowej” w Reichstagu może zaproponować swe ustąpienie na rzecz Goeringa, jeśli Francja i Anglia zgodzą się na jego propozycje pokojowe. Hitler ma oświadczyć, że utworzył już Wielkie Niemcy, i w przyszłości pragnie poświęcić się wyłącznie sztuce i literaturze.

Gdy już raz znalazłem się w archiwum, nie mogłem się powstrzymać, by nie wyjąć z regału rocznika 1925 i nie zobaczyć, czy w dniu moich urodzin wydarzyło się coś ważnego. W rubryce *Sprawy krajowe* wyczytałem: Nowe natarcie w Atjeh. A w dziale *Sport*: Holandia – Dania 4 : 2. Tego dnia było zachmurzenie zmienne do dużego z możliwością opadów deszczu i z silnym do porywistego wiatrem z kierunku południowego. Tego się właśnie spodziewałem.

Gdy w niedzielę przejeżdżałem przez Oegstgeest, minąłem moich rodziców. Stali przy lasku nad Wijkersloot, zwrócenii plecami do drogi, tak że mnie nie widzieli. Ojciec zamaszystymi gestami wskazywał stary, cudownie wyglądający buk po drugiej stronie kanału. A moja matka, kiwając głową bardziej ze względu na niego niż z autentycznego podziwu, stała wsparta na jego ramieniu. On trzymał w ręku książeczkę z psalmami. Zdjąłem nogę z gazu, jakbym chciał przemknąć obok nich bezszelestnie. We wstecznym lusterku zobaczyłem, że idą dalej. Mój ojciec obejrzał się jeszcze raz na ten wspaniały, złotożółty buk stworzony ręką Boga. Mocne, sprężyste gałęzie tego drzewa przywodziły mi jako dziecku na myśl umięśnione ramiona mego ojca. Często wspinałem się na nie, bo gałęzie zaczynały się tuż przy ziemi.

Dalej, we wsi, statecznie i w niedzielnych ubraniach, kroczyli alejami ludzie do kościoła. Nadchodzili ze wszystkich stron. Zupełnie, jakby w miejscu tamtego brzydkiego, ceglanego kalwińskiego kościoła stał magnes, który przyciągał ich wszystkich. Rozpoznałem niektórych wiernych. Wyglądali na jeszcze bardziej wysuszonych niż dawniej. Właściwie nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, jak mój ojciec ze swym południowym temperamentem i patetycznymi gestami zdołał wytrzymać przez całe życie pośród tych wyjąłowionych ludzi. I jak mógł pozwolić, by okaleczyli go do tego stopnia, że zabronił nam jeździć na rowerze, bawić się piłką i skakać przez kozła w niedzielę.

Dawniej mój ojciec zawsze dostarczał wino na Świętą Wieczerzę, W sobotni wieczór stało na bocznej ladzie dwanaście przygotowanych butelek. Przyglądałem się im badawczo, lecz na etykietkach nie widać było nic szczególnego. Po prostu dwanaście przypadkowo dobranych z regału butelek. Dopiero gdy znalazły się w wielkim koszu z pałąkiem i ojciec owinął je białą chustą, czego nie robił oczywiście przy innych zamówieniach, stawały się poświęcone, były krwią Jezusa Chrystusa. To, że mój ojciec zanosił je na plebanię dopiero po zapadnięciu zmroku, dawało mi uczucie, że należymy do wtajemniczonych, że jesteśmy instrumentem w Boskiej dłoni, dzięki któremu mógł się dokonać cud przemiany wina w krew. Później, gdy mieliśmy w sklepie już tylko najpotrzebniejsze artykuły, musiałem niejednokrotnie kupować wino u konkurenta po cenie hurtowej. Któregoś razu przyniosłem niewłaściwe: hiszpańskie słodkie, „Nie można używać biskupiego wina podczas Świętej Wieczerzy”, powiedział mój ojciec. Lecz było już za późno, by jeszcze wymienić butelki. Otworzył jedną z nich i spróbował. „Aż mdli”, powiedział. „Przecież ci mówiłem, nie za słodkie i nie za cierpkie.” Zakorkował butelkę, ponownie owinął szyjkę folią metalową, a potem w misce odmoczył etykietki na wszystkich.

Następnego poranka w kościele przyglądałem się uważnie wiernym siedzącym gromadnie wokół dużych białych stołów. Pastor wziął srebrny kielich, uniósł go i powiedział zmęczonym i podniosłym głosem: „Oto kielich dziękczynienia, który błogosławimy z wdzięcznością, a który jest wspólnotą krwi Chrystusowej. Weźcie go i wszyscy napijcie się z niego, wierząc i pamiętając, że umiłowana krew naszego Pana Jezusa Chrystusa przelano dla całkowitego zmazania wszystkich naszych grzechów.” Nim przekazał kielich dalej, wypił z niego łyk, lecz na jego twarzy nie zauważyłem niczego szczególnego. Jakby nigdy nic zaintonował psalm. Może wcale się nie napił, tylko udawał. Moja matka też tak czasem robiła, gdy siedziała obok niej jakaś nieapetyczna stara panna albo jakiś staruszek o obślinionych wargach. Ale mężczyzna, któremu podał kielich, popił łyk, chciał już odjąć go od ust, by podać dalej, lecz szybko pociągnął jeszcze jeden haust. I to samo zrobili następni. Nawet moja matka popiła tęgi łyk. Gdy siostra wspomniała o tym w domu, ona powiedziała: „Byłam dość blisko w kolejności, ale kielich był już niemal całkiem pusty. Musiałam prawie trzymać go do góry nogami.” A ojciec spojrzał na mnie ze złością i powiedział: „Ciebie to można wysłać po sprawunki”

Gdy później przejeżdżałem obok kościoła, odkręciłem szybę w samochodzie, ponieważ rozległy się organy. A zaraz potem usłyszałem, jak śpiewają:

*Nie śpiewa nikt w czeluści grobu Bożej chwały.
A zimny trup spowity w prochu całun biały
Już glorii mu nie wzmoże.
Lecz język nasz niech śpiewa aż po kres wieczności
Wszem Bożą moc jak też majestat Opatrzności.
Więc chwalmy imię Boże!*

Nagle znów ujrzałem ten kawałek ziemi pośród topól, gdzie zawsze przychodziłem, gdy miałem pięć lat, gdzie łapałem motyle i koniki polne, ten skrawek raj, z którego nagle mnie wyrzucono. Bo pewnego poranka zrobiono tam wykopy pod fundament kościoła. Leżały tam stosy cegieł, a obok pojawił się obramowany piaskiem zdradziecki krater niegaszonego wapna, podobny do bagna, w którym można się było zapaść bez śladu. Nie wolno mi było przebywać na tym terenie aż do owej niedzieli, kiedy to wyświęcono tę budowlę, która wylęgła się w wypełnionym wiórami i strzępami Biblii mózgu pobożnego wioskowego architekta.

Jeździłem jeszcze trochę tu i tam po okolicy, a potem zaszedłem napić się kawy do „Leliehof”. W holu zajrzałem do różnych ksiąg gościnnych, które, oprawne w pergamin, leżały na fortepianie. Bez trudu znalazłem autografy Binga Crosby’ego i Franka Sinatry, ale podpisu Musserta³, który jadł tu obiad w lecie 1941, nie było. Krążyłem wtedy na rowerze, na którym dumnie powiewała trójkątna chorągiewka Unii Holenderskiej, przed szpalerem WA-owców, stojących z karabinami pod pachą wzdłuż ogrodu. Usłyszałem, jak ktoś powiedział: „Jeszcze zastrzelą tego chłopaka.” Coraz bardziej wyzywająco przemykałem na rowerze przed ich szeregiem. Czułem się bohaterem dnia. Wieczorem w łóżku myślałem, że omal nie oddałem życia za coś bardzo szlachetnego i bohaterskiego. Oczywiście nie wiedziałem wówczas niczego o De Quayu, nie mówiąc już o tym, bym kiedykolwiek widział jego podobiznę czy też czytał jego partyjny program.

Wszedłem do środka, gdzie w zielonych skórzanych fotelach siedziało zaledwie kilkoro porządnych, niepozornych ludzi, z kęsem ciastka przy ustach zajęci byli niemal niesłyszalną rozmową. Wystraszony mężczyzna o wielkim czerwonym znamieniu na łysej czaszce, dwie podobne do kur damule z woskowatymi anglezami otaczającymi ich beżowe upudrowane twarze. Przy bufecie usłyszałem, jak kierownik restauracji mówi do jednego z klientów, że pstrąga należy smażyć i podawać w całości, ponieważ prawdziwi smakosze lubią wysysać mu oczy.

W ogródku było jeszcze cicho. Usiadłem z tyłu i naraz przyłapałem się na tym, że nucę „Czy masz celofanową opaskę z cygara”. Raptem uprzytomniłem sobie, skąd mi się to wzięło, ta melodyjka, której nie słyszałem od lat trzydziestych. Ponad krzakami popatrzyłem na ogród szkoły misyjnej i gdy między drzewami dojrzałem jej budynek, wydało mi się nagle, jakby ze wszystkich okien wychylała się ta szczerząca zęby w uśmiechu murzyńska głowa, która widoczna była na celofanowej wstążce firmy Cadena. Dawniej w tej misyjnej szkole był pewien Murzyn, dr van Andel, który jeździł na rowerze znacznie szybciej niż Holendrzy, którzy podobnie jak on mieli na sobie szykowne garnitury. Był misjonarzem i w mej młodości wydawał mi się jedynym pogodnym chrześcijaninem, nieraz widziałem go śmiejącego się szczerze. Mój brat miał chyba na myśli właśnie jego, mówiąc, że zna rozwiązanie, kiedy ja bardzo chciałem mieć papugę, a ojciec powiedział, że są o wiele za drogie i że klną przeraźliwie, ponieważ trafiają do kraju za pośrednictwem marynarzy. W szkole misyjnej, przekonywał mój brat, jest misjonarz z długą brodą. Ma papugę na ramieniu, która nazywa się Niedziela i potrafi śpiewać jedynie psalmy. Kto bez zająknięcia powie z pamięci wszystkie księgi Starego Testamentu jedną po drugiej, dostanie tę papugę w podarunku. Lecz ja nawet nie poszedłem tam popatrzeć, bo wiedziałem, że brat wziął ten pomysł z *Robinsona Crusoe*, na którego okładce widniał właśnie misjonarz z długą brodą i papugą na ramieniu.

Wszystko w Oegstgeest budzi we mnie wspomnienia z dawnych lat. Z żabą w ręku, która właśnie wyczołgała się z małego stawu w ogródku i przez chwilę wygrzewała się w słońcu przed czekającym ją wkrótce snem zimowym w mule, biegiem znów za moją wrzeszczącą siostrą. Bo choć kochałem zwierzęta, często nie potrafiłem oprzeć się pokusie, by posłużyć się nimi dla celów obronnych. Ale po fakcie zawsze tego żałowałem, bo siostra groziła mi wtedy, że kiedy będę spał, wleje kubek mydlanej piany do mojego terrarium. A wtedy znów czekała mnie bezsenna noc, podczas której wciąż wisiałem wychylony z okienka na dachu, by czuwać, czy przez ogród nie przemknie cień mojej siostry w nocnej koszuli. Często nadużywałem też mych żab, by znaleźć się w centrum zainteresowania. Na przykład, gdy ktoś przychodził z wizytą. Zawsze ten sam numer: „całowanie żaby”. Było ono nawet częściowo stymulowane przez moich rodziców. Oczywiście nic nie mówili, ale szybko narastało coś w rodzaju przygotowawczej, chichotliwej atmosfery. Gdy wówczas wchodziłem do pokoju z żabą, a całus było słychać w całym pomieszczeniu, siostry i kuzynki wykonywały dziwaczne podskoki z odrazy. Moi rodzice przyglądali się temu z niejakim rozczeniem, podobnie zresztą jak wujowie i ciotki. A mój brat mówił: „Zobaczcie, jak to stworzenie krzywi się z obrzydzenia.” Lecz mówił tak tylko dlatego, że mi zazdrościł, bo wieczorem w łóżku znów o tym zaczynał, i mawiał wtedy: „Ja już wolałbym pocałować dziewczynę, wiesz gdzie.”

Nagle pochyliłem się i ostrożnie wylałem na żabę śmietankę do kawy. Na chwilę zamknęła oczy, lecz nadal siedziała nieruchomo. Dopiero gdy wstałem, uskoczyła w bok. Został tylko ślad przypominający odchody czapli. Pomyślałem o zabawach z braćmi i siostrami, jakim oddawaliśmy się dawniej w półmroku strychu imitując sakralne czynności. I znów usłyszałem swój własny głos, mówiący: „Chrzcić od góry, a dość od dołu.”

Gdy znów jechałem przez wieś, wszędzie ponownie ożyły te postacie, które wywarły na mnie jako dziecku trwałe wrażenie. Starzy, purpurowi konsumenci spirytusu, z których jeden, śpiewając bełkotliwie, leżał na Hofdijk z cynfolią ze swej opróżnionej do połowy butelki na tłustym nosie i z jedną nogą zanurzoną po kostkę w wodzie kanału. Włóczęga z brodą i złowrogo czarnymi oczami jak Landru, który każdej jesieni wałęsał się przez kilka dni po wsi, z jutowym workiem na kiju zawieszonym na ramieniu, który później, jak twierdził mój ojciec, odlatywał z ptakami na południe. Gdy podrosłem, widziałem go jeszcze kiedyś siedzącego na parkowej ławce. Wyglądał na tak bardzo opuszczonego, że pomyślałem, iż pewnie będzie mu miło, jeśli ktoś zechce z nim porozmawiać. Miałem też nadzieję, że wyjawi mi swą romantyczną tajemnicę, powód, dla którego wyruszył na włóczęgę: Za sprawą nieszczęśliwej miłości? A może wskutek śmierci żony, którą kochał gorąco? Lecz kiedy usiadłem przy nim i zacząłem mówić, wymamrotał szybko przytłumionym przez brodę głosem: „Spieprzaj stąd.” Gruby Werkhoven w swym czarnym sztruksowym garniturze, który mieszkał w uznanym za nie nadający się do zamieszkania domku na drugim końcu wsi, i który podczas konkursu na rzuty do celu w dniu urodzin królowej zawsze wygrywał butelkę jałowcówki. Na tyłach ogrodu miał zawsze deskę z rozpiętymi do suszenia krecimi skórkami. Dzieci mówiły, że łapał je wstawiając otwarty scyzoryk pod krecie kopce na początku ich korytarzy. Zwierzęta biegały nocą po korytarzach z takim impetem, że same nadziewały się na czubek scyzoryka. W duchu widziałem wtedy te ich blade, grzebliwe ludzkie łapki, które on pewnie odcinał im przy patroszeniu. A także martwego kreta, którego zapakowanego starannie w szary papier położyliśmy wraz z bratem na ladzie u naszego rzeźnika, przy czym mój brat powiedział, że matka tego nie zamawiała. I rzeźnika, który rozwinął

papier i nie dał niczego po sobie poznać, i powiedział, że mylić się jest rzeczą ludzką. Wielki dom otoczony przypominającym park ogrodem, do którego, kiedy bieda w domu zaczęła nas przygniatać, dostałem się przez ogrodzenie i naśladowując głos szacownej damy zawołałem: „Janie, wejdź do środka!” Handlarz książkami, do którego wypożyczalni zaszedłem kiedyś, by spytać o poemat *Maj* Gortera, na co usłyszałem, że niestety nie ma Gorta Majera. Było mi tak wstyd za niego, że łzy napłynęły mi do oczu. Gdy kupowałem u niego podczas wojny wiersze Perka i poprosiłem o dwa tomy, nie chciał mi ich sprzedać. „Nie zajmujemy się spekulacją”, powiedział. Wszystkie te malowane domki, obok których przejeżdżałem, i z których dawniej odbierałem garnki z jedzeniem, kiedy podczas kryzysu kościół wszczął akcję wśród lepiej sytuowanych parafian, polegającą na tym, by przez kilka miesięcy rozpieszczać na zmianę kobiety z licznymi rodzinami, które dopiero co powiły dziecko. Garnuszek zupy, garnuszek z kalafiozem, kartofelek i sznycelek cielęcy, budyń z sokiem porzeczkowym. Większość była bardzo miła, lecz ci, którzy po prostu nie ośmielili się odmówić, robili to z niechęcią. I gdy przychodziłem do nich, dostawałem jedzenie z takim spojrzeniem, jakby to była silna trucizna albo jakby życzyli nam, żebyśmy się tym udławili. Ale może tylko mieli nadzieję, że po drodze upuszczę garnek na ziemię.

Wracając zauważyłem, że bank wyprowadził się z naszego dawnego sklepu. Szyba znów była pobielona wapnem, a dom opustoszał. Oby tylko mój ojciec tędy nie przechodził, pomyślałem, bo wtedy pewnie zechciałby zacząć wszystko od nowa. I znowu zobaczyłem samego siebie zasłaniającego ręką koniec słuchawki telefonu, tak jak on to często robił na moich oczach. Oczywiście ten niewłaściwy koniec. „Tej Terwee znowu się zachciało paczki krochmalu”, mówiłem pogardliwie do ojca, ponieważ on także często wyrażał się lekceważąco o ludziach, którzy wieczorem dzwonili do nas, by wyrwać nas z domu i zmusić do piętnastominutowego pedałowania w deszcz i niepogodę za cent zysku. Gdy znów przytykałem słuchawkę do ucha, ona zdążyła już odłożyć swoją. A ojciec mówił wtedy kręcąc głową, lecz bez złości: „No to się jej pozbyliśmy.” Widziałem dziewczynę z mojej klasy, która wkrótce potem, jak rodzice zabrali mnie ze szkoły i postawili w sklepie, przyszła kupić u mnie słodycze. Wstydzilem się tak bardzo, że na wszystkie jej pytania odpowiadałem tylko *yes* albo *no*. Wreszcie powiedziała niespodziewanie: „Jesteś za głupi.” Jediną przyjemną rzeczą w sklepie było dekorowanie wystawy, ojciec zawsze powierzał to mnie i przeważnie był bardzo zadowolony. Prócz tego jednego razu, kiedy na kartce z ceną przy stercie puszek z ciastkami napisałem: Talarki – nieśmiertelnie smaczne ciasteczka. Musiałem natychmiast to usunąć. „Przerób to na ‚pyszne’, przynajmniej ludzie będą wiedzieć, o co chodzi”, powiedział. „A nieśmiertelni stajemy się za sprawą Chrystusa.”

Wkrótce potem mój ojciec pomyślał sobie chyba, że rzeczywiście próbuję zapracować na tę nieśmiertelność, gdy odkrył, że wzorem Chrystusa dostarczam cudownie rozmnożonego jadła. Bo kiedy byłem chory i on sam zawiózł sprawunki do wdowy, która wraz z sześciorgiem dzieci żyła z zasiłku komitetu dobroczynnego, ta spytała, gdzie są ciastka. W ten sposób mój ojciec zorientował się, że każdego tygodnia dokładam gratis kawałek piernika czy innego ciasta do zakupów przeznaczonych dla biednych klientów. Nie ukarał mnie za to, być może dlatego, że leżałem w łóżku z gorączką. Powiedział jednak, że ta nierozważna dobroczynność kosztowała go furę pieniędzy, i że swą skłonność do naśladowania Chrystusa powinienem wcielać w życie przede wszystkim w domu.

I znów zobaczyłem nas wszystkich obierających orzeszki ziemne, gdy ojciec otworzył wytwórnię masła orzechowego. Lecz także i to zakończyło się niepowodzeniem, bo zbyt wiele zjadaliśmy podczas obierania. Ojciec musiał więc ponownie szukać nowego ratunku, i wtedy wpadł na pomysł zbierania fusów od kawy, suszenia ich na strychu i ponownego mielenia. Lecz na szczęście nigdy się do tego nie zabrał.

Teraz, gdy znów pobielono szyby, można było odnieść wrażenie, że cała ta bieda jest dalej obecna za witryną. I przypomniało mi się, o co moja matka poprosiła mnie szeptem, nie patrząc na mnie, jakiś czas temu, gdy ojciec wyszedł na chwilę z pokoju: „Chyba nie będziesz pisać o naszym sklepie?” A kiedy milczałem, ona spojrzała na mnie, a ja skinąłem głową. Natychmiast wstała i podeszła do okna.

EUTANAZJA I WIWISEKCJA

Moją pierwszą pracą była posada dozorczy zwierząt w Laboratorium Patologicznym Szpitala Akademickiego w Lejdzie. Dopiero co ukończyłem czternaście lat. Zwierzętami tymi były białe szczury i myszy. Musiałem dawać im jeść, nacierać im ogony maścią siarkową, gdy miały parchy, i utrzymywać w czystości ich galwanizowane żelazne klatki. Każdego poranka o wpół do ósmej szedłem kończącą się ślepo Wassenaarse Weg do ponurych laboratoriów. Z boku przy jednym z budynków mieściła się psiarnia. Była mroczna i omszała, a słońce nie docierało tam nigdy. Za stalową siatką przebywały psy z wygolonymi w sierści kwadratami. Ich skóra w tym miejscu była poorana bliznami. Gdy przechodziłem obok, stały tylko, osłabione i nieruchome. Jeden z nich, duży i czarny, merdał czasem na mój widok ogonem, lecz ja nigdy nie zbliżałem się do ogrodzenia. Wołałem nie oglądać ich z bliska. Wiedziałem, że po ostatniej operacji trafi do śmietnika i zostanie spalony. Jeszcze teraz, gdy przejeżdżam pociągiem przez stację w Lejdzie i widzę dym wydobywający się z komina szpitalnego krematorium, z jego kłębow wyłania się przed moimi oczami smutny cień tamtego czarnego psa. Lecz przez pierwsze dni nawet mi się tam podobało, choć mąka, która rozrobiona z wodą na gęstą breję służyła za pokarm dla zwierząt, śmierdziała rzygowinami. Póki po pierwszych ćwiczeniach nie zobaczyłem pojemników z pokrojonymi zwierzętami, martwymi i jeszcze półżywymi. A wśród nich białego szczura, który wyczołgał się spomiędzy trupów, wlokąc za sobą galaretowatą masę własnych wnętrzności. I myszy, leżącej na grzbiecie, która spoglądała ciekawie do góry swymi błyszczącymi oczkami, zapadając się tymczasem we krwi i brudzie. Wtedy miejsce to stało się dla mnie piekłem, w którym później i ja miałem mieć swój udział, bo na dobre utraciłem tam moją wiarę w Boga. Zdawało mi się, że w tych pojemnikach rozpoznaję zwierzęta, które jeszcze tego samego

poranka karmiłem i głaskałem, i które biegały mi po ręku. Odtąd w przeddzień każdej sekcji wyjmowałem z klatek zwierzęta, które szczególnie polubiłem. Trzymając je za ogon manewrowałem nimi tak, by ich zwieszający się łeppek znalazł się tuż nad krawędzią blaszanego śmietnika. A wtedy z rozmachem opuszczałem wieko. Chowałem je po drugiej stronie trawnika, między krzewami, skąd ponad polderami rozciągał się widok na wydmy. Układałem je na ziemi na grzbiecie, wszystkie łepkami w jedną stronę. Lecz gdy już przykryłem je ziemią, nie miałem odwagi wetknąć patyka od strony ich łepków, bo się bałem, że ktoś mógłby to odkryć. Z czasem leżało tam już tyle zwierząt, że zaczęło cuchnąć. A ziemia była wilgotna i poprzecinana taką plątaniną korzeni, że nie mogłem kopać dla nich zbyt głębokich jamek.

A jednak te szczury i myszy potrafiły rozmnażać się tak szybko, że potrzebna była jeszcze jedna osoba do opieki nad nimi. Pewnego poniedziałku zjawił się z rana chudy chłopak z Lejdy, który po całych dniach kręcił się po pomieszczeniu w o wiele za długim szarym fartuchu. Jego wywinięta górna warga dotykała niemal nosa i była pokarbowana jak kielich kwiatu. Żółtawe, sterczące na zewnątrz przednie zęby odcisnęły głęboki rów w jego mięsistej dolnej wardze. Wciąż gwizdał *South of the Border*, a właściwie syczał między zębami. Z początku bojaźliwie ukrywałem przed nim egzekucje zwierząt. Wykonywałem je pospiesznie, gdy on szedł do piwnicy po torf lub mąkę i wkładałem zabite zwierzęta do papierowej torby, którą wyrzucałem potem przez okno w krzewy rododendronu. W południe, gdy bawiliśmy się w Indian, zagrzebywałem je szybko, podczas gdy on szukał zaginionej strzały. Pilnie obserwowałem go z krzaków, lecz nie wydaje mi się, by kiedykolwiek powziął jakieś podejrzenie. Tylko jeden raz powiedział do mnie, patrząc na moje czarne paznokcie i zapiaszczone dłonie: „Coś mi się zdaje, że ty żeś się tam wysrał w krzakach.” Zaczerwieniłem się i schowałem ręce w wysokiej trawie. Pomyślałem sobie, że on chyba nie przypuszcza, że kopię sobie dołek jak kot, a potem go zagrzebuję? Chyba nie wie, co ja tam naprawdę robię? Od tamtej pory jeszcze baczniej śledziłem go spośród krzaków, przez co pogrzeby stawały się coraz bardziej niedbałe. Wkrótce potem, gdy bez powodu kilkakrotnie zakręcił trzymanym za ogon szczurem, a potem roztrzaskał go o podłogę, opowiedziałem mu o moim zabijaniu zwierząt. Lecz nie wyjawiałem mu prawdziwego powodu, bo byłem pewien, że tylko by mnie wyśmiał. Oznajmiłem, że robię to po prostu dla zabawy, że staram się zadać im możliwie jak najwięcej bólu, bo to jest plugastwo, które żywcem pożera się nawzajem. I dodałem, że studenci też to robią. Po operacji przeważnie wyrzucają je

nieprzytomne do pojemników na śmieci, podczas gdy właściwie powinni je dobijać. A potem są palone żywcem, bo i tak żyją tylko po to, by wykonywano na nich eksperymenty. Ale on powiedział, że przyglądanie się dręczeniu zwierząt wcale go nie bawi, i że po prostu rozdeptuje je, jeśli podleżą mu gdzieś pod nogi. Ślimaki, pająki i chrząszcze. Opowiedział, że związał kiedyś sznurkiem zwiniętego w kulkę jeża i wrzucił go do kanału. A potem jakby nigdy nic poszedł sobie dalej. A ja spytałem, czy nie widział, jak tamten jeż wypłtuje się ze sznurka pod wodą. I czy na powierzchni nie pojawiły się pęcherzyki powietrza. Ale on nawet się nie obejrzał. Nie mogłem tego zrozumieć. Przecież każdy poczułby w końcu współczucie dla takiego zwierzęcia i wreszcie by je wyłowił.

Od tamtego dnia zabijaliśmy zwierzęta razem. On z zimną krwią, tylko jego przednie zęby przesuwają się tam i z powrotem po grubej dolnej wardze. A ja z przerażeniem w oczach i z drżącymi rękami, lecz nie mniej krwiożerczo. To, co zaczęło się jako akt łaski, przerodziło się, ponieważ nie chciałem wyjawić mej tajemnicy, w orgię krwi i okrucieństwa. Teraz, gdy nie mogłem już grzebać tych zwierząt, ich zabijanie stało się bezsensowne, a bezsens nie ma granic. Ściskaliśmy mysz w drzwiczkach klatki, aż przewracała się z okrwawioną łapką do tyłu i natychmiast pożerana była żywcem przez pozostałe. A wtedy ja mściłem się na nich w ten sposób, że wkładałem je wszystkie do garnka, wpuszczałem tam przewód gazu i je zagazowywałem. Innemu szczurowi, którego on trzymał mocno za głowę obiema rękami w gumowych rękawiczkach, rozciąłem mosznę i wydłubałem ze środka czubkiem nożyczek jądra, które wyglądały jak przekrwione ziarenka fasoli. Potem stłukiliśmy go do nieprzytomności i wrzuciliśmy do klatki brzemiennej samicy, która natychmiast zaczęła go pożerać poczynając od miejsca, gdzie znajdowało się rozcięcie. Gdy wyżała mu cały zad, odcięliśmy jej głowę i nożyczkami rozcięliśmy brzuch, gdzie zobaczyliśmy wierzące się skrawki mięsa, które miały się urodzić w kilka dni później.

Gdy chłopak usłyszał, że mieliśmy w domu sklep, po którym pozostało jeszcze co nieco słodczy, powiedział, żebym przynosił ich trochę każdego dnia. Odtąd zanim rano wyszedłem z domu, wypychałem sobie kieszenie cukierkami toffi i ciastkami. Chowaliśmy je w tajnym miejscu, a potem w zawrotnym tempie czyściliśmy klatki i dawaliśmy jeść zwierzętom. Następnie dzieliliśmy się słodczymi i rozpoczynały się tortury. Wyglądało na to, że tamtemu chłopakowi sprawiały one więcej przyjemności, gdy w ich trakcie mógł ssać smakowite toffi. Także i dla mnie zabijanie zwierząt zrosło się z czasem nierozzerwalnie z zajadaniem kradzionych łakoci. Gdy zabierałem je rano, miałem wrażenie, jakby przed oczami przesuwiała mi się krwawa mgła. Gdy usłyszałem później o obozach koncentracyjnych i komorach gazowych, pomyślałem sobie, że to moja wina, że to ja wszystko zapoczątkowałem. Jestem gorszy od Hitlera. Wiedziałem, że za wszystko, co robiliśmy, spotka nas przerażająca kara. Pierwsze jej zapowiedzi pojawiły się już na długi czas naprzód w snach. Cichych, niewinnych snach. Bezgłośnych. Ukazywały się w nich wciąż te same drzewa rozpostarte w powietrzu ze szkła. Stałem w tej przeraźliwie bezbarwnej ciszy i patrzyłem w górę. A wtedy pojawiały się opadające w dół duże, blade, przypominające parasole kształty, które pokrywały wszystko, całą ziemię. A ja stałem tylko, śmiertelnie przerażony, lecz bez paniki, ponieważ i tak nie było żadnej możliwości ucieczki. I tak też się budziłem, leżąc na plecach z twarzą zwróconą ku sufitowi. W gładkiej i nie rozgrzebanej pościeli, nie rzucałem się we śnie.

A wtedy nadszedł ranek, kiedy to wszystko stało się rzeczywistością. Mój brat sterczał na krześle pod ukośnym okienkiem na strychu. Warkot samolotów, wybuchy granatów. „Wojna się zaczęła!”, powiedział schodząc z krzesła. Gdy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem to, co śniło mi się tak często. Ponad wierzchołkami drzew w Endegeest szybowwały setki spadochronów, które opadały powoli i znikwały za drzewami. Usłyszałem, jak za moimi plecami brat nakłada mundur obrony cywilnej. Dźwięk zapinanego paska, chrzęst wysokich wojskowych butów. Gdy zszedłem na dół, pospiesznie wymknąłem się przez uchylone drzwi nie żegnając się z nikim. Ojciec klęczący na progu i przeganiający modlitwą wrogie samoloty z nieba, matka bezradna, bo nie mogła iść na urodziny babki. Lecz natychmiast o tym zapomniała, kiedy powiedziałem, że brat wyszedł w mundurze. Gdy stojąc w drzwiach wyglądała na ulicę, jakby chciała przywołać go z powrotem niczym małe dziecko, ja wymknąłem się obok niej. Wydawała się nawet mnie nie dostrzegać, lecz gdy dotarłem do rogu, zawołała dziwnym, nieobecnym głosem: „Gdzie idziesz?” Natychmiast puściłem się biegiem. Chciałem pobiec za bratem, by go powstrzymać, bo wiedziałem, że przydarzy mu się coś strasznego. Zobaczyłem to w lustrze, które drżąc od eksplozji nad naszym dachem, zniekształciło jego odbicie. Lecz w końcu ruszyłem w stronę laboratoriów. Z początku włóczyłem się tam jakiś czas bez celu, bo było jeszcze o wiele za wcześnie, i nie wiedziałem, czy trzeba karmić te małe zwierzątka teraz, gdy jest wojna. Lecz musiałem tam pójść, jakby coś mnie tam ciągnęło. Gdy zaszedłem na miejsce, tylko tamten czarny pies leżał przed swoją klatką, lecz nie uniósł się, by pomerdać ogonem. Był świeżo po operacji i zbyt osłabiony, by stanąć na łapach. Gdy wyszedłem za róg, zobaczyłem wóz do przeprowadzek. Tylne drzwi były otwarte. Od nich aż do drzwi kaplicy biegła ukośnie w dół szeroka deska. Schodził po

niej pochylony żołnierz Czerwonego Krzyża i ciągnął za sobą coś ze środka. Zobaczyłem, że ciągnie za żołnierski kamasz, i wtedy dojrzałem martwego żołnierza. Był to kapral. Miał żółtą twarz, a otwarte usta dziwnie wykrzywione. Przednie zęby sterczały mu do przodu jak zabitemu zwierzęciu. W skroni widniał ciemny otwór, regularny i nie zakrwawiony. Gdy sanitariusz wciągał go do kaplicy, jego czarne włosy podniosły się na desce do góry, jakby rozwiał je wiatr. Potem przesunięto po desce jeszcze jednego żołnierza, Niemca. Nie otworzył mu się spadochron. Metrowej długości gruda ciała, umundurowanego sukna i błota. Jego głowa wciśnięta była ukośnie między ramiona jak u garbusa. Miał jeszcze na niej hełm, lecz to, co z niego wystawało, nie było już twarzą, wypełzłe aż na policzki oczy, potrzaskane zęby tkwiące w zakrwawionej jamie, która musiała być jego ustami. Nie śmiałem stać tam dłużej, ponieważ wiedziałem na pewno, że także mój brat leży tam w samochodzie. Minałem róg i nagle puściłem się biegiem. Czarny pies trwał w tej samej co przed chwilą pozie. Nawet nie poruszył pyskiem, gdy jak opętany przebiegałem wzdłuż ogrodzenia.

Później w ciągu tego samego dnia chodziłem patrzeć wszędzie, gdzie leżeli żołnierze, czy nie ma wśród nich mojego brata. Doszedłem aż do Haagse Schouw, skąd odesłali mnie żołnierze, bo było tam zbyt niebezpiecznie. Wtedy wróciłem przez polder do wsi i kupiłem kieszonkową latarkę za pieniądze, które zaoszczędziłem na zaskrońca. Lecz gdy zaczął zapadać zmierzch, nie odważyłem się jej zapalić, ponieważ w domach nigdzie nie było widać światła, nie włączyły się też latarnie. Gdy ze ściśniętym z głodu i nerwów żołądkiem przyszedłem do domu, matka siedziała na górze przy oknie. Usnęła. Jej głowa, bezkształtna jasna plama, osunęła się na ramię. Nie śmiałem zadzwonić do drzwi, ponieważ wtedy podskoczyłaby w nadziei, że to mój brat. Obszedłem dom, przelałem przez drzwiczki przejścia pożarowego i nie zauważony przemknąłem do mego pokoju. Zasnąłem w ubraniu na narzucie. Obudziłem się, gdy w otwartych drzwiach wiodących na schody rozległ się głos mojego brata. A potem usłyszałem, jak ojciec mówi: „Posłuchaj chłopcze, jeśli oni cię złapią, to jesteś zgubiony bez ratunku. Walczących cywilów rozstrzelują na miejscu i bez pardonu.” Gdy brat ciężko tupiąc swymi buciorami wszedł na górę, chciałem rzucić mu się na szyję, ale on powiedział do mnie mrukiwie, żebym się rozebrał i wszedł pod kołdrę. Sam położył się na łóżku w mundurze. Nie śmiałem odezwać się do niego i wsłuchiwałem się tylko w chrzęst skóry jego butów, gdy się poruszał. Na dworze zaczęły nagle śpiewać ptaki zapowiadając nadchodzący dzień, a w oddali usłyszałem, jak artyleria, przez której stanowiska przebiegłem wczoraj poszukując brata, znów rozpoczyna ostrzeliwanie lotniska.

Następnego dnia także i tamten chłopak zjawiał się znów w laboratorium. Lecz zabroniono nam zbliżać się do kaplicy, jak również zaglądać do środka przez okno. On powiedział, że tam myją żołnierzy, żeby oczyścić ich z krwi, i że zatykają im dziury w twarzach woskiem, robią im makijaż, a potem wzywają rodziny, żeby ich sobie obejrzały. Dodał jeszcze, że Niemcami nikt się nie zajmuje, chyba że studentom potrzebna jest jakaś nerka czy noga do sekcji, to po prostu ją wyjmują lub odcinają.

Gdy po pięciu dniach wojna dobiegała końca, dręczenie zwierząt zaczęło się znowu. Tamten chłopak przyniósł ze sobą pistolet-wiatrówkę i po kolei strzelaliśmy z niego do wypuszczonych z klatek szczurów. Gdy udawało nam się trafić, zamierały na chwilę w bezruchu, jakby stało się coś, czego nie potrafiły zrozumieć. A potem przewracały się, rozluźniając się całkowicie, wskutek czego często wypływał z nich mocz. Lecz większość musieliśmy dobijać z bliska, gdy strzał tylko poraził im zad, albo gdy zaczynały kręcić się dziwnie, bo straciły orientację. Pewnego razu tamten chłopak wyciągnął z kanapki pasemko boczku, położył je na lufie i podetknął szczurowi. Ten przysiadł na tylnych łapach, a jego różowy nosek drżał od wachania. Potem objął przednimi łapkami wylot lufy i chciał zabrać się do jedzenia. Wtedy chłopak strzelił. W pierwszej chwili mogło się wydać, że wskutek impetu odbijającej do przodu lufy fiknął tylko komicznego koziołka do tyłu, lecz wnet zastygł na podłodze z roztrzaskanym pyszczkiem.

Niedługo potem zwolniono mnie, nie podając po temu żadnego powodu, podczas gdy tamtemu chłopakowi pozwolono zostać. Czy odkryli moje tajne cmentarzysko? A może wśród torfu w śmietnikach znaleźli martwe szczury ze śladami kul w ciele, a tamten zwałił całą winę na mnie? Nie mogłem sam go o to zapytać, bo nigdy więcej już go nie zobaczyłem. Nie wiem także, czy powiadomili o tym moich rodziców. Mógł to być zatem czysty przypadek, że owej niedzieli, gdy mnie zwolniono i gdy oddałem ojcu ostatnie dwa guldeny i dwadzieścia pięć centów, które zarabiałem tygodniowo, ten przeczytał po kolacji: „Widząc, że skazano Jezusa, Judasz, zdrajca jego, dręczony wyrzutami sumienia, odniósł owe trzydzieści srebrników przedniejszym kapłanom i starszyźnie mówiąc: „Zgrzeszyłem wydając krew niewinną. Ci zaś odparli: Co nam do tego? To twoja sprawa!” Wtedy rzucił srebrniki do świątyni i oddaliwszy się poszedł się powiesić. Przedniejsi kapłani zaś podniósłszy srebrniki orzekli: Nie godzi się kłaść ich do skarbca, bo są zapłatą za krew.” Po naradzie zakupili za nie Plac Garncarski na cmentarz dla pielgrzymów. Stąd bierze się nazwa tego placu używana aż po dziś dzień: „Pola Krwi.”

POWRÓT DO OEGSTGEEST

Wczoraj mój ojciec obchodził urodziny, a więc i ja także. Dziś rano nadszedł list od mojej matki:

Kochany Janie!

Najserdeczniejsze życzenia z okazji urodzin.

Życzymy ci miłego dnia i jeszcze wielu lat

W zdrowiu! Serdeczne pozdrowienia od

Ojca i Matki

Całe moje atelier zastawione jest jeszcze szklankami, w których tkwią zwiędłe i fioletowe od campari plasterki cytryny. Opróżnione do połowy szklanki piwa ciemnego jak uryna. Ktoś w kanapce z łososiem zgasił dwa papierosy. Mój brat, który zaszedł do mnie jeszcze po urodzinach ojca, powiedział, że zaniósł mu moją książkę jako prezent, ale siostra wychodząc schowała ją szybko do torebki. „Dawniej oni uważali nas za durniów, a teraz my ich”, dodał ze śmiechem. Powiedział, że ojciec znów modlił się za mnie żarliwie podczas urodzinowej kolacji. Gdy spytałem, czy znowu pożarto kilka królików, skinął głową i powiedział, że stary niczego się już nie nauczy, bo w trakcie posiłku żalił się kilkakrotnie, że ja nigdy nie przychodzę na jego urodziny.

Pomyślałem znowu o naszych królikach, które ojciec musiał zacząć bić, ponieważ tylko w ten sposób jego potomstwo, liczne jak piasek w morzu, mogło otrzymać dostateczną ilość mięsa do jedzenia. Pozwalano mi wówczas jeść w kuchni, dostawałem maleńki befszytk albo plasterek kaszanki. Coś, w czym nie było kości. Gdy odkrywano parujący garnek z pieczenia i słyszałem słowa mego ojca: „Garncie mięsa w ziemi egipskiej”, przeklinałem to durne przejście między werandą a kuchnią, które przebił w ścianie. Najchętniej wsadziłbym sobie coś w uszy, by nie słyszeć obgryzania kości i tego dźwięku, gdy rzucono je na cynkowy talerz. Mój ojciec, nie kryjąc niezadowolenia, pozwalał mi tam siedzieć, lecz nie miał innego wyboru. Gdy jeden jedyny raz kazał mi zasiąść ze wszystkimi do jedzenia, obrzygałem cały stół.

I ten strach, że kiedyś sam zawisnę do góry nogami w komórce niczym zakrwawiony, odarty ze skóry królik. Bo gdy mój ojciec czytał z Biblii o Abrahamie, który musiał poświęcić w ofierze syna Izaaka, powtarzał zawsze, że gdyby dostał od Boga rozkaz uczynienia ofiary ze mnie, nie zawahałby się ani przez chwilę.

Gdy wchodził do ogrodu z ceglami w ręku, myślałem, że właśnie dostał od Boga rozkaz, by mnie złożyć w ofierze, i zamierza wybudować ołtarz w ogrodzie. Odczuwałem zawsze głęboką ulgę widząc, że wkopuje te cegły, pochyło, jedną przy drugiej, wzdłuż skraju trawnika. Mój lęk powrócił jednak z nie mniejszą siłą, kiedy przed świętami wybrał się do żydowskiej dzielnicy w Amsterdamie i wrócił z zabitym łabędziem. Gdy zwierzę zostało rozpakowane i leżało na kredensie, przypominało zakrwawiony ludzki tułów, nie licząc długiej szyi z dziwnym wężykiem tchawicy, którą mój brat próbował wetknąć mi przez zaskoczenie w rękę, mówiąc: „Łabędziu, bierz go.” Lecz ojciec zabronił mu tego, ponieważ nie wolno stroić sobie żartów z jedzenia. A mnie jedzenie łabędzia wydało się hańbą i wybiegłem z kuchni. Kiedy nasłuchiwałem w pokoju uderzeń siekiery, ten przeklętnik wszedł jeszcze do środka z okrwawioną łapą łabędzia i powiedział: „Popatrz no, żonko, jakie szlachetne mięso.” Gdy łabędź już się skończył, pozostało po nim tyle tłuszczu, że matka jeszcze przez wiele dni krasiała nim tłuczone kartofle z kalafiolem. Dalej nie jadłem ani trochę i wreszcie zaczął mnie boleć brzuch. Mój ojciec powiedział, że jeśli nie chcę jeść tego, co jest w domu do jedzenia, to mogę sobie umierać z głodu. Po prostu machnął na mnie ręką. Z zemsty zacząłem jeść grzyby. Czernidlaki i pieczarki leśne. Gdy myłem je w kuchni i wkładałem do garnka, moja matka zaczęła krążyć wokół mnie nerwowo. Na jej pytanie, czy są trujące, powiedziałem, że dobieram je jak najstaranniej i że wyrzuciłem podejrzone egzemplarze. Ale oczywiście nigdy nic nie wiadomo, bo te najbardziej trujące są akurat najbardziej podobne do najsmaczniejszych. Nie zjadłem ich wszystkich. Zostawiłem trochę w garnku, a na wierzchu położyłem takie, które można było jeszcze rozpoznać jako grzyby. Wieczorem, gdy ojciec przyszedł do domu, siedziałem cichutko w kącie i

narzekalem na ból brzucha. Matka powiedziała, że najadłem się grzybów i że to pewnie dlatego. Podetknął mi garnek pod nos i powiedział, że ma poważne wątpliwości co do moich władz umysłowych, ponieważ nie chciałem wziąć do ust nawet kawałka tamtej wspaniałej pieczeni ze stworzonej po to przez Boga dziczyzny, a za to napycham sobie żołądek tą trującą mazią, która rozsiewa wokół siebie śmierć i zepsucie. Wyrzucił resztę grzybów do sedesu i natychmiast spuścił wodę. A mnie posłał kopniakami do łóżka, życząc mi przy tym, żeby mnie wreszcie spotkała jakaś dotkliwa kara. Ale kiedy mój brat przyszedł położyć się spać, powiedział, że zaraz po tym, jak poszedłem na górę, „stary” zaczął kartkować podręcznik homeopatycznej medycyny.

W niedzielę jeździłem trochę między laboratoriami, lecz nie udało mi się odnaleźć kaplicy. Miałem wrażenie, jakby wszystko zostało tam trochę poprzesuwane, jakby wszystkie budynki przekręcono o ćwierć obrotu, rozpoznawałem je jak we śnie, w którym nie sposób znaleźć drogi we własnym domu. Atmosfera pozostała taka sama. Porządek obozów koncentracyjnych dwadzieścia lat po wojnie. Wzorowo krótka trawa między kamieniami. Martwa ziemia pod krzewami w rzędach. A potem nagle punkt rozpoznawczy: kadź, w której dawniej przebywały żaby, rozpinane potem przez studentów na kawałku korka. Białe brzuchy z wielkim, nieustannie poruszającym się przelykiem. W miejscu, gdzie chowałem zabite zwierzęta, ziemia była równie grząska jak dawniej. Jakby nikt nie ruszał jej od tamtej pory. Czarny bez oblepiony drżącymi grzybkami. Ziemia była purpurowa od odchodów mew, które objadały owoce bzu. Nagie, czerwone gałązki wyglądały jak schemat układu krwionośnego.

**UDRĘKA MALARZA ALBO:
IM DŁUŻEJ, TYM LEPIEJ**

I oto nagle regał na dworze przybierał barwę zielonego szpinaku z puszki albo przedpokój oblekał się tym pożałowania godnym czerwonym brązem, jakby ktoś ochlapał go buraczkowym gównem. Te odrażające kolory, na które mój ojciec malował od czasu do czasu drewniane meble i ściany w mieszkaniu i na zewnątrz, musiały chyba wyrzucić zgubny wpływ na moje wyczucie koloru. Wskutek biedy mieszał resztki farb, lecz na domiar złego jeszcze mu się to podobało. Bo kiedy praca dobiegała końca, przywoływał zawsze moją matkę, która w zamyśleniu wciągając trochę dolną wargę, przyglądała się temu i w końcu mówiła, że to teraz znowu porządnie wygląda. A jednak to właśnie ojciec udzielał mi pierwszych lekcji rysunku. Byłem jeszcze tak mały, że jego „malowanie ludzików”, którym niekiedy mnie zabawiał, przekręcałem na „madzików”. Gdy wołałem „madzików, madzików”, wyjmował zza ucha twardy ołówek, którym poza tym posługiwał się jedynie do wpisywania „wykonano” i podpisywania sprawunków, i brał mnie na kolana. A potem rysował na odwrocie rachunku wielką poziomą, rozciągniętą ósemkę: skraj kapelusza. Dodawał na wierzchu półkole i kapelusz był gotów. Półkole u dołu: twarz. Dwa oczka, przypominające dziurki w guzikach, trójkątny nosek, pod spodem kreska. Poniżej, od dolnego skraju spodniego półkola, dwie ukośne kreseczki na ramiona. I jeszcze krawacik, gotowe! Madzików! (Gdy na pierwszej lekcji rysunku narysowałem gipsowego Herkulesa, nauczyciel, nim przystąpił do korekty, zaprowadził mnie przed lustro i wskazał na mój kark. „Twoja głowa też przecież nie jest przyklejona bezpośrednio do tułowia”, powiedział. „No właśnie.” Zaoponowałem, że nie widać szyi tylko z powodu długiej brody. Ale pomyślałem, że on ma rację: madzików.) Ojciec rysował mi wielokrotnie te figurki, czemu przyglądałem się wstrzymując oddech, aż wreszcie pewnego razu złapałem ołówek i między nosem a ustami

dostawiłem kilka czarnych kresek. „Tata” powiedziałem. Ojciec natychmiast zawołał matkę i pokazał jej z dumą, że uzupełniłem jego rysunek o wąsy. I to był mój pierwszy akt twórczy: hitlerowski wąsik mojego ojca.

Później, gdy zacząłem lepić z gliny maleńkie figurki bożków i wypalać je w piecu, był już mniej zadowolony z moich artystycznych uzdolnień. Surowe twarze z wielkimi nosami i głęboko osadzonymi oczami na czworokątnych klockach klatek piersiowych, na których wydrapywałem gwoździem tajemnicze znaki. Byli to właściwie trójwymiarowi potomkowie „madzików”. Ale tylko pod względem formy: głowy bez szyi i na masywnych tułowiach. Bo o ile twory mego ojca były niewinnymi, krępyimi wiejskimi nicponiami, należącymi do gatunku prostaczków razem z ich krawatami na poczciwych piersiach, o tyle u mnie owe tajemne formuły na torsach zdawały się czasem przechodzić w gęste owłosienie, i nie pozostawał cień wątpliwości, że gdyby pod tymi pogańskimi tułowiami dopatrzeć się brzucha, to musiałaby z niego wyrastać para diabelskich kopyt. Gdy wyschły, ostrożnie wkładałem je w ogień szufelką do węgla, a gdy stawały się prawie przezroczyście czerwone, tak że zdawały się niemal roztapiać z żaru i trudno je było odróżnić od węgla, wyciągałem je z namaszczeniem, nie mogąc się powstrzymać, by nie powiedzieć przy tym w duchu: „Sadrach, Mesach i Abed-nego, wychodźcie!” Lecz uchodząc tak bez szwanku z ognia mogli być wszystkim, tylko nie bogobojnymi istotami, i podejrzewałem ojca, że właśnie dlatego, i to wiedząc dobrze, iż akurat wypalam kolejną partię, dorzucał czasem węgla do pieca, wskutek czego nie mogłem wyjąć ich w porę. Dopiero następnego dnia znajdowałem ich popękane szczątki w popiele. Ale może działał całkowicie nieświadomie i brał do ręki wiadro z węglem, nim jeszcze zdążył pomyśleć: Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną. A jednak czasem miałem ich już tyle, że w moim pokoju stały tego całe rzędy, a mój brat nazywał je pogardliwie „muzeum staroci”. A w przypiływie ochoty do żartów dodawał jeszcze: „Bilet wstępu dziesiątaka, przy nie posłanym łóżku tylko piątkę.” A na dole mówił, że jeśli tych rupieci

jeszcze przybędzie, to powinni wynająć dla niego pokój w hotelu, bo on nie zamierza dalej sypiać w tym gabinecie osobliwości. Natomiast ojciec powiedział pewnego razu z pełną dezaprobatą miną, gdy podczas inspekcyjnego obchodu strychu trafił do mojego pokoju: „Dobrze, że znam widok z okna, bo inaczej nie uwierzyłbym, że jestem we własnym domu.” Matka zaś w niemal niewidoczny sposób osłaniała mnie, choć wszystkie te rośliny, zwierzęta i figurki bożków, które z zakłopotanym uśmiechem nazywała „ohydkami”, napawały ją odrazą. Może przypomnieli się jej rodzeni bracia, których dawniej nazywano „zielarzami”, ponieważ też zawsze pochłonięci byli rysowaniem i znoszeniem różnych wytworów natury do domu, a jeden z nich poszedł nawet na biologię. Pracował wtedy nad swą rozprawą doktorską *Szkielet i skrzela Palinurus...vulgaris Latr.*, którą po wydrukowaniu przysłał nam jeszcze tuż przed wojną. Wiedziała zatem z doświadczenia, że zielarze zostają niekiedy uczonymi. Ojciec jednak nie pochwalał tych moich „głupot”. Chyba że przyszli goście. Wtedy prowadził ich dwa piętra w górę do mojego sanktuarium pod hasłem: sami tylko popatrzcie, i co tu zrobić z takim dzieciakiem. Ja miałem wtedy pozostać na dole, ale oczywiście szedłem ukradkiem za nimi, by stojąc u dołu schodów posłuchać, co mówią. I słysząc, jak mój ojciec rozprawia o wszystkim z uznaniem większym, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się to wobec mnie, aż tupiałem z radości. Wpadałem wtedy do ogrodu i podskakując biegałem dookoła jabłoni. Któregoś razu usłyszałem, jak jedna z moich ciotek mówi, że to grzech, żeby chłopak z takim talentem nie mógł uczyć się dalej. A mój ojciec odparł, że mam te zdolności od małego, bo jeszcze kiedy lepiłem na plaży najrozmaitsze figurki z piasku, to spacerowicze aż się zatrzymywali, żeby popatrzeć, i że nazywano mnie wtedy „krabkiem”, bo odnosiłem do morza kraby, które pozostawały na brzegu po odpływie. A nawet

meduzy. O wcześniejszym paleniu owadów oczywiście nic nie wiedział. I dodał jeszcze niemal z rozczuleniem, że kiedyś znalazł na parapecie mnóstwo lepkich much. To ja zdjąłem je z lepu na muchy, bo zrobiło mi się ich żal. Lecz nie opowiedział przy tym, że musiałem za to długo stać w kacie i że musiałem je wszystkie znów przenieść na lep. Ale może tylko o tym zapomniał.

Kiedy w przerwach między różnymi zajęciami rysowałem i malowałem po całych dniach, nazywał mnie próżniakiem, a gdy w niedzielę wyruszałem na wycieczkę, mówił, że bezczeszczę dzień Pański. A jednak pewnego razu powiesił w pokoju mój rysunek. Tuż po kapitulacji w maju 1940. Był to rysunek wojennego cmentarza z pomnikiem w tle, na którym żołnierze z bagnetem na broni biegli do ataku. Na pierwszym planie, tuż przy grobie, na którym położono świeży wieniec, stała dziewczyna. Trzymała chusteczkę przy oczach, bo nie wiedziałem, jak inaczej pokazać, że płacze. Na dalszym planie staruszek i staruszka. Po ich piecach było widać, że śmierć syna kosztowała ich dziesięć lat życia. U dołu napisałem jaskrawymi literami: Holandia padła przez zdradę. Za każdym razem, gdy ojciec spoglądał na ten rysunek, czytał podpis na głos i dodawał: „Właśnie.” A mój brat mówił wtedy: „I dlatego, że kazali nam walczyć gruchotami z ubiegłego wieku.” Choć ojciec nie zgadzał się, by mówiono przy nim głośno o tych sprawach, nie protestował, bo wiedział, że tak właśnie było.

Okupacja napawała mnie z początku uczuciem wyzwolenia. Nie staliśmy już pod pręgierzem opinii. Nie byliśmy już jedynymi golcami wyjętymi spod prawa. Bieda została rozłożona nieco równomierniej, bo nawet ludzie z dzielnicy parkowej zaczęli z czasem zbierać leżące przy drodze drewno. Moja siostra przyszła któregoś razu podniecona i triumfująca do domu i powiedziała, że widziała na własne oczy, jak pani Meewsen podniosła z ziemi kartofel, który spadł z warzywnego wózka. Przestaliśmy być pariasami naszej wsi.

Ojciec zamknął wojskową kantinę w Poelgeest. Niemcy prosili go jeszcze, żeby został, ale on nie chciał. „Nie chcę na nich zarobić ani centa, powiedział, bo to są krwawe pieniądze, lepkie od krwi naszych dzieci.” Odszedł wraz z kawalerzystami. co wzbudziło entuzjazm. Załadowali cały jego dobytek na konny wóz, posadzili go na koźle obok sierżanta i tak odprowadzili go ze śpiewem aż do bramy. A on był z tego bardzo dumny. Nigdy jednak nie wspomniął, co śpiewali. Nie była to więc pieśń *Moja tarcza i nadzieja* ani *Niechże cię błogostawi Pan z Syjonu*. Okrzyki „hosanna” szybko jednak przebrzmiały, bo później nikt już mu nie pomógł i musiał przyjąć pracę palacza w cegielni. Często pracował na nocną zmianę i gdy pewnego wieczora pierwszej wojennej zimy zaniósł mu garnuszek grochówki, miał głowę owiniętą wełnianym szalikiem i oszronione lodem brwi i wąsy. Ciecz płynąca z jego łzawiących oczu zamarzła mu na policzkach. Obchodził piece w przejmującym wschodnim wietrze, który wdzierał się przez sklecone z cienkich listew ściany fabrycznego budynku. „Od dołu człowiek się smaży, a od góry zamarza”, mawiał. Gdy otwierał drzwiczki w podłodze, by dorzucić węgla, oświetlał go żar, a jego wielki cień rozlewał się po ścianach. A potem wszystko gasło znowu w deszczu iskier, gdy zsypywał w dół wielkie wiadro węgla, przez co zdanie z Księgi Męczenników „Siły piekła nie zapanują nad moimi wiernymi” zdawało się pasować do niego jak ulał. Wieczorem w łóżku myślałem o nim stale, jak chodzi tam nad rozpalonymi piecami. A kiedy mimo to nie mogłem przestać myśleć o Rietje Tulp – którą nazwał kiedyś, gdy przechodziła obok naszego domu, „kura na długich nogach” – to za każdym razem działało się to nie bez poczucia winy. Czułem się tak, jakbym zostawiał go na pastwę losu wśród lodowatej nocy. I pomyślałem sobie: narysuję go, jak stoi z rozpostartymi ramionami na górze ognia niczym męczennik. Gdy następnego dnia pokazałem mu

gotowy rysunek, pomyślał widocznie, że to Chrystus zwyciężający piekło i śmierć. Bo powiedział: „Tak, ten mocarz zwycięży.” Pozostawiłem więc rysunek bez komentarza.

W tamtym okresie przystąpiono w zakładzie dla umysłowo chorych do wprowadzania nowej terapii: opieka przy rodzinie. Skutek był taki, że choroby umysłowe rozlały się po wsi jak kleks na bibule. Nie z winy samych pacjentów, bo byli to w większości spokojni ludzie, lecz w rodzinach, do których trafili, wywracali wszystko do góry nogami wskutek reakcji, jakie powodowali. Ludzie wstydzili się tych dziwnych kobiecinek, które chichocząc bez powodu i mamrocząc coś niezrozumiale wślizgiwały się do ich domów. Ale akurat przydawało im się te osiem guldenów na tydzień. Wioskę zalała fala nienawiści i bezduszości. Bo sam słyszałem, jak jedna z naszych znajomych, która w gruncie rzeczy była bardzo miłą kobietą i miała nawet w przedpokoju puszkę na datki przeznaczone na pracę misyjną wśród pogan, powiedziała kiedyś do mojej matki: „Najchętniej od razu wsadziłabym ich rano w kaftan bezpieczeństwa i zamknęła na strychu.” Moja matka wprawdzie nie przytaknęła, ale przypuszczam, że miała jeszcze gorsze zamiary wobec Koosje, garbatej i kościstej wariatki, która była u nas w domu. Najchętniej wdeptałaby ją w ziemię albo spaliła żywcem, gdy odwiedzał nas ktoś z rodziny, a ona pierdząc i mlaszcząc jak zwierzę rzucała się na swoje jedzenie, nim jeszcze wszystko znalazło się na talerzach, co zawsze przypominało mi to, co nasz sąsiad, komunista spartakusowiec, nazywał życiem według teorii o bycie wszy: powąchać, napaść, pożreć.

Dla mnie Koosje stała się pierwszym modelem. Gdy obierała kartofle na werandzie, siadałem w kącie ze szkicownikiem. Najpierw udawałem, że czytam. A potem, możliwe niepostrzeżenie, zacząłem rysować. Nie było jednak łatwo ująć w jakąś formę to chude, niespokojne ciało w niedorzecznej wodnistej sukience w kwiatki. Przeważnie zlewało się z cieniami i plamami słońca na ścianach, wskutek czego wyglądało to tak, jakby jej czerwona, krostowata chłopięca twarz wyrastała z bliżej nieokreślonej płataniny roślin. Najczęściej nie zauważała nawet, że rysuję. Mamrotała pod nosem i obierała kartofle. Jeden jedyny raz spojrzała nagle w bok przez swe okulary w drucianej oprawce i powiedziała: „Przestań się tak na mnie gapić, nie jestem głupia.” Innym znów razem, w kolejnym przypiływie nastroju, który kazał mi wierzyć, że po to przyszedłem na świat, by chodzić po nim nauczając i czyniąc dobro, usiłowałem jej wytłumaczyć, co robię. Lecz kiedy chciałem jej pokazać rysunek, szybko zacisnęła oczy. W chwilę później, gdy niczego nie podejrzewała, zawołałem ją nagle po imieniu. Kiedy spojrzała w bok, szybko podetknąłem jej rysunek. Popatrzyła na niego wystraszona, a potem kręcąc głową wyszła z pokoju i już nie wróciła, by dalej obierać ziemniaki.

Czasem okropnie jej dokuczaliśmy. Kiedyś, nim przyszła obierać kartofle, podłożyliśmy mokrą gąbkę pod poduszkę na wiklinowym krześle. Gdy na niej usiadła, a woda zaczęła ciec na podłogę, zerwaliśmy się z wrzaskiem zaciskając nosy. W pierwszej chwili siedziała przez jakiś czas bezradna, niczego nie rozumiejąc, a potem pochyliła się do przodu, by spojrzeć między nogami pod krzesło. Albo urządzaliśmy pochód duchów do jej pokoju. Wszyscy z wielkimi szarymi papierowymi torbami na głowach z parą otworków na oczy, owinięci starymi obrusami i prześcieradłami. Bucząc głucho zza papierowych toreb maszerowaliśmy do jej pokoju. Zawsze siedziała niewzruszona na krześle przy oknie i wyglądała na dwór. W zakładzie przywykła pewnie do gorszych rzeczy. Kilka razy obchodziliśmy pokój wypowiadając prorocze formuły, a potem wybiegaliśmy z chichotem. Kiedy ojciec nas przyłapał, postawił nas na długo do kąta, a potem spytał, skąd przyszło nam do głowy dokuczać takiej durnocie, nam, którzy rzekomo jesteśmy przy zdrowych zmysłach. Pewnego razu przeciągnęliśmy wraz z bratem sznurek w korytarzu, gdy właśnie miała nadejść. Najzwyczajniej w świecie przestąpiła przez niego nie patrząc w lewo ani w prawo. Mój brat powiedział wtedy: „Jak ona jest stuknięta, to nic nie rozumiem.”

A gdy ojciec czytał kiedyś z Biblii o opętanym z Gadary, z którego Chrystus przegnał diabła w stado wieprzów, które potem rzuciło się z urwiska do morza, mój brat, wskazując na skwarkę na swoim talerzu, powiedział cichutko: „Słonina z szatana.” Ale ja się nie śmiałem, bo pomyślałem o Koosje. Że może z niej też udałoby się wygnać diabła, gdyby Chrystus jeszcze żył. Lecz kiedy wyjrzałem przez okno i zobaczyłem moje króliki kicające tam i z powrotem za ogrodzeniem, ucieszyłem się, że takie rzeczy już się nie zdarzają. Pomyślałem też o tym, co powiedział mój ojciec, gdy znów jej dokuczaliśmy: „Co za diabeł was opętał.” Może to już się stało, pomyślałem, może to my jesteśmy tymi wieprzami.

Wkrótce po kapitulacji, gdy zwolniono mnie z posady opiekuna zwierząt w laboratorium, poszedłem do pracy jako pomocnik ogrodnika u Houtheera, multimilionera i właściciela rozległych włości, które niczym wypełniona obficie salaterka na owoce, niczym ziemia mlekiem i miodem płynąca, rozciągały się wzdłuż Rijksburgerweg. Houtheer był małym, starym, lekko garbatym człowieczkiem, bladym i pomarszczonym, który w czarnym zimowym płaszczu z karakułowym kołnierzem włożył się jak zjawą po ścieżkach, a do którego jego personel, składający się z ogrodnika, jego dwóch pomocników i szofera, zwracał się uprzejmie i poddańczo per „panie dziedzicu”. Przeważnie zdawał się mnie nie dostrzegać, lecz pewnego razu, gdy grabiłem właśnie jedną z wąskich ścieżek i musiałem stanąć z boku, by go przepuścić, odezwał się do mnie. Powiedział, że praca na świeżym powietrzu to przywilej, i przeniósł przy tym mimochodem wzrok ze swych białych, przypominających wapno dłoni na moje spalone słońcem, niemal czarne czoło. Gdy nie przytaknąłem mu entuzjastycznie, spytał, co bym chciał robić. „Pisać w biurze na maszynie”, powiedziałem. Kręcąc głową poszedł dalej. Niech on się ze mną zamieni, pomyślałem. A wtedy ja będę się tu elegancko przechadzał z rączkami na plecach za milion guldenów rocznie, a wtedy on za dwa i pół guldenu na tydzień będzie mógł otwierać z rana o siódmej okiennice, czyścić buty paniczom, przycinać róże w rozarium, karmić sarny i drób, zrywać groch, przerywać winogrona, tępić owady na bananowcu i drzewie figowym w rozpalonych szklarniach, podlewać melony aż się rozpękną, uprawiać ogórki w płaskich inspektach, odganiać osy od czereśni, zbierać rzęsę ze stawu i wrzucać tam skrawki chleba w kłapiące paszcze szlachetnych karpi, i wreszcie onanizować się nad zdjęciem La Jany w *Tygrysie* z

Eschnapur siedząc w małym, drewnianym wychodku o ścianach pełnych drżących widliszków.

Pracowałem tam około roku, i przez cały ten rok Jacob, tęgawy parobek w wieku około dwudziestu pięciu lat, blondyn o okrągłej czerwonej twarzy i jasnych oczach, niemal ukrytych pod szczotkowatymi, bezbarwnymi brwiami, nie przestawał się śmiać. Gdy siedziałem skulony w indiańskim namiocie z pnącej fasoli, a on przechodził gdzieś obok, ze śmiechu aż tworzyły mu się dołki w policzkach. Wtedy można było jeszcze przypuszczać, że natknął się na Huiba, obłudnego rządcę, wychodzącego właśnie z wychodka, bo ten zawsze wtedy mawiał: „Właśnie wyzbyłem się walorów i puściłem papiery wartościowe”. I trzeba się było z tego śmiać, bo inaczej dostawało się jakąś podłą robotę. Ale nawet kiedy pracował całkiem sam na ścieżce gdzieś na tyłach ogrodu, to gdy podkradałem się do niego przez wysokie pokrzywy i lewkonie, ten tłusty chłopski faun pełł chwasty i nic tylko się śmiał. Kiedy któregoś razu pokłócił się z ogrodnikiem, złośliwym i gnuśnym kalwinem, ten powiedział jadowicie, żeby Jacob przestał się z niego naśmiewać. Ale on nie potrafił przestać.

Łapał na wpół zdziczałe koty w porzewiałe sidła, na które trzeba było uważać, bo nigdy nie mówił, gdzie je zastawił. Pewnie z obawy, że ktoś mógłby sprzątnąć mu sprzed nosa te udka, które według jego własnych słów smakowały równie dobrze jak królicze mięso. Czasem słyszeliśmy nagle przeraźliwy skowyt, a wtedy on gnał do lasu z jutowym workiem. Gdy wracał, worek kręcił się i rzucał, jakby znajdowały się w nim bajkowe kije-samobije. W komórcie kładł worek na ziemi i swymi tłustymi dłońmi obmacywał szorstki materiał tak długo, aż znalazł prychnący łepiek. A wtedy mocno tłukł w to miejsce młotkiem na krótkim trzonku. Na twarz występowały mu grube krople potu, ale nie przestawał się śmiać. A gdy w południe szliśmy coś zjeść, na jednej z krokwi wisiał znowu na gwoździu taki odarty ze skóry królik o kociej wykręconej głowie. W te dni przynosiłem moje kanapki, kawałek ciasta i kwaśną jabłeczną marmoladę nietknięte z powrotem do domu. Któregoś razu znalazł jedynie kawałek skóry z tylnej łapy i powiedział: „A ten ściągnął przy tym spodnie.” Jeszcze w wiele miesięcy później, gdy słyszałem lub zobaczyłem, jak coś porusza się w krzakach, myślałem, że to ten kot z czerwoną, odartą ze skóry tylną łapą, która musiała boleć go nieludzko nawet przy najłżejszym otarciu o źdźbło trawy. A pod drzewami rośło więcej pokrzyw niż trawy. Lecz ja nie mogłem nic powiedzieć, bo sam jeszcze gorzej znęcałem się nad zwierzętami w laboratorium. I nawet ich potem nie zjadałem. A także i dlatego, że kiedyś w szerokiej fosie złowiłem wielkiego karpia na sznurek przywiązany do tyczki od fasoli. Wyciągnąwszy go z wody schowałem go pod suchymi liśćmi, tak daleko od ścieżki, żeby nikt nie usłyszał, jak się rzuca. Kiedy o szóstej szedłem do domu, zanurkowałem szybko między krzaki i wsadziłem go do torby. Całkiem już wtedy wysechł, a do jego łusek poprzyklejały się liście, tak że wyglądał jak kawałek leśnej ziemi w kształcie ryby. Po drodze

opłukałem go w kanale przy Domu Pomocy, bo inaczej w domu połapałoby się od razu, że nie dostałem go, a ukradłem. I Jacob wiedział o tym, bo kiedyś powiedział do mnie podczas przerwy śniadaniowej: „I znowu coś się tam rzuca dla ciebie.” Gdy inni spytali, o co chodzi, nic nie powiedział, tylko śmiał się jeszcze głośniejszym niż zwykle.

Czasem zdawało mi się, że tak się ciągle śmieje, ponieważ wie wszystko: gdy któregoś razu siedziałem dłużej niż zwykle w chybotliwym wychodku i wyszedłem stamtąd cały w kolorach, on, przechodząc akurat, powiedział przytłumionym głosem: „Nieźle się obciągnął.” I wtedy poczułem się tak, jakby na te piękne uda La Jany naciągnięto brudne, wypchane drelichowe spodnie.

Szofer jako pierwszy spostrzegł moje predyspozycje sprinterskie. I to nie obserwując mojego biegu, lecz po budowie moich nóg. Bo w lecie nosiłem bardzo krótkie spodnie, narażając się na pełne niezrozumienia prześmiewki robotników i wściekłość mego ojca, który wciąż mówił coś o „nowoczesnym pogaństwie” i „światowej rozpuście”. Szofer wyglądał jak były amant filmowy, który wprawdzie teraz musi grywać role dystyngowanych dziadków, lecz mimo to nie może się pozbyć tamtych uwodzicielskich spojrzeń i uśmiešku Casanovy. Ponieważ Niemcy zarekwirowali piękne angielskie samochody właściciela, został kimś w rodzaju szefa służby i musiał czasem imać się prac, które były znacznie poniżej godności jego czarnego garnituru z jedwabnymi lampasami na szwach spodni. Niemcy zabierali całe masło, do niego należało więc teraz zbieranie tłuszczu z mleka w zimnej piwnicy, jeśli mleczne zwierzę, jak mawiał właściciel, zaczęło paść się wśród jeleni. Musiałem mu przy tym pomagać. Gdy tylko masło oddzieliło się od maślanki, za którą nasi państwo przepadali tak bardzo, że trzeba było natychmiast nieść ją na górę, on nalewał mi jej pełną szklanekę. Sam zaś pił z chochli, a połowę wlewał z powrotem. Potem znów nabierał całą łyżkę i ponownie wlewał połowę. Jestem pewien, że robił to celowo, bo przyszło mu wykonywać właśnie taką pracę, a później pomyślałem, że gdyby nie było mnie przy tym, pewnie jeszcze by tam splunął – moja siostra mówiła, że robi tak czasem z moim jedzeniem, kiedy chce mi dokuczyć – albo nawet pomoczył w niej z zemsty swojego kutasa. Gdy pewnego razu obejmując opalonymi udami bańkę rytmicznie kręciłem korbą, powiedział: „Ale ty masz wspaniałe nogi sprintera.”

W jakiś czas potem bardzo mi się przydały. Zobaczyłem, jak w starym stogu siana, który wyglądał jak blady, liniejący lew, znika pliszka. Gdy zacząłem grzebać w miejscu, gdzie zniknęła, odkryłem po omacku długi korytarz, a na jego końcu poczułem coś miękkiego i ciepłego, co musiało być nagim ptasim ciałkiem. Wyciągnąłem to na zewnątrz i zobaczyłem, że trzymam w ręku kawałek plastra pełnego os. Jednocześnie z dziury w stogu wyłonił się wściekle brzęczący żółty strumień. Rzuciłem plaster i opędzając się dziko wpadłem biegiem w sosnowy młodnik. Gnałem jak opętany między drzewkami, i to tak szybko, że nie miałem na ciele ani jednego ukąszenia. Tylko pełno zadrapań na skórze od uderzeń iglastych gałęzi.

W końcu zacząłem rysować także w ogrodzie. Gdy wszyscy udawali się do swoich zajęć, ja wracałem jeszcze szybko do komórki, wyciągałem szkicownik z torby i chowałem go pod swetrem. Początkowo rysowałem jedynie przedmioty: domek dla saren, ogrodzenie przy tamie albo stóg siana, w którym szczelina, skąd wyciągnąłem plaster os, coraz bardziej upodabniała się na moich rysunkach do na wpół otwartej paszczy. Ale po niedługim czasie rysowałem także Jacoba, obserwując go z zarośli, gdy na kolanach dłubał coś leniwie przy ogórkach, sądząc, że w pobliżu nie ma nikogo. Albo Huiba, który kołysząc swymi szerokimi kobiecymi biodrami kosił trawę. Przed nim jednak musiałem dobrze mieć się na baczności. Można było pomyśleć, że ma oczy z tyłu głowy, bo kiedyś, nie oglądając się za siebie, zawołał, żebym natychmiast przestał bawić się w chowanego za jego plecami. Jacob też oczywiście szybko się połapał. Bo gdy jakiegoś razu narysowałem Keesje, drobnego wieśniaka, który każdego popołudnia około czwartej przychodził w wielkich gumowych kaloszach, w których niemal tonął, wydoić krowę, wieczorem zobaczyłem w domu, że ktoś wyrwał mi tę kartkę ze szkicownika. Następnego dnia rysunek wisiał w komórce, a Jacob swym tępych stolarskim ołówkiem dopisał pod spodem koślawymi literami: „Dla Keesje spod ogona krowy, a mnie udziec wołowy.” A on sam łąził przed komórką tam i z powrotem z zakłopotanym uśmiechem, bo myślał, że się o to pogniewam. Nie miałem nawet zamiaru. Owszem, wystraszyłem się jeszcze, że on wie o moich rysunkach w godzinach pracy, ale byłem też i dumny, że rozpoznał Keesje w szczeciniastej trawie obok nieporadnie narysowanej krowy.

W końcu odechciało mi się wysłuchiwać podczas przerw w pracy wciąż na nowo tej samej gadaniny. Od tamtej pory siadywałem na ławeczce w szklarni pod figą z podręcznikiem siostry do francuskiego lub angielskiego. A gdy raz się w tym rozsmakowałem, zacząłem studiować gorączkowo. Poczułem nagle, że jeszcze nie wszystko stracone. Że jeszcze sam mogę się wiele nauczyć. Jeśli prawdą było, co mówiono o świętym Pawle, że wielka wiedza doprowadziła go do szaleństwa, to ze mną było dokładnie odwrotnie. Bo moje szaleństwo, mój pęd do nauki przyniósł mi jednak z czasem trochę wiedzy. Szukałem znaczenia wszystkich obcych słów, jakie napotykałem, i zapisywałem je. Uczyłem się ich na pamięć, i gdy pisałem coś w moim dzienniku, starałem się ich używać. Lecz czasem powstawały z tego niezłe dziwolągi. Mam jeszcze dziennik, w którym zapisałem następującą opinię o świeżo przeczytanej książce: „Doskonała analecta, której quintessence udało mi się pojąć.” Gdy w książce Seerpa Anemy *Nowoczesna sztuka i wynaturzenia* wyczytałem następujące zdanie: „Dysocjację psychicznych funkcji poznaliśmy nie tylko jako matkę psychoz, ale i jako źródło nowego stylu życia i sztuki”, pomyślałem: to tak jak u mnie, bo dysocjacja to rozkład, a czyż postacie, które rysowałem, nie ulegają niejako rozkładowi w tym świecie roślin, wśród których je umieszczałem? Przeraziło mnie to trochę i rysując miałem takie uczucie, jakbym popełniał grzech, lecz nie zmieniło to w niczym mojej techniki. Z tej samej książki zapamiętałem jeszcze jedno zdanie: „Zdrada u Goethego mieni się większą ilością barw niż wierność małżeńska u Bilderdijka.” I to także dało mi wiele do myślenia pod figowym drzewem. Czasem czytywałem też w południe jakąś całkiem zwyczajną książkę, choć zawsze miałem przy tym wyrzuty sumienia. Ukradkiem zabrałem z pokoju siostry powieść o młodej hrabiance, zamieszkałej pośród lasów w wielkim dworze, wokół

którego biegały ryczące jelenie. I gdy pewnego razu gajowy zabiera ją ze sobą na polowanie, podczas którego strzela dla niej upragnionego jelenia, tak zwanego „dwudziestaka”, wreszcie wydarza się coś, czego spodziewać się było można od początku książki, a co przedstawiono jednym jedynym zdaniem, na którym nagle urywa się rozdział: „Zniewolił ją kolanami.” Skutek był taki, że gdy rozmyślałem w łóżku o Rietje Tulp, wciąż powtarzałem ochryple: „Zniewolił ją kolanami.” A potem wierciłem kolanami i kopałem nimi w materac, bo właściwie nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak można kogoś w ten sposób zniewolić. Mój ojciec wciąż dopytywał się w tamtym okresie, dlaczego wyrzucam tyle chusteczek do nosa do rynny, a matka chciała dodać do tego coś jeszcze, lecz powstrzymywała się w pół słowa. Nie mieli odwagi, by zapytać mnie o to wprost, przez co nie wiedziałem nawet, czy oni coś z tego rozumieją i czy naprawdę wierzą, że te chusteczki wypadły mi po prostu, gdy wychylony przez okno wycierałem nos. Siostra z wściekłością zabrała swoją książkę z mojego pokoju i powiedziała, że jeszcze nie dorosłem do czytania miłosnych historii. Już dawno przeczytałem ją do końca, ale zatrzymałem jeszcze, by wciąż na nowo czytać to jedno zdanie. A wywietrzało mi ono trochę z głowy dopiero wtedy, gdy usłyszałem, jak Huib mówi do Jacoba: „Znowu tam jakaś para robiła minetę.” Gdy przy zbieraniu porzeczek spytałem Jacoba, co to takiego, odpowiedział przekornie: „Co to, pan student jeszcze tego nie wie? No to będziemy musieli migiem go oświecić.” A potem zamilkł na dłuższą chwilę. Dopiero kiedy przyszedłem wsypać mój koszyk porzeczek do jego wiadra, powiedział szybko i trochę zakłopotany, nie patrząc przy tym na mnie: „Na łące leży chłopak z dziewczyną i on liże dziewczynę po cipie.” Natychmiast wstał i poszedł z wiadrem do komórki. W chwilę później usłyszałem trzaśnięcie drzwiczek od

wychodka i pomyślałem sobie o tym, jak kiedyś powiedział do mnie:
„Nieźleś się obciągnął.” I takie to było życie na wsi.

Pewnego pięknego, słonecznego wrześniowego dnia dosłownie wpadłem na gorylowatego człowieczka, kiedy o szóstej szedłem aleją dojazdową. Później przyszło mi do głowy, że pewnie czekał tam na mnie, ale spotkanie wyglądało na przypadkowe. Była to krępa, sękata postać na najbardziej krzywych nogach, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Jego okrągła głowa bez szyi spoczywała bezpośrednio na tułowiu, jedynie nad kołnierzykiem widać było kilka pomarszczonych skórnych fałdów. Ogromne białe wąsiska przechodziły w kilka nastroszonych szczotek, wypełniających niemal to miejsce, gdzie wygarbowana skóra jego policzków zapadała się fałdą w jamę jego bezzębnych ust. Na plecach niósł kosę, której ostrze owinięte było starym jutowym workiem. Prócz tego z kieszeni jego sztywnych sztruksowych spodni sterczał sekator, zapiaszczony sadzak, mała żelazna łopatka i jeszcze inny sprzęt ogrodniczy. „Powiedz no mi, chłopcze, ile ty tam zarabiasz?“, spytał. Wyglądało na to, że wie, iż pracuję u Houtheera. Gdy powiedziałem, że zarabiam dwa i pół guldena na tydzień, zawołał: „A to swołocz, żeby płacić takie grosze.” I splunął pogardliwie strużką tytoniowego soku w kierunku posiadłości, nie otwierając przy tym ust. Tylko jego górna warga uniosła się nieco w kąciku. Powiedział, że porządkuje ogrody i że mógłbym zarobić u niego dwa razy tyle. Wprawdzie nie jest milionerem, ale ma w zwyczaju dawać ludziom uczciwą zapłatę. I że czasem byłbym wolny już o trzeciej w południe. Zastanowiłem się chwilę. Gdybym zarabiał pięć guldenów, mógłbym chodzić wieczorem do liceum plastycznego i brać lekcje maszynopisania. I mógłbym w końcu kupić farby olejne. A gdybym częściej miewał wolne popołudnia, mógłbym także zacząć nimi malować. To przesądziło sprawę. Skinąłem głową, a on podał mi swą podobną do kawałka kory rękę i powiedział, że nazywa się Broodster, ale że to nie ma nic do rzeczy, bo najważniejsze, żeby przejść uczciwie

przez życie, i żebym w najbliższy poniedziałek był u niego o siódmej rano. Drogą pod wiaduktem, a potem to już go usłyszę. Chodziło mu o to, że będzie tam gdzieś w trawie wyklepywał kosę. A potem ruszył dalej sztywnym i zdecydowanym krokiem swych krzywych nóg z dumnie niesioną na ramieniu kosą.

Gdy wczesnym rankiem ostatni raz otwierałem okiennice u Houtheera, w śmietniku obok drzwi kuchennych leżało kilka muszek, z których jedną, białą w małe niebieskie kwiatki, natychmiast rozpoznałem. Widziałem ją kiedyś pod podbródkiem pana Houtheera podczas jednej z jego przechadzek. Była troszkę zatłuszczona u góry. Mimo to zabrałem ją i gdy w rok później nałożyłem ją pewnego wieczora, lejdejscy chłopcy na Stationsweg wołali za mną „Hrabia Nędza”, wskutek czego szedłem dalej czerwony jak burak. Przy wystawie damskiego fryzjera spojrzałem w lustro i zobaczyłem, że mają rację. Zdjąłem ją i wyrzuciłem do Rapenburg.

I tak oto chodziłem odtąd z Broodsterem po wsi, on z kosą na ramieniu, wciąż głośno perorując, przy czym jego wąsy poruszały się jak u wężącego żer szczura. A ja, który zapuściłem sobie w tym czasie tak długie włosy, że sięgały mi niemal do połowy karku, z łopata i grabiami obok niego. Te długie włosy miały więcej wspólnego z Samsonem – któremu też nie wolno było obcinać włosów, ponieważ był nazarejczykiem Bożym z żywota matki – niż z faktem, że zamierzałem malować olejnymi farbami. Miały też związek z filmem z Johnnym Weismüllerem, który widziałem na krótko przed wojną. Bo kiedy jeden z chłopców na posyłki zawołał kiedyś: „Ej, małpa, fryzjer się o ciebie pytał!”, powiedziałem sam do siebie w duchu: „*Tarzan says no!*” A moja siostra znów wstydziła się za mnie śmiertelnie. Mówiła, że to skandal. Ja z tymi długimi włosami i w pumpach, do których nie zakładałem podkolanówek, i ten stary obleśny dziadyga obok mnie, który wciąż pluł sokiem z prymki. „Wypisz wymaluj para amerykańskich emigrantów”, mawiała. Za którymś razem podczas obiadu zrobiła mi taką awanturę z powodu moich spodni upačkanych gnojówką, że aż ojciec kazał jej się zamknąć. A wtedy wrzasnęła: „Ten włóczęga nigdy nie znajdzie sobie dziewczyny!” W moim dzienniku zaś napisała „Bradas”, a ja z kolei dopisałem pod spodem: „Ty ohydny babsztylu, łapy z daleka od mojego dziennika.” A ojciec powiedział, uśmiechając się pod nosem, bo też uważał mnie trochę za pomyleńca: „Każda potwora znajdzie swego amatora.” Wciąż mi się to przypominało, gdy w wolne popołudnia, kiedy malowałem na dworze, przystawała przy mnie czasem jakaś pulchna dziewczyna, która pewnego razu powiedziała mi, że ma jedną nogę krótszą. I czy to aby nie byłaby przeszkoda, jakby ktoś chciał ją narysować, bo w przyszłości zamierza wyjść za artystę malarza. Kiedy powiedziałem, że to żadna przeszkoda, nie uspokoiło jej to do końca, bo chciała, żebym sam ją

obejrzał. Ale nie na dworze, bo to jest bardzo wysoko, miała usunięty kawałek biodra. W sposobnej chwili zabrałem ją niepostrzeżenie do mojego pokoju, gdzie nawet nie spojrzała na moje zbiory, lecz natychmiast zaczęła się rozbierać, jakby była u lekarza. Kiedy była już całkiem naga, stanęła przede mną, rozłożyła nieco ręce i powiedziała: „Widzisz?” Lecz ja nic nie widziałem. Całkiem jakbym oślepnął na jej różowe ciało z tą kępką włosów albo jakby moje oczy widziały tylko to, co było dookoła niej. I jeszcze jej twarz, bo ta pozostała znajoma. Powiedziałem, że nic nie widać. „Z tyłu też nie?”, spytała i odwróciła się do mnie plecami. „Nie, ubierz się, wszystko jest w porządku”, powiedziałem. „Nic nie znać.”

Od pierwszego października 1941 roku, miałem wtedy prawie szesnaście lat, zacząłem chodzić wieczorami do Lejdy na zajęcia do Wieczorowej Szkoły Rysunku (dawnego Holenderskiego Związku Rzymskokatolickiego, oddział w Lejdzie), od siódmej do wpół do dziesiątej. To było męczące, ten ponad godzinny marsz po całodziennym pieleniu grządek, grabieniu kwietników, przycinaniu wyschniętych gałązek lawendy i wysłuchiwaniu Broodstera, który wciąż powtarzał, że jako młodzieniec prowadził taki zdrowy tryb życia i niczego nie przeszkrobał, przy czym walił się mocno w brzuch. Oczywiście miał na myśli to miejsce poniżej, tam jednak nie mógłby się walnąć tak mocno. Ale ja się nie poddawałem, choć w szkole musiałem nieraz stać jeszcze przez cały wieczór przy desce rysunkowej. Prócz rachunków, geometrii i języka, bo wtedy można było siedzieć. Lekcje rysunku składały się z rysunku profesjonalnego, przez które to pojęcie rozumiano projektowanie, a potem staranne kolorowanie plakatówką wyrysowanych konturów dekoracyjnych kompozycji. I rysunku dowolnego. Można tu było projektować okładki książek i plakaty. Albo malować akwarelami martwą naturę: dzbanek z bukietem uschniętych bazi i obok zbrązowiałą cytrynę albo ozdobną dynię, która była tak sucha, że głucho grzechotały w niej pestki. Ale to było dla mocno zaawansowanych. Przez dwa lata, kiedy uczęszczałem do tej szkoły, miałem na świadectwach ze wszystkich przedmiotów same ósemki. Pracowałem chyba z tak wielką przyjemnością, że niewiele z tego zapamiętałem. Tylko dzięki zachowanej kartce z notatnika mogę sobie jeszcze co nieco przypomnieć. Między słupkami rachunków narysowałem na tej karteczce portret naszego nauczyciela geometrii. Jego włosy spadające z jednej strony aż na brwi, druga połowa czoła pełna głębokich zmarszczek, które zawsze się pogłębiały, gdy bezskutecznie usiłował coś wytłumaczyć blademu chłopczkowi z

kartoflowatym nosem. Głowa spoczywa niczym balon na mikroskopijnym cieple. Gdy rysowałem to na lekcji, chłopak siedzący obok mnie wyrwał mi kartkę spod ręki i podniósł ją do góry. Cała klasa się roześmiała, a nauczyciel długo i uważnie oglądał rysunek i powiedział: „A więc to tak wyglądam. Nic na to nie poradzę.” Wtedy wszyscy znów się roześmiali, bo myśleli, że jemu chodzi o to maleńkie ciało. Lecz ja wiedziałem, że to odnosiło się raczej do rysów jego twarzy, po których można było poznać, że kuleje.

Drogę powrotną przez zaciemnione miasto odbywałem często z chłopakiem, którego bardzo podziwiałem. Miał ciemne, płonące oczy i krągłą twarz, jakby cały czas zajęty był zdmuchiwaniami jakiejś świecy, przez co przypominał młodzińcze autoportrety Rembrandta. Nasze podniecone głosy rozbrzmiewały donośnie w opustoszałych ulicach. Rozmawialiśmy zawsze o malarstwie. Pewnego razu dał mi małą pocztówkę z *Omszałym Modrzewiem* Herculesa Seghersa, którą kupił w gabinecie rycin. Przyrzekliśmy sobie, że będziemy malować przez całe życie i że w przyszłości nigdy nie pójdziemy przy tym na żadną posadę. On akurat pracował w fabryce fajansu. Po chwili powiedział zachrypniętym głosem, drżącym z przekonania: „Już ja tego dopnę, już ja tego dopnę!”

Kiedy wraz z Broodsterem szedłem alejkami zarośniętych chwastami ogródków i po raz kolejny musiałem wysłuchiwać opowieści o kobiecie, która opalała się nago w ogrodzie, a gdy on wszedł przez tylną furtkę, poderwała się dziko i trzęsąc pośladkami pognąła do domu, podczas gdy on wołał za nią: „Kobieto, ja nie mam zamiaru cię zgwałcić”, i że potem zawsze musiał dzwonić do drzwi wejściowych, nawet w zimie, i że człowiek puchnie od chleba i ciasta, i że nigdy nie pił w młodości i dlatego jest jeszcze taki pełen wigoru, ja starałem się nie słuchać i powtarzałem w duchu: „Już ja tego dopnę, już ja tego dopnę!” Rysowałem i malowałem z jeszcze większym zapałem. Schudłem tak bardzo, że kiedy przechylny przez poręcz mostka za zamkiem Poelgeest spojrzałem na swe lustrzane odbicie, przypomniały mi się słowa pastora Bosbooma, wypowiedziane podczas kazania kilka tygodni temu: „Czyż nie dostrzegamy tam mrocznego cienia Nietzschego?” Gdy po kazaniu spytałem ojca, kto to jest, odpowiedział, że to był pisarz i bezbożnik. A gdy spytałem go wtedy, czy przeczytał którąś z jego książek, odparł oburzony: „Chyba nie przypuszczasz, że będę się zagłębiał w dzieła bezbożnika.” Wkrótce potem zesłał mi pastora Bosbooma na kark, bo przestałem chodzić do kościoła i zaniedbywałem katechizację. Pastor zabrał mnie do ogrodu, bo w mieszkaniu nie mieliśmy spokoju z powodu dzieci. Nie chciałem zabrać go na górę, do mojego własnego pokoju, ponieważ w proteście przeciwko obraźliwym wypowiedziom siostry na temat moich rysunków powiesiłem na ścianie wielki arkusz papieru z wymalowaną trupią czaszką i podpisem: Niechaj temu, co tu drwi i sztydzi, demon życie obrzydzi! Bałem się, że obrałby sobie ten tekst za punkt wyjścia swego kazania i powiedział to obłudnie: „Lepiej byś sam o tym pomyślał, jeśli jeszcze kiedyś przyjdiesz do kościoła.” Lecz pod jabłonią powiedział do mnie tylko, spoglądając pospiesznie na otwarte drzwi na werandę:

„Twoi rodzice to prości ludzie, czy musisz im zatruwać życie?” A mnie niemal łzy napłynęły do oczu i niby to obojętnie zacząłem grzebać wypaloną zapałką w podobnych do pleśni grudkach bawełnicy korówki na pniu, bo kiedy to powiedział, wydali mi się nagle tacy biedni i pocziwi. A ja wydałem się sam sobie draniem, ponieważ dopiero co oddałem mój jedyny porządny garnitur Cyganowi, który ze swoim wozem zatrzymał się za wsią. Zrobiłem to także pod wpływem współczucia dla tego mężczyzny w nędznym ubraniu, ale jeszcze bardziej z zemsty. Chciałem bowiem pokazać moim rodzicom, że ja, jako niewierzący, żyję jak chrześcijanin, i to lepszy niż oni. Doprowadziłem ich tym do wściekłości i całkowitej bezradności. Nie tylko z powodu pieniędzy, lecz także i dlatego, że prawdopodobnie nieprędko dostanę nowy przydział na ubranie z biura przydziałów. Pastor powiedział, że tym postępkim sprawiłem więcej cierpienia niż dobra, i że gdyby każdy chciał odgrywać Chrystusa na własną rękę, to życie zamieniłoby się w piekło i wszystko obróciłoby się w chaos. I że nie taki jest sens Słowa Bożego, bo Chrystus już umarł za nas na krzyżu i to zupełnie wystarczy, że swoją krwią oczyścił nas ze wszystkich grzechów i że my nie musimy powtarzać tego teraz w dyletancki sposób, bo i tak nic z tego nie wyniknie. A gdy rozmowa zesłała na Multatuliego, którego siedem tomów *Idei* znalazłem w paczce z papierosami pozostawionymi przez wuja Louisa, a potem zniszczyłem oprawę i zaczytałem na strzępy, powiedział kręcąc głową: „Nie daj się sprowadzić na błędną drogę tym fałszywym prorokom, tym poszukiwaczom, którzy sami nigdy nie zaznali spokoju, którzy porzucali swoje żony i dzieci i spędzali czas w kasynach i knajpach. Jak przeczytasz Augustyna i Pascala, przyjdę jeszcze raz z tobą porozmawiać.” A potem popatrzył na mnie wnikliwie swymi zmęczonymi, szarymi oczami. Na werandzie długo rozmawiał z moją

matką, która wtedy wysłała wszystkie dzieci do ogrodu. Później usłyszałem, jak powiedział, że to choroba wieku i że z czasem wyrosnę z tego młodzieńczego buntu.

Wiosną pierwszego roku w liceum plastycznym zacząłem w poniedziałkowe wieczory, jedyne, jakie pozostały mi jeszcze wolne, brać lekcje maszynopisania u Ponta przy Breestraat. Tam zasiadałem wreszcie za klawiaturą maszyny do pisania, z rękami, których nie mogłem domyć, i z żalobą za paznokciami połamanymi od grzebania w ziemi, usztywniony i zakłopotany. Gdy nauczycielka przechodziła wzdłuż stolików, wszystkie moje brudne palce leżały wydane na jej kłujący wzrok, bo uczyliśmy się systemem dziesięciopalcowym. Zresztą na początku wszystko wyglądało znacznie mniej romantycznie, niż to sobie wyobrażałem, musiałem bowiem wystukiwać całe strony tych samych słówek. Wiele czasu minęło, nim oduczyłem się ciężkiego uderzania w klawisze, z powodu którego nazywali mnie „karabinem maszynowym”. Poprawiłem się jednak, gdy byliśmy nieco dalej i mieliśmy wystukiwać czcionki zgodnie z rytmem muzyki z płyty gramofonowej. Wszyscy ci pewni siebie i wymuskani młodzieńcy z biur i dziewczyny patrzyli na mnie trochę z góry. Oprócz jednej rudowłosej o małej okrągłej główce, wielkich brązowych oczach i grubych wargach. Gdy przechodził ulicą oddział niemieckich żołnierzy ze śpiewem na ustach, był to dla niej dobry pretekst, by wyjrzeć obok mnie przez okno, a potem gdy przeszli, popatrzeć na mnie. Z początku myślałem, że podobnie jak wszyscy inni po prostu uważa mnie za durnia. Lecz kiedy odpowiadałem jej spojrzeniem, wpadaliśmy oboje w takie zmieszanie, że pewnego razu po lekcji spytałem, jękając się, czy mógłbym odprowadzić ją do domu. A potem natychmiast umówiłem się z nią na najbliższe wolne popołudnie na spacer do ruin Warmond. W drodze powrotnej byłem tak zakochany, że zapomniałem nawet, jak ona wygląda. Wciąż usiłowałem przypomnieć sobie jej twarz, lecz mi się to nie udawało. Widziałem tylko pekińczyka albo jakiś kwiatek, albo po prostu jeszcze inny przypadkowy przedmiot. W umówione popołudnie

czekałem na nią na przystanku tramwajowym już na pół godziny naprzód i stałem tam jeszcze w trzy godziny później. Im więcej czasu mijało, tęsknota tak mnie zaślepiła, że gotów byłem uściskać nawet każdą staruszkę, która wysiadłaby z tramwaju i podeszła do mnie. Następnego dnia zjawilem się tam znowu, bo pomyślałem, że może miała na myśli sobotnie popołudnie, wtedy wszyscy mają wolne. W poniedziałkowy wieczór po lekcji powiedziała, że zabroniono jej wyjść z domu, ale że na pewno przyjdzie w sobotę. I przyszła. Drżącą ręką pomogłem jej elegancko wysiąść z tramwaju i wkrótce, zakłopotani i małomówni, szliśmy obok siebie do Warmond. Gdy moja ręka ocierała się w trakcie marszu o jej dłoń, odsuwaliśmy się trochę od siebie, ale gdy w ruinach pokazałem jej niszę z brązowymi kośćmi i czaszkami z opróżnionych grobów cmentarnych, niespodziewanie objęła mnie w pół. I nie puściła mnie nawet, gdy już się stamtąd oddaliliśmy, tak że idąc do wieży, musiałem robić dodatkowy mały kroczek, ponieważ nasze uda zderzały się ze sobą. Dopiero wtedy się spostrzegła i niezręcznie opuściła rękę wzdłuż mojego ciała. Pochyliła się natychmiast nad kwiatkiem, którego nazwę na szczęście znałem. Otworzyłem drzwi wieży i pierwszy wszedłem na kręcone schody, lecz przy drabinie prowadzącej na sam szczyt puściłem ją przodem. Nad sobą zobaczyłem, jak jej uda ocierają się o siebie w różowym mroku spódniczki. Na walącym się stryszku rozgrzebałem sobie odchody i pokazałem jej, że pełno w nich małych kostek i mysich szczęk z połyskującymi ząbkami. Krzywiąc się powiedziała, że powinienem umyć ręce, lecz zapomniała o tym już w chwilę później, gdy stojąc obok siebie wyglądaliśmy przez małe okienka na okolicę. Gdy ostrożnie wziąłem ją za rękę, nie cofnęła jej. Odwróciła mi dłoń, ponieważ niezręcznie oplótłem palcami jej rękę i nagle wpiła swe ostre pazurki pod moje połamane paznokcie. Zacząłem tak się trząść, że aż

zapytała, czy mi aby nie zimno. Pokazałem jej czaplę, która szybowiała tak nisko nad ziemią, że wyglądało to, jakby ścigał ją jej własny cień. Zobaczyliśmy też dwóch księży w czarnych sutannach na łące za seminarium. Podali sobie ręce i stali tak długo, jakby mieli się już nigdy nie zobaczyć. A potem ruszyli każdy w inną stronę z rozwianymi sukniami nad zieloną trawą. Wkrótce później leżeliśmy w niej oboje nad kanałem. Ona na moim poplamionym farbą płaszczu przeciwdeszczowym, bo bała się, że pobrudzi sobie spódnicę; kiedy gdzieś wychodziła, w domu zawsze oglądali ją po powrocie. Gdy pocałowałem ją soczyście, a ona zaczęła szybko oddychać, ja z największą ostrożnością zakradłem się ręką w ciepło pod jej spódnicą. Moje palce zatrzymały się na gumce jej majtek i gdy przez chwilę jej nie całowałem, czułem się nieswojo, bo wówczas moja ręka stawiała się czymś, co było tam nie na miejscu. Mimowolnie spojrzałem na okienko w wieży, za którym staliśmy przed chwilą, lecz tylko odbijało się w nim niebo. Ona przywarła wargami do moich ust i wcisnęła między nie koniuszek języka. A potem zamknęła oczy, i wtedy ośmieliłem się przesunąć swoją rękę głębiej. Zrobiła się taka czerwona na twarzy, że nie można było rozróżnić jej piegów. Nagle poruszyła się gwałtownie i rozchyliła uda, tak że mój palec zapadł się w nią. Wystraszony cofnąłem rękę, a ona spojrzała na mnie tak, jakby nagle się obudziła. A wtedy z pomocą przyszła mi przyroda, bo tuż przy jej głowie siedział rzadki okaz ropuchy paskówki, którą znałem tylko z ilustracji. Natychmiast się poderwałem, złapałem żabę i chciałem ją pokazać dziewczynie. Lecz ona rzuciła tylko pełne obrzydzenia spojrzenie i dalej wyglądała wygniecioną spódnicę. Gdy wstała i zaczęła zbierać się do odejścia, powiedziała, żebym wyrzucił to paskudztwo, bo inaczej dostanę kurzajek na rękach. Zawinałem

ropuchę w chusteczkę do nosa, w której w drodze powrotnej kołysała się niczym tłusty, biały węzełek.

To, że młodzieniec pozostał czysty jak łąza pośród marności tego świata, pociągnęło za sobą z początku pewne ochłodzenie kontaktów. Nie wolno mi już było odprowadzać jej do domu. Stale się spieszyła. Lecz wkrótce to minęło. Ja tymczasem od Mulata, chłopaka o grubych, sennie zmysłowych rysach twarzy, który zawsze mocno pochylony i całkowicie rozluźniony pedałowal na swym angielskim rowerze, dostałem prezerwatywę. Ów Mulat nosił jeszcze krótsze spodnie niż ja niegdyś u Houtheera, tak że gdy nadjeżdżał, chłopcy wołali czasem: „Ty, czuć jak pachnie.” A wtedy on odpowiadał dziwnie melodyjnym głosem z francuskim „r”: „Fajny aromacik, co?” Rzeczywiście, w mroku jego nogawki można było dojrzeć czasem ten woreczek z szorstkiej gęskiej skóry, jeździł bowiem zawsze z szeroko rozstawionymi ciemno owłosionymi nogami. Pewnego dnia bez powodu, a może dlatego, że obniżono właśnie racje chleba, jeździliśmy jeden za drugim po wsi wrzeszcząc: „Głód-no, chłód-no, głód-no, chłód-no.” Kiedy po wszystkim przez chwilę rozmawialiśmy ochryple o „dziewczynach”, dał mi tę prezerwatywę. „W ten sposób przynajmniej zatrzymasz ten biały klajster, bo inaczej ledwo się człowiek dotknie do tych bab, od razu narobi im dzieciaków”, powiedział. I parę razy rozwinął i zwinął ją z powrotem na palcu, żeby mi pokazać, jak działa. Jego palec zrobił się biały od talku, i później zrozumiałem, że albo sam jej używał, albo zabrał ją z domu.

Teraz, gdy już to miałem w małej białej kopertce w tylnej kieszeni spodni, poczułem się także zobowiązany, by tego użyć. Następnym razem, gdy znów miałem wybrać się za miasto z moją rudowłosą przyjaciółką, założyłem kondom już wcześniej w domu. Rozmyślając o niej najpierw zapewniłem sobie erekcję, a potem nałożyłem go sobie. Lecz jeszcze nie zdążyłem wyjść z domu, poczułem, że wisi mi jak naderwany kawałek skóry. W trawie, gdy ściągnąłem jej już majtki i zacząłem szarpać się z moim własnym ubraniem, przy czym klamra od paska robiła strasznie dużo hałasu, ona spytała leniwie i czule, bez cienia strachu: „Czy będę miała dziecko?” Przerwałem na chwilę i położyłem się na niej z rozpiętymi do połowy spodniami, bo nie za bardzo wiedziałem, co mam jej powiedzieć. Przecież nie mogłem jej oznajmić, że mam kondom i zamierzam go użyć. Na pewno pogniewałaby się na mnie i zaraz uciekła. W chwilę później zająłem się znowu sobą, lecz gdy możliwie niepostrzeżenie rozpiąłem spodnie, zobaczyłem, że większa część prezerwatywy zwisa mi z członka jak powyginana trąba słońca. Próbowałem ją naciągnąć, ale na próżno. A ona poruszała się coraz gwałtowniej, bo oczekiwała, że to zaraz nastąpi. Nie wiedziałem, co robić. Poderwałem się nagle, szybko zapiąłem spodnie i powiedziałem: „Coś jest nie tak, nie da rady.” I poszedłem na ścieżkę, gdzie na nią zaczekałem. Nie rozmawialiśmy ze sobą ani nie patrzyliśmy na siebie, gdy odprowadzałem ją do domu, przed którym pospiesznie i chłodno powiedziała mi do widzenia.

Niedługo potem dostałem dyplom stanowiący dowód mej biegłości w pisaniu na ślepo dziesięcioma palcami na maszynie i wtedy straciłem ją z oczu. Później słyszałem, że zadaje się z Niemcami. I kiedy spotkałem ją znów w 1944 i spytałem, czy to prawda, odpowiedziała mi głosem pełnym mściwości i wyrzutu: „Gdybyś ty wiedział, co oni ze mną wyprawiają.”

W tym samym czasie zaprzyjaźniłem się bardzo z naszym sąsiadem. Był to człowiek z fałdami wokół ust i o błyszczących wścibskich zwierzęcych oczkach. Handlował darnią i ziemią ogrodową i był spartakusowcem. Gdy wracałem z lasu z wilgotnym jeszcze obrazem pod pachą i napotykałem go gdzieś po drodze, on odstawiał wtedy na bok swój rower z przyczepą pełną parujących płatów darni, w której kłębiły się dżdżownice. Brał ode mnie obraz i trzymał go przed sobą w wyciągniętych rękach. Stał tak przez chwilę i tylko zmarszczki w jego twarzy robiły się coraz głębsze. Potem opierał go o ścianę lub o ogrodzenie i cofał się aż do krawężnika, skąd, często w kucki, przyglądał mu się uważnie. A potem wywiązywała się cała dyskusja. Przechodnie przypatrywali się nam podejrzliwie, bo wiedzieli, że on jest czerwony. Kiedyś, gdy szedłem naszą ulicą z obrazem, pokrytym tak grubą warstwą farby, że aż poprzyklepiały się do niej owady, on wyszedł mi naprzeciw ze swego ogrodu. Miałem dziwne uczucie pustki, jakbym wszystkie moje myśli wsmarował w ten kawałek płótna. I dziwny lęk, jakbym całkiem zwariował. Bo malowałem w taki sposób, jakiego nie widziałem jeszcze nigdy dotąd, i o którym nie wiedziałem nawet, że istnieje. Lecz on złapał mój obraz i z miejsca postawił go przy ścianie. Bo kiedy trzymało się go tuż przed sobą, widać było tylko kłębiące się morze farb. A potem powiedział: „To jest piekielnie mocny obraz.” Nagle zniknęło osamotnienie i poczułem się głęboko szczęśliwy, że oto jest ktoś, kto to zrozumiał i potrafił ująć w słowa.

Od tamtej pory często przychodziłem do niego do domu. Wyłożył mi nauki Marksa, opowiadał z entuzjazmem o syndykalizmie i radach robotniczych i czasem czytał mi całe fragmenty z *Fauna* Gorterera, gdzie „Duch Robotników marzył po skończonej pracy o Pięknie Ludzkości, o Pięknie Wszechświata”. *Maj* też mu się podobał, ale to była poezja mieszczańska.

Musiałem zawsze chodzić do niego po kryjomu, bo kiedy po pierwszej wizycie usiłowałem wyłożyć memu ojcu pojęcie wartości dodatkowej, powiedział: „Bóg jest naszą wartością dodatkową. I nie będziesz mi więcej chodził do tego fałszywego proroka, który drwi sobie z Boga i autorytetu prawa.” Rzeczywiście sąsiad pokazał mi kiedyś zdjęcie udekorowanej wystawy u rzeźnika w czasie jubileuszu panowania królowej. Pośród szynek i kielbas znajdował się tam medalion z płaskorzeźbą królowej z profilu. A pod spodem widniał napis: Jej Królewska Wysokość Wilhelmina cała wykonana ze świńskiego tłuszczu. On i jego towarzysze powiększyli to zdjęcie i usunęli część tekstu, tak że pod wizerunkiem królowej pojawiły się słowa: Jej Królewska Wysokość cała ze świńskiego tłuszczu. Wydrukowali je potem na okładce jakiejś wywrotowej broszury, policja zajęła cały nakład.

Zasięgałem też u niego informacji o życiu seksualnym. Zrozumiał chyba, co mnie gryzie, bo powiedział: „Wiesz, co powinno być napisane wielkimi literami na wszystkich wagonach kolejowych? Onanizujcie się!” Pisał też wiersze. Gdy kiedyś pracując na łące dojrzał mnie z daleka, przywołał mnie do siebie. Ruszyłem w jego stronę po geometrycznych figurach w ciemnej parującej ziemi, którą dopiero co odarto ze skóry, lawirując między regularnymi stosami darni. Rozglądając się dookoła pomyślałem: „Patrzcie, oto wszystko czynię nowym.” Wyjął z kieszeni kawałek papieru i dał mi do przeczytania wiersz, który właśnie napisał. Gdy powiedziałem, że mi się podoba, pozwolił mi go zatrzymać. Przepisał go sobie na krawędzi rowerowej przyczepy swym stolarskim ołówkiem trzymany w umazanej rękawicy, twardej ręce mam jeszcze ten kawałek papieru. Jest to rachunek za dostarczone płyty darni. Po drugiej stronie widnieje wiersz.

*W jesiennym wietrze ostatnia kwitnie róża,
Gasnące światło minionego dnia
Nie szczędzi jej czułości, jak
Żegnany, co nie puszcza jeszcze ręki ukochanej.
Co czyni z rozstania
Tak silnego uniesienia chwilę,
Pięknem w pamięci zapisaną.*

Ostatni dzień mojej pracy u Broodstera upłynął w ogrodzie w Rijnsburg, koło którego tak blisko przejeżdżał tramwaj do Katwijk, że zawsze leżał w nim rdzawy żwir. Ziemia też była czerwono-brązowa od spływającej po niej przerdzewiałej wody. Przerzucając garść żwiru ponad ogrodzeniem do kanału, utkwiałem wzrok w cegielni widocznej w oddali. Za sobą usłyszałem sapanie pochłoniętego pracą Broodstera i wtedy powiedziałem głośno, i nie oglądając się do tyłu, że od przyszłego poniedziałku idę gdzieś indziej do pracy. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Potem usłyszałem, jak odkłada motykę i podchodzi do mnie. Stał tuż za mną. Przez chwilę bałem się, że tak mnie popchnie swym sękatym ciałem, że natychmiast wylecę z ogrodu. Ale on powiedział tylko, że zawsze pracowałem uczciwie i że każdemu człowiekowi wolno robić, co mu się żywnie podoba. Na tylnej platformie tramwaju, z odstawioną do kąta i owiniętą w jutę kosą, przez otwarte drzwi pluł na ulicę sokiem z prymki częściej niż zwykle. Wyglądało to tak, jakby robił to pogardliwie. Wyczułem, że nie chce dać po sobie poznać zawodu, i nie śmiałem patrzeć na niego. Przyglądałem się swemu lustrzanemu odbiciu w szybie obok niego i zobaczyłem nagle, że jestem podobny do autoportretu Lucasa van Leydena w Lakenhal, który wisiał tam za wyblakłą czerwoną pluszową kotarą. By móc obejrzeć obraz, trzeba ją było unieść, co dawało wrażenie, jakby to on spoglądał na widza. I tak też się teraz czułem. Jakbym przez chwilę zajrzał Broodsterowi przez ramię w jego życie, a teraz znów zostawiał go samego. Na przystanku mocno uściśnął mi rękę i powiedział nieco podniośle: „No, chłopcze, niech ci się wiedzie.” A potem odwrócił się i odszedł z kosą na ramieniu.

W następnym poniedziałek poszedłem do pracy u ramiarza Lafleura w Lejdzie. Zarabiałem tam sześć guldenów. O guldena więcej niż u Broodstera. Ale nic dlatego tak postąpiłem. Chodziło o sklep z przyborami artystycznymi, na tyłach którego mieścił się warsztat. Kiedy przyszedłem dowiedzieć się o pracę, szef oprawiał właśnie obraz jednego z uczniów Akademii Haskiej, przeznaczony na wystawę, i powiedział do mnie z dumą: „Ten chłopak ma dwadzieścia trzy lata i jeszcze nigdy nie zarobił nawet centa.” W wyobraźni widziałem już moje obrazy w jego witrynie, nic jednak z tego nie wyszło, bo od pierwszego dnia mojej pracy u niego kradłem ze sklepu tubki olejnej farby, toteż wydało mi się rozsądniej nie mówić, że sam maluję. Musiałem po całych dniach, w smrodzie kleju do drewna i spirytusu, czyścić szkło do przeznaczonych do oprawienia reprodukcji i grafik, i podawać listwy i narzędzia. Nie wolno mi było nawet ciąć listew na pile tarczowej. Robił to głuchoniemy krewniak szefa, który potrafił tylko powiedzieć prrrt...prrrt. Akurat ten sam dźwięk, jaki wydawała piła przechodząc przez drewno. W warsztacie pomagał jeszcze jeden chłopak, nieco starszy ode mnie. Miał woskowo białą twarz pełną głębokich ciemnych porów. Na górnej wardze rosły mu nierówne czarne włosy, między którymi niemal zawsze widniały kropelki potu. Gdy tylko szef wyszedł ze sklepu, natychmiast zaczynał dokuczać głuchoniememu krewniakowi. Podchodził do niego, klepał go w ramię i mówił do mnie, żebym uważał, bo będzie do niego mówił po francusku. Gdy głuchoniemy spoglądał na niego swymi zdziwionymi rybimi oczkami, otwartymi szeroko, jakby to nimi właśnie słuchał, ten stawał przed nim i wołał głośno przekrzykując zgrzyt piły: „Vaban pizdą, kaput huju.” Powtarzał to kilka razy. Ale głuchoniemy wydobywał z siebie tylko swoje prrrt...prrrt, wzruszał ramionami i pokazywał, że musi wracać do pracy. Kiedy jednak tamten nie dawał mu spokoju, krewniak

naciskał na dzwonek. A potem, gdy zjawiał się szef, zaczęli wymachiwać rękami, tak że przypominali sylwetki — głowy i ręce z rozpostartymi palcami — widniejące na satyrycznych rysunkach z cyklu „Snip en Snap” w „Haagse Post”. Szef pytał chłopca, co tu się właściwie stało. A ten mówił, że prosił tylko o ściski do klejenia, których ostatnio używał głuchoniemy. Wtedy szef zaczynał znów mówić coś do głuchoniemego, który podskakiwał nerwowo jak wiewiórka w klatce. Można było sądzić, że szef nigdy nie przyznawał mu racji albo że mnie i tamtemu spoconemu blademu chłopakowi ufał bardziej niż własnemu krewniakowi. Lecz kiedy któregoś razu z twarzą wykrzywioną bólem podsunąłem przegub pod samo ostrze pracującej piły tarczowej, a ten drugi niemal w tym samym czasie wlał trochę gorącego kleju do kieszeni fartucha głuchoniemego, który w chwilę później z żalonym prrt...prrt demonstrował szefowi swą trzymaną w dwóch palcach i podobną do sopła błota chusteczkę do nosa, ten natychmiast wyrzucił nas z pracy.

Zaczynało wyglądać na to, że sumiennie wprowadzam w życie powiedzonko „dwanaście posad, trzynaście nieszczęść”, którego drwiąco używał wobec mnie mój ojciec. Bo kiedy zostałem najmłodszym urzędnikiem w biurze przydziałów w Oegstgeest, była to moja trzecia posada w ciągu roku. Ale w końcu zasiadłem tam za maszyną do pisania, sam w małym pokoiku bez drzwi, który łączył się z holem, tak że trafiali do mnie mali, zagubieni dziadkowie i chłopci, półanalfabeci o czerwonych twarzach z formularzami, z których nic nie rozumieli. Moi rodzice musieli sobie nieźle nałamać głowę, by ubrać mnie jako tako, stosownie do tego stanowiska, bo przecież mój jedyny garnitur oddałem Cyganowi. I wtedy to przyszła chwila, kiedy moja siostra mogła się wreszcie zemścić za to, że pozbyłem się kiedyś tamtego diabelnego płaszcza, i uszyła mi absurdalną kurtkę z grubego, bazowego materiału. Kiedy patrzy się na zdjęcie całego personelu z roku 1943, zrobione w ogrodzie pewnego chłodnego wiosennego dnia, kiedy nie mogłem wyjść na dwór bez okrycia, to człowiek rzeczywiście zachodzi w głowę, czy ten chłopak o długich włosach jest średniowiecznym giermkim, który w charakterze anachronizmu znalazł się między tymi przyzwoicie odzianymi mężczyznami i kobietami, czy też może jakimś współczesnym świętym, który chce przelicytować samego świętego Marcina i dlatego oddał żebrakowi nawet dół swojego habitu. Zaraz po wejściu do biura upychałem ten włochaty strój za płaszczami w szafie i wtedy, nie licząc włosów, wyglądałem znów względnie normalnie. Korzystną stroną siedzenia w pojedynkę w pokoju była ta okoliczność, że zza mego biurka mogłem rysować na odwrocie formularzy to, co działo się na ulicy, gdy ludzie opuszczali biuro, stawali się cierpliwymi modelami, bo na dworze poddawali natychmiast szczegółowej inspekcji swoje kartki na buty lub przydział na oponę do roweru. Zwłaszcza zawiedzeni interesanci i

petenci rozżaleni odmową stanowili dla mnie wspaniały materiał. Często podejrzliwie przyglądali się oknom, poruszając przy tym bezgłośnie ustami. Gdyby wszystkie ich złorzeczenia i przekleństwa spełniły się choć w maleńkiej części, biuro przydziałów wraz z całym personelem już dawno zapadłoby się pod ziemię. A co bardziej prymitywni osobnicy jawili się na mych rysunkach jako filary państwa rewolucyjnego, bo chyba nikomu nie przyszłoby do głowy, że te heroicznie uniesione ramiona i groźnie zaciśnięte pięści skierowane były przeciwko kierownikowi biura czy magazynierowi materiałów wartościowych.

Zacząłem też pisać opowiadania w trakcie pracy. Pierwsze było o malarzu, który tuż przed pogrzebem wyjmując z trumny swoją zmarłą żonę i wkładając tam woreczki z piaskiem – wziąłem to od wuja Louisa – by w nocy malować ją w swym ukrytym wśród gęstych krzewów atelier. W miarę jak postępuje rozkład jej ciała, portret nabiera coraz wyrazistszego podobieństwa z modelem. Pewnej nocy, gdy ze szkieletu spływa ostatni strzęp rozkładającego się ciała, wyczerpany malarz kładzie na płótnie ostatnie pociągnięcie i wali się martwy na ziemię. Gdy po jakimś czasie ludzie rozbijają drzwi do atelier i oglądają z bliska obraz, który z daleka sprawia wrażenie, jakby tamta kobieta stała przed nimi we własnej osobie, okazuje się, że mąż namalował ją jej własnym rozkładającym się ciałem, i że złudzenie życia wywołane jest przez robaki, które wijąc się i kłębiąc nadały płótnu wygląd żywej i oddychającej skóry. Napisałem całą serię takich opowiadań grozy. Jedno straszniejsze i bardziej ponure od drugiego. *Gieźło* opowiadało o nieboszczyku, któremu, gdy tuż przed pogrzebem zjawia się ktoś z rodziny, kto chce jeszcze na niego popatrzeć, jak się okazuje, ukradziono ostatni ubiór. Leży w trumnie nagi. *Wypchany ogród zoologiczny* napisałem być może nieświadomie z rozczarowania i zemsty po moich doświadczeniach na pokładzie statku „Małe Zoo”, gdzie wszystko okazało się wypchane prócz wydmowej jaszczurki, leżącej cały czas bez ruchu, jak długo bym na nią nie patrzył. Opowiadanie mówiło o żywych zwierzętach w ogrodzie zoologicznym, które pozostają w klatkach bez opieki, gdy ludzie w panice uciekają z miasta przed bombardowaniem. Chłopczyk mieszkający naprzeciwko Zoo słyszy, jak jego ojciec mówi o strasznym losie czekającym zwierzęta. Od tej chwili nie może spać spokojnie i w końcu wraca do miasta. Gdy zbliża się do Zoo, słyszy buczenie, które bliżej ulicy, przy której mieszkał, przechodzi w okropny ryk i gwałtowny pisk. A wtedy

między drzewami ogrodu spostrzega wiszącą nisko szarą chmurę. Muchy. Po wejściu do ogrodu nie może się niemal od nich opędzić. Chwasty wyrosłe na wysokość człowieka uginają się pod ich ciężarem. Pokrzywy chłuszczą go nagle po twarzy, gdy podrywa się z nich do ucieczki czarna gruda owadów. Zwierzęta w klatkach, jeśli nie zostały pożarte przez współmieszkańców, wiszą na żelaznych prętach wyżarte od środka. Ściany pokrywają robaki niczym gruba, biaława, żywa farba. Gdy chłopiec trąca kijem żyrafę, która zdechła na stojąco oparta o ogrodzenie, kręgi szyjne spadają, z głuchym dźwiękiem przez twardą, wyschniętą skórę szyi. Tylko żółwie jeszcze żyją, lecz gdy chłopiec chce przynieść im liści z ogrodu, przewraca się na ścieżce śliskiej i gładkiej jak lustro od muszego łajna. Odurzony nie ma siły wstać i zostaje pożarty żywcem przez wyłodniałe robaki.

Wieczorami dawałem te opowiadania do czytania kilku kolegom ze szkoły podstawowej, którzy byli teraz w piątej klasie gimnazjum. Spotkałem ich u Blancharda, sprzedawcy lodów o ogorzalej od słońca, pokrytej bruzdami twarzy, który ze swej budki z lodami u wejścia do Lejdejskiego Lasku, gdzie stał zawsze, uczynił dzięki traktowaniu nas jak dorosłych punkt spotkań dorastającej młodzieży. Tam właśnie zobaczyłem znowu Paula Bondora, indonezyjskiego chłopca o sennej śniadej twarzy, który dawniej przy najślabszym nawet słońcu chował się w cień i noga za nogą włókł się powoli dalej. Nie zmienił się zbytnio, bo lizał swoje lody tak wolno, że krople skapywały na ziemię między jego stopami. On też zaczął pisać opowiadania, i kiedy mi to wyznał, pomyślałem, że są o nocach w tropiku, o których opowiadał tak często, gdy wychodziliśmy ze szkoły. O gekkonach spadających nagle w nocy z sufitu na moskitierę; uderzając w nie od spodu przez tiul można je było wprawić w taneczne płąsy, i o wężach, co jak umięśniona ręka wystrzeliwały nagle z trawy tuż przed przechodzącym człowiekiem. Lecz gdy pewnego wieczora przeczytał nam opowiadanie, które ostatnio napisał, okazało się, że jest o chudym, wynędzniałym człowieczku, mieszkającym na ubogiej ulicy i beznadziejnie zakochanym w suchotniczej dziewczynie z sąsiedztwa. Ale on tylko patrzył na nią zza firanek. Paul nie pozwolił temu człowieczynie z opowiadania nawet choćby raz zapytać ją, czy nie poszłaby z nim na spacer albo do kina. Był na to zbyt leniwy. Bo wtedy musiałoby się coś wydarzyć, a tak jego człowieczek mógł cały czas stać spokojnie w oknie i snuć irytujące rozmyślania.

Bob Griffioen też przyłączył się do nas i zaczął rysować. Lecz jego talenty szły w zupełnie innym kierunku. Miał tułów jak niedźwiedź i zakrzywione, jasno owłosione żelazne łapy. Toteż po wojnie zaczął uprawiać wolną amerykanke w Paryżu i pokazuje tam teraz w telewizji swój zarośnięty tors. Opowiedział mi kiedyś, że w Lejdzie zadawał się przez jakiś czas z grupką chłopaków, z których jeden miał na strychu domu swoich staruszków dwa pokoje obok siebie. Na zmianę zwabiali tam dziewczyny, a potem pozostali w sąsiednim pokoju podsłuchiwali odgłosy za pośrednictwem mikrofonu. „Pewnie co tamci mówili do siebie?”, zapytałem. Ale on tylko się roześmiał i odpowiedział: „No nie, odgłosy. No wiesz, jak nadziewasz dziewczynę”, dodał i wykonał przy tym ruch, jakby przystawiał do podbrzusza urnę z muzeum, „wystarczy, że ruszysz się parę razy, a one zaraz zaczynają śpiewać”. Wydał swoje grube wargi i zajęczał parę razy jak w zadyszce: uu...ooch...uu...

Pamiętam jeszcze dobrze gorący dzień, gdy w słońcu pracowaliśmy we trójkę w Poelgeest na polanie. To znaczy Bob Griffioen i ja. Bo Paul Bondor siedział w cieniu grubego buka. Specjalnie szukał drzewa o gładkim pniu, ponieważ dąb, przy którym usiadł z początku, sprawił ból jego leniwemu tłustemu grzbietowi. Na głowie miał kapelusz panamski swojego ojca. W cieniu ronda krople spływały powoli po jego twarzy, jakby wytapiał z siebie stearynę. Podciągnął kolana i dobrze zaostrzonym ołówkiem, równiutko jak przy linijce, pełnymi zdaniami ciągnął dalej szkolnym piśmem swe opowiadanie o tamtym chudym człowieczku i jego beznadziejnej miłości. Widać było po nim, że mech, który w jego opowiadaniu rósł w nadmiarze między żółtymi kamykami na tamtej ulicy, z każdą nową linijką coraz bardziej się rozplenia. Ja stałem przed mymi sztalugami wymachując dziko szpachlą nad leśnym krajobrazem, o którym Bob powiedział, że gdyby przyszło mu oddać coś takiego na papierze, to wolałby już patrzeć w garnek z grochówką. Usiadł plecami do mnie i zaczął szkicować domek w szwajcarskim stylu, bo mógł przy tym zastosować w praktyce zasady perspektywy, których nauczył się w szkole. Gdy obok nas przejeżdżała na rowerze gruba wiejska dziewczyna, zawołał, żeby się zatrzymała. A wtedy, wskazując na Paula Bondora, powiedział do niej: „Ten pan chciałby się z tobą pokochać.” Zrobiła się czerwona jak burak i szybko wskoczyła na swój rower. Paul popatrzył z początku trochę wystraszony, lecz potem na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech Buddy. Tylko po jego słomkowym kapeluszu, który kołysał się w dół i w górę, widać było, że się śmieje. Bob zaczął nagle tańczyć swobodnie wokół niego i śpiewać ochryłym głosem rag o tygrysie, który jego przyjaciele z orkiestry tak grali w Zomerzorg, że klaskali im nawet niemieccy oficerowie. Dziewczyna obejrzała się jeszcze raz i kiedy zobaczyła, jak ten półnagi kolos wymachując ramionami podskakuje w wysokiej trawie, zaczęła

pedałować jeszcze szybciej. A Bob wrzeszczał coraz głośniejsze i bardziej ochryple: „*Hold the tiger... hold the tiger... hold the tiger...!*”. I wiernie naśladował dźwięki puzonu imitujące pomruki tygrysa. Potem opadł na czworaki i zaczął powłóczyć nogami, jakby został trafiony w zad i umierał w piekielnym ryku jak tygrys w alang-alang. Leżał tak przez chwilę, w śmiertelnym bezruchu. Widać było, jak jego ciało paruje. Lecz nagle poderwał się znowu i z czystego wariactwa pognął do tulipanowca, posadzonego tu jeszcze przez Boerhaave, który wolno było oglądać jedynie z czią i z daleka. Wspiął się po pochyłym pniu, jakby zamierzał zrywać orzechy kokosowe. Na czubku wyciągnął do mnie rękę i zawołał: „No i co, chłopku przydziałowy?” A potem, przytknąwszy dłonie do ust, zaczął donośną pobudkę, która odbiła się echem od zamku w oddali i poderwała w górę rozkrzyczane czaple. A Paul potrząsnął tylko ze zmęczenia głową i pisał dalej.

Teraz, gdy miałem porządną pracę, także i w domu wszystko układało się lepiej. Gdy coś namalowałem, ojciec oglądał moje dzieło nie bez pewnej życzliwości i nawet żartował sobie ze słowa „junior”, które dopisywałem sobie do nazwiska. Powiedział, że tak jest lepiej, bo inaczej to może jeszcze jego by o to posądzali. Zaprotestował tylko przeciwko memu nagiemu autoportretowi, na którym wyglądałem tak, jakbym miał początek erekcji. Ale go nie podarł. Za każdym razem, gdy wchodził do mojego pokoju, wyciągał pinezkę i odwracał rysunek. Tyle że wpadał wtedy z deszczu pod rynnę, bo po drugiej stronie widniały rysunki, które wykonałem w Muzeum Etnograficznym studiując posążki przodków z południowo-zachodniego wybrzeża Nowej Gwinei o członkach jak trzonki młotka. Ale pewnie sobie pomyślał, że to tylko drewno, a nie jego własne ciało i krew. A ja na dodatek narysowałem je ogryzkiem ołówka, wyjętym z głęboko wyżłobionej pochwy jednego z tych posążków, gdzie wetknął go zapewne jakiś lejdejski chłopak któregoś deszczowego niedzielnego popołudnia.

Gdy dostałem wezwanie na przymusowe roboty, nagle nastąpił kres tego beztróskiego życia. Musiałem odejść z biura przydziałów i ukrywać się. W Lejdzie mogłem dostać pracę na pół etatu w pracowni, gdzie malowano na abażurach kwiaty, bitwy morskie i sceny myśliwskie. Z wielkim przekonaniem wmówiłem rodzicom, że o wiele bezpieczniej jest ukrywać się w mieście niż na wsi, gdzie wszyscy szukali schronienia. Nie miałem najmniejszego zamiaru przesiadywać spokojnie gdzieś w jakimś pokoiku. Zamierzałem chodzić w południe do Akademii Malarskiej i niewiele się przejmowałem tym ukrywaniem. Kiedy nad Mare znalazłem mały pokoik na strychu, rodzice ustąpili. Matka miała przynosić mi dwa razy w tygodniu ciepłe jedzenie, a poza tym musiałem radzić sobie sam.

W dniu, w którym miałem się stawić na przymusowe roboty, związałem razem swoje rysunki i obrazy, podałem rękę ojcu, pocałowałem matkę, nerwowo miętoszącą chusteczkę, i wyszedłem z domu.

Kiedy tramwaj przejeżdżał naszą ulicą, stali przy oknie na pierwszym piętrze. Bali się nawet wyraźnie pomachać do mnie, bo przed garażem stało kilku niemieckich żołnierzy. Poplamiona, odrapana, pobielona wapnem witryna sklepu wyglądała jak ściana, przy której latami chodzili i o którą wciąż ocierali się ludzie. I pomyślałem sobie: widzę to po raz ostatni, nie wrócę tu już nigdy więcej.

POWRÓT DO OEGSTGEEST

W sobotę przez całe przedpołudnie włóczyłem się po posiadłości Houtheera. Ścieżki pozarastały, musiałem wydeptywać sobie drogę przez na wpół wyschnięte chwasty. Z przegniłego drewna poprzewracanych przez wiatr drzew, które pozapadały się do połowy w grząskim gruncie, wyrastały grzyby i ściekały drżące, obrzydliwe plechy. W fosie nie było śladu po wodnych liliach. Gdy słońce zaświeciło nagle przez pożółkłe drzewa, woda rozbłysła tam, gdzie pomarszczył ją wiatr, jak zgniecione sreberko od czekolady. Gdy pochyliłem się nad nią, zobaczyłem, że jest martwa aż po wysłane zbutwiały liśćmi dno. Nie widać było choćby jednej wodnej stonogi czy pluskwiaka. Przez chwilę miałem wrażenie, jakby wszystko było nierzeczywiste. Jakbym w mściwym śnie przemienił ten raj z mojej przeszłości w ogród pełen zgnilizny i zagłady. Lecz idąc przez zdziczałe rosarium ku domowi, zobaczyłem, że rozkład ten nie był tylko dziełem mojej wyobraźni. Z nie domkniętych okiennic poodpryskiwała farba, a między kamiennymi płytami na ganku bujnie rosły chwasty. Dom wydawał się nie zamieszkały. Gdy zajrzałem do wnętrza, zobaczyłem długie stoły zastawione maszynami do pisania. Dostrzegłem też regały biurowe stojące przy ścianach, na których dawniej wisały obrazy Isaaca Israëlsa. Sam nigdy ich nie widziałem, słyszałem o nich tylko od szofera, gdy czyściłem z nim srebra stołowe. Bo gdy rankiem otwierałem okiennice, nie wolno mi było zaglądać do środka. Szkło było barierą, przez którą nie mógł przebić się mój wzrok. Może wydano ten zakaz z obawy, że mógłbym zobaczyć, jak mój pan chodzi po pokoju w kalesonach, albo przyłapać panią na wyjadaniu łyżeczką cukru z cukiernicy. Z obawy, że bogowie mogliby okazać mi swą aż nazbyt ludzką twarz.

Usiadłem na szczycie kamiennych schodków i rozejrzałem się po łące, gdzie niegdyś biegały jelenie i drób: Przemieniła się w dżungłę pełną kałuż i wysokich, strzelistych ostów. Tylko sosny w oddali, pomiędzy które uciekłem przed chmarą os, wyglądały majestatycznie, urosły i zmężniały, upodabniając się do masztów w jachtowym porcie. Wolno ruszyłem znów w stronę ogrodu. Z boku domu, za orzechami, postawiono barak. W środku same maszyny do pisania, biurka i regały z segregatorami. Gdy, zamierzałem zejść od frontu, by zobaczyć, co się tu mieści, budka dla ptaków, której podłoga zrobiona była z drewnianej płyty, przyniosła nagle rozwiązanie. Przez warstwę ptasich odchodów i rozmiękłego, rozdeptanego chleba przeczytałem:

Wydział podatkowy ds. podatku dochodowego,
indywidualnego i produkcyjnego
Sekcja kontroli – Rejestracja – Obsługa

Słowa bez najmniejszego związku z dawniejszym życiem: ze śmiejącym się Jacobem, tym ospałym hodowcą ogórków; z wiecznie młóącym łapami Huibem i jego pokrytym niebieską emalią dzbankiem do kawy i woreczkiem śniadaniowym w kratkę, w trawie tuż obok niego, w którym niemal zawsze znajdował się cały bochenek chleba; z kruchym cieniem Houtheera pośród drzew.

Także garaż wyglądał zaniedbany. Przez okienko zobaczyłem, że w miejscu, gdzie dawniej stał zapewne rolls-royce phantom, znajdowały się teraz stojaki na rowery. Do drzwi przybito kartkę z notesu, na której widniały wypisane zieloną kredką słowa:

Uprzejmie proszę o zwrot kłapcęgów, co to je
zostawiłem w tym miejscu.

Dozorca

Kort tenisowy, na którym w swych studenckich latach grywała księżniczka Juliana z młodymi paniczami, podzielony był na kwadraty szpalerami wysokiej trawy, wyrastającej ze spojeń między pozapadanymi betonowymi płytami. Ogródzenie zawałiło się. Zardzewiała drucziana siatka zwisała wśród krzaków jeżyn. W kącie stała stara wersalka. Gdy usiadłem na niej, zapadła się z jednej strony. Kiedy wstałem, kilka sprężyn przebiło siedzenie. Wzdłuż fosy przeszedłem na tyły posiadłości. Gdzeniegdzie leżało w wodzie tak wiele martwych gałęzi, że aż wystawały nad jej powierzchnią tworząc tamy, jakby zamieszkiwała tu kolonia bobrów. Ponad łąką spojrziałem na dom w oddali. Zapuszczenie, któremu ciemne kępy cisa rosnące wzdłuż rosarium przydawały nieodwołalnej perspektywy, stało się niemal niewidoczne. Co najwyżej jako atmosfera. Jakby wyparowało w bladym listopadowym słońcu.

W sadzie unosił się kwaśny zapach zgnilizny. Ciemnobrązowe jabłka pokryte białym nalotem leżały w wysokiej trawie. Grusze, które dawniej wyglądały jak kandelabry, przemieniły się w zdziczałe krzewy. Z bezlistnych niemal drzew, na których gdzieś wisiło jeszcze małe zielone jabłko, poderwały się w górę wrony. Nie mogłem odnaleźć ścieżek w trawie, która z czasem zadusi te owocowe drzewa. Wysoka do ramienia trawa zarastała już miejsce, gdzie w płaskich inspektach dojrzewały niegdyś melony i ogórki pod matowionym szkłem. Przez wybite szyby szklarni bujnie wyływały na zewnątrz pędy winorośli. W środku przypominała ona schorowaną i splecioną dżunglę, pośród której ospale zwisały nędzne grona winogron, którym nigdy nie będzie dane dojrzeć. Tropikalną szklarnię zarosły pokrzywy, które wystrzeliły wysoko i bezsilnie w białawym świetle wnikającym przez zabrudzone szyby. Z trudem udało mi się odnaleźć miejsce, gdzie stało niegdyś drzewo bananowe.

Komórka była tak pochylona, że wyglądała, jakby oparło się o nią wielkie i ciężkie zwierzę. Drzwi zniknęły, a okna były popsute. Wielka betonowa kadź, w której stała niegdyś instalacja grzewcza do szklarni, była teraz wypełniona mętną wodą. Unosiły się w niej najróżniejsze śmieci. Na jednej z desek siedziała żaba, która nigdy już nie zdoła się stąd wydostać. Przypomniałem sobie nagle jedyny żart, na jaki pozwolił sobie mój ojciec w odniesieniu do Biblii. Gdy przeczytał nam o pladze żab, w czasie której zwierzęta te wdzierały się nawet do sypialni i łóżek Egipcjan, powiedział: „Ale dla Jana to nie byłaby żadna kara”. Rzuciłem w żabę gałązką, ale nie podплыnęła do krawędzi, bym mógł ją stamtąd wydostać. Kilkoma mocnymi pchnięciami tylnych łap zanurkowała do dna. Wieszak wisiał jeszcze na ścianie, a jego drewniane haczyki były tłuste od kołnierzyków palt i płaszczy. Ktoś napisał na nim: *Molly was here*. Pod spodem widniały wielkie, rozmazane białe litery O.A.S. Tuż obok wydrapano gwoździem w drewnie jakiś algebraiczny wzór. Komórka musiała stać się miejscem spotkań chłopaków z Vogelbuurt, bo na ziemi leżała zmięta w kulkę kartka z zeszytu ze słowami: „Droga Jette, czy mogę cię rozebrać i umyć? Herman.” Dopisałem na niej drobnym dziewczęcym charakterem pisma: „Tak, bardzo proszę”, i nadziałem ją na zardzewiały gwóźdź w belce. Raptem uświadomiłem sobie, że jest to ten sam gwóźdź, na którym Jacob zawieszał zawsze odarte ze skóry koty. Natychmiast wytarłem rdzę z moich palców o spodnie. Gdy znów znalazłem się na dworze, pomiędzy szklarni wyłoniła się nagle wielka, ociężała postać ogrodnika w granatowym garniturze w jasne prążki, tym samym co dwadzieścia lat temu, kompletnym, z kamizelką i łańcuszkiem od zegarka. Za nim nadszedł, trochę nieśmiało i niepewnie, dawny kościelny naszego kościoła, który zrobił się taki pomarszczony i nikły, że przypominał ludożercę z Celebes, którego zdjęcie wisiało na wystawie misyjnej, na którą

poszliśmy kiedyś całą szkołą. Gdy zaskoczony wypowiedziałem nazwisko ogrodnika, ten zawołał, pytająco, a jednak pewnie, dziwnie wysokim głosem: „Jan... Jan?!” Powiedział z miejsca, że widzi jeszcze, jak biegałem tutaj półnago. Pomimo jego rozpromienionej, życzliwej twarzy można było pomyśleć, że chmury dymu, jakie wypuszczał ze swej kanciastej czarnej fajeczki, zdradzają jego skryte oburzenie z tamtych dni. Oznajmił bez śladu emocji, że Houtheer nie żyje już od pięciu lat. Posiadłość sprzedano gminie, a w domu usadowił się wydział podatkowy. Nie mówił już „wielmożny pan”, lecz „ten człowiek”, opowiadając, że Houtheer kazał swemu szoferowi po trzydziestu latach wiernej służby po prostu iść do pracy w swojej fabryce. Kościelny stał obok nas i szczerzył tylko zęby w uśmiechu, przy czym skóra na jego policzkach przesuwiała się po kościach jarzmowych. Podciągnął spodnie jeszcze trochę wyżej nad sznurek, którym był przepasany, i splunął w trawę. Mój ojciec mawiał o nim zawsze: „Wilbrink jest zobojętniały.” Pewnie dlatego, że był tragarzem podczas pogrzebów. Ale kiedy umarł mój brat, nie kiwnął nawet palcem. Dowiedzieliśmy się później od przedsiębiorcy pogrzebowego, że powiedział, iż nie zamierza zarobić ani centa na śmierci syna własnego przyjaciela.

Zapytałem ogrodnika, czy w czasie głodowej zimy nie zginął im paw. Zabrałem go w ciemnościach zamiast indyka, którego zamierzałem ukraść. Nawet tego nie zauważył, powiedział z żalem. I popatrzył na mnie badawczo i podejrzliwie. Na pewno pamiętał jeszcze, że czasem chowałem w lesie warzywa i owoce i zabierałem je ze sobą o szóstej. „Zawsze przychodziłeś z pustą torbą, a wychodziłeś z pełną”, powiedział. „Ale my patrzyliśmy na to przez palce, tu i tak było wszystkiego w bród. A wyście mieli w domu taką zgraję dzieciarni, więc myślałem, że pewnie się wam nie przelewa. Bo gdzie wielu przy stole, tam zupka cienka, prawda?” Pamiętał też jeszcze, że w sobotnie poranki często otwierałem ogrodzenie wokół łąki, przez co jelenie wymykały się i przez całe przedpołudnie nie było mowy o jakiegokolwiek pracy. I znów zobaczyłem, jak podkradam się do miejsca, gdzie nad krzakami sterczały poroża kozłów. Lecz gdy podskakiwałem nagle do góry, by je przegnać, znikwały niczym zjawy między drzewami. Gdy spotykałem podskakującego ociężałe i klaszczącego w swe tłuste dłonie Jacoba, ten mówił mi ze śmiechem, żebym w najbliższą sobotę dał sobie lepiej spokój, bo inaczej wzbudzę podejrzenia. Ale najśmieszniejsze jest to, że nigdy nie wypuszczałem tamtych jeleni. Najprawdopodobniej istniał spisek między Huibem a Jacobem, którym chodziło o to, by sobotni poranek minął jak najszybciej.

Gdy ogrodnik i kościelny znów ruszyli w swoją drogę i z rękami na plecach zniknęli między drzewami pomniejszeni przez odległość, zastanowiło mnie, czy ogrodnik nosi jeszcze w kieszeni kamizelki tamten ogrodniczy nożyk, którym zgładził kiedyś całą generację młodych kur. I nagle znów zobaczyłem tę scenę. Zaciskał je między kolanami, kciukiem i wskazującym palcem otwierał im dzioby i wkładał do środka tamten nożyk zwrócony czubkiem do góry. Kiedy przez podniebienie wbijał go w mózg, słyszeć było dźwięk przypominający łupanie orzecha. A potem rzucał miotające się w agonii zwierzę na ziemię i chwycił następne. W mgnieniu oka miał ich obok siebie całe sterty, przywodzące na myśl brudną bieliznę.

Przeszedłem przez las aż do fosy i wzdłuż różowej od zachodzącego słońca wody ruszyłem w stronę domu. Mostek, przez który przechodziłem zawsze, gdy musiałem wyczyścić kojce złośliwych indyków, sprawiał wrażenie, jakby miał się lada chwila zawalić. Pokrywała go gruba warstwa żółtych liści i wyglądał równie krucho jak bambusowy most wiszący, wymalowany na puszcze po herbatnikach w kuchni mojej matki, po którym można było chodzić chyba tylko w kimonie. Przez niemal bezlistne gałęzie kasztanów zobaczyłem, jak okna na najwyższym piętrze domu rozbłyskują ognistą czerwienią. Gdy podszedłem bliżej, pojawiły się w nich czarne pionowe kreski. W chwilę później zniknęło odbicie i dom zamienił się w opustoszałe zamczysko. Wszedłem na podest i usiadłem na balustradzie. Z fosy podniosła się mgła, która zawisła teraz tuż nad łąką. Wierzby stały w niej srebrnoszare, jakby ich korony były zagęszczone mgłą. Słońce rozżarzyło się jeszcze przez chwilę na skraju niskiej ławicy chmur. Romantyczna panorama, w której żaden szczegół nie zdradzał, co minęło tu nieodwołalnie. I w której tylko jesień powoli pustoszyła przyrodę.

RĘCE EZAWA

W naszym domu na stryszku stała w ciężkiej dębowej ramie reprodukcja miedziorytu przedstawiającego Izaaka błogosławiącego Jakuba. Na *passe-partout* widniał napis: *Isaac blessing Jacob*. Gdy uprzątnąłem zastawiające ją rupiecie i stałem kurz z szyby, zobaczyłem Jakuba z fałszywym owłosieniem na rękach, klęczącego przy łóżku chorego ojca. Z wyrazem winy i lęku na twarzy spogląda na ślepego starca, który podnosi jednak rękę w błogosławieństwie powiedziawszy: „Głos wprawdzie – głos Jakuba jest, ale ręce – są ręce Ezawa.” W tle stoi Rebeka. Patrzy chytrze i lękliwie, czy oszustwo nie wyjdzie na jaw. Wyraz jej twarzy przychodzi mi zawsze na myśl moją matkę, gdy leżała na kanapce, podczas gdy ja drapałem ją w stwardniałe stopy, a w korytarzu rozlegały się nagle kroki ojca. Podrywała się wtedy szybko, odpychała mnie od siebie i mówiła, żebym poszedł się pobawić do ogrodu. Z uczuciem winy mijałem wtedy ojca i widziałem jeszcze z progu, że matka pospiesznie zaczyna coś przestawiać w kredensie. Natomiast co się tyczy mnie samego, to z powodu klęczącego tam Jakuba myślałem wciąż o moim bracie. Bo byłem oszustem, który zmówił się z matką, a on myśliwym, który swoją wiatrówką wypłaszał myszy zza skrzyń w sklepie. Kiedyś, gdy na poręczy balkonu przysiadł wróbel, brat przytknął mi wiatrówkę do ramienia i powiedział rozkazującym tonem: „Strzelaj!” Gdy wróbel spadł na dół z roztrzaskanym dziobem, a ja z drżącymi wargami patrzyłem na jego zakrwawiony łebek, on złapał go za skrzydło i cisnął na dach garażu. I powiedział do mnie, żebym przestał się mazać, bo żaden wróbel nie ginie wbrew woli Bożej.

Odnosiłem wrażenie, że wszystko potrafi przeniknąć swym jasnym spojrzeniem. Dlatego gdy zjawiał się na strychu, gdzie rodzeństwo występowało w wymyślonym przeze mnie przedstawieniu, natychmiast zaczynałem czuć się nieswojo. Jakby rzuciwszy tylko jedno spojrzenie potrafił się zorientować, że siostrę, która została zamordowana i dlatego leżała płasko na ziemi z ciężką Biblią na piersi, zamierzałem w trakcie pogrzebu przykryć moim własnym ciałem, ponieważ byłem ziemią. I że potem będę sprawdzał, czy rzeczywiście umarła, żeby nie została pochowana żywcem. Pogardliwą uwagą zmuszał lamentujące i zawodzące rodzeństwo do milczenia. Gdy znikał, musiało minąć sporo czasu, nim znowu potrafiliśmy wczuć się w nastrój.

Za dnia interesował się mną tylko wtedy, gdy wdałem się w walkę z katolickimi chłopakami z sąsiedztwa, której wynik mógł być wątpliwy. Lecz wieczorem w łóżku trudniej było mu się ode mnie opędzić, gdy niemal przygnieciony jego barczystym ciałem wypytywałem go o wszystko. Przeważnie o śmierć i rzeczy, na które właściwie nie ma odpowiedzi. Czy kiedy pochowają żywego jeszcze człowieka, to słycać przez warstwę ziemi, jak wali pięściami w trumnę. I czy to prawda, co powiedział wuj Louis, że kiedyś w trakcie porządkowania cmentarza odkopali trumnę, w której szkielet miał aż wygięty kręgosłup od naciskania na wieko. Prawie zawsze mówił, że jest to bardzo możliwe. Ale mnie to nie zadowalało. Tak czy nie, dopytywałem się dalej. Zbывał mnie wtedy żartem i zapewniał, że z pewnością mnie usłyszą, gdyby pochowali mnie żywego, chyba że grabarz będzie głuchy. Wtedy trzeba pogodzić się z losem. Albo kiedy ten, co go chowają, jest głuchoniemy. Wtedy nic nie można poradzić, bo przecież taki nie może odpowiedzieć, jeśli go spytają, o co chodzi. Kiedy ojciec opowiedział nam o wyłowionej łodzi podwodnej z pierwszej wojny światowej, w której przed szkieletem kucharza, którego śmierć zastała w pozycji siedzącej, znajdowała się Biblia, zapytałem brata, co ten człowiek mógł czytać w ostatniej chwili. Mnie się zdawało, że Biblia była otwarta na Objawieniu, bo tam jest powiedziane, że na Sądzie Ostatecznym morze odda swych umarłych. Czytał ją, żeby zapomnieć o paraliżującym strachu, iż nigdy więcej nie wydostanie się z tych otchłani. Brat jednak powiedział, że to był Leviticus, bo zmarły był kucharzem i siedział w kuchni. I że oczywiście studiował zasady składania ofiar z jada. Kiedy brat miał mnie dość, przestawał odpowiadać albo udawał, że śpi, wskutek czego moje ostatnie pytanie zawisało między nami w ciemności.

W 1935 roku, gdy ja miałem dziewięć lat, a on czternaście, uratował mnie przed utonięciem w morzu. Staliśmy obok siebie na bazaltowych skałkach w małym porcie w Katwijk. Woda wydawała się płytka, bo była tak przejrzysta, że widziałem biegające po dnie kraby i leżącą na piasku wyblakłą przynętę wędkarza, który stał tuż obok nas. Zanurkowałem i zostałem wessany przez silny prąd, ponieważ akurat otworzyli śluzę. Musiałem na chwilę stracić przytomność, bo zobaczyłem całe moje krótkie życie przepływające przede mną w delikatnych, tęczyowych kolorach. Lecz kiedy brat, który skoczył za mną, doholował mnie do brzegu, zdołałem znów o własnych siłach wciągnąć się na górę po oślizgłych, porośniętych wodorostami wierzbowych witkach faszyny. I właśnie ponieważ powiedział, że jeśli jeszcze raz zrobię coś równie głupiego, to po prostu pozwoli mi się utopić, przeniknęło mnie uczucie podziwu i wdzięczności, które zachowałem do dziś.

Kiedyś omamił mnie na tyle, że poświęciłem dla niego cały mój zbiór wydmuchanych ptasich jajek. Najpierw jajo jaskółki, bo i tak było lekko pęknięte. Stanęliśmy w pewnej odległości od siebie i na zmianę rzucaliśmy w jajo warcabowym kamieniem. Gdy roztrzaskał ten kruchy owal wspaniałym, swobodnym rzutem, przy którym kamień spadł płasko na skorupkę, natychmiast położył w to miejsce jajo kurki wodnej. Zaprotekowałem, ale on powiedział, że takie jajo upačkane fosami i tak nie ma żadnej wartości. A kiedy potem położył jajeczko gołębia, oznajmił z kolei znowu, że takie monotonnie białe jajko tylko szpeci moją kolekcję. I tak dalej, aż do olbrzymiego łabędziego jaja, w które musieliśmy rzucać chyba z pół godziny, nim całkiem się rozleciało. I to całymi garściami kamieni na raz. Ale kiedy przyszedłem do opamiętania i zaskoczony popatrzyłem na skorupki, szybko się zmył. Lecz nim zszedł na dół, z podłym uśmieszkiem postawił przy mnie słoiczek z klejem i powiedział: „Idę teraz do wychodka, ale jak je posklejasz, będziemy mogli zacząć od nowa.”

W pierwszym roku wojny, gdy pracowałem u Hoitheera, przyniosłem stamtąd ze dwadzieścia sztuk wysiedzianych indyckich jaj. Śmierdziały na wylot przez skorupkę. Gdy mój brat zaproponował, by je wydmuchać i tak jak wtedy rzucać w nie kamieniami, nie odważyłem się przyłożyć do nich ust, ponieważ były wilgotne i smród zdawał się przesiąkać przez nie jak krople potu. Przyłożyliśmy do pierwszego pompkę od roweru, lecz wtedy jajo rozpękało się w kawałki i przegniłe ciało kurczaka niczym błoto obryzgało nam nogi. Nie bardzo wiedzieliśmy, co z nimi począć, gdy jednak usłyszeliśmy zbliżającą się ze śpiewem na ustach kolumnę Jeugdstormu⁴, mój brat złapał wszystkie jajka i pognął przesmykiem do furtki, która wychodziła na ulicę. Kiedy maszerujący zbliżyli się na odległość rzutu, spojrzał przez dziurkę od klucza, pobiegł parę metrów do tyłu i powiedział do mnie, żebym patrzył przez peryskop. Pochyliłem się i patrzyłem przez dziurkę od klucza. Widziałem, jak jaja jedno po drugim lądują w kolumnie. Jedno rozbiło się o podbródek jasnowłosej dziewczyny. Głowa odskoczyła w bok, jakby ktoś wymierzył jej policzek. Zachwiała się jej futrzana czapeczka. Ale maszerowali dalej, patrząc prosto przed siebie. Z ostatnim jajkiem brat wrócił do ogrodu i powiedział, że to jest dla „matki miłości”. I celnym rzutem wystrzelił ten cuchnący pocisk do sypialni pani Van Teeng.

4 Jeugdstorm – profaszystowska promilitarna organizacja młodzieżowa – De Nationale Jeugdstorm (NJS) – (przyp. tłum.).

Na tydzień przed wybuchem wojny brat wypożyczył tandem. Razem pojechaliśmy na nim do Wassenaar. Przy restauracji „Haagse Schouw” kupił mi lody. Powiedział, że sam nie ma na nie ochoty, ale ja wiedziałem, że prócz tych pięciu centów wydał wszystkie swe pieniądze na tandem. Nawet chciał trochę moich lodów, gdy już je polizałem. Mimo to nie byłem uradowany, raczej zaniepokojony, bo czułem, że wkrótce wydarzy się jakieś nieszczęście. Jakby pragnął, żebym wspominał go takim, jakim był dla mnie teraz. Zamyśliłem się tak bardzo, że pozwoliłem, by pedały same obracały mi nogi. Nagle wszystkie te lękliwe przeczucia zniknęły, kiedy odezwał się do mnie swym zwykłym szorstkim tonem: „Kręcisz trochę tam z tyłu?”

W tydzień później wybuchła wojna i ja znów pomyślałem o tych mrocznych przeczuciach. Było tak, jakby on wiedział o wszystkim już zawczasu. Jakby rozpoznawał nawet teren wokół lotniska Valkenburg, gdzie wylądowali niemieccy spadochroniarze. Dlatego owego dnia tam właśnie poszedłem go szukać. Tymi samymi ścieżkami, którymi razem jeździliśmy, choć nie wolno tam było chodzić, groziło to śmiercią. Wrócił do domu w środku nocy. Chciałem czuwać, by go zapytać, czy wiedział o wszystkim z góry. Czy wskazał żołnierzom wąskie, kręte ścieżki wokół lotniska. Ale kiedy trochę pojaśniało na dworze, a ptaki zaczęły śpiewać, zapadłem w głęboki sen. Gdy się obudziłem, jego już znowu nie było. Tego popołudnia zobaczyłem go na odkrytej ciężarówce. Stał oparty o tył kabiny z karabinem gotowym do strzału. Przewożono grupkę schwytych NSB-owców. Zawołałem do niego i poznałem po jego twarzy, że mnie usłyszał. Ale dalej patrzył nieruchomo w kierunku, który wskazywała lufa jego karabinu.

Po kapitulacji, kiedy musiał oddać broń i mundur obrony cywilnej, powiedział, że mogą sobie wziąć tę jego pukawkę, bo to i tak stary trup, ale że swojego munduru nie wyda wrogowi. Tego wieczora oblał go benzyną za komórką i podpalił. Zatrzymał tylko furazerkę. W samym środku wojny przyłapałem go kiedyś na tym, że z tą furazerką na głowie siedział przed jednym skrawkiem ściany naszego pokoiku, do którego rościł sobie prawo, i na którym rozpiął mapę szpilkami. Był zajęty przesuwaniem chorągiewek wyznaczających linię frontu.

W zimie czterdziestego trzeciego na czterdziesty czwarty często wyruszaliśmy razem na kłusownicze wyprawy, chociaż on się ukrywał i pracował nielegalnie. Kiedy coś spostrzegął, wyciągał rękę, żebym zamarł w bezruchu. Potem kilkakrotnie wdychał głęboko mroźne powietrze i badawczo rozglądał się dookoła. Kiedy opuszczał rękę, był to znak, że nie ma niebezpieczeństwa i że możemy przystąpić do akcji. Pewnego popołudnia zobaczyliśmy, jak tuż pod powierzchnią wody w przeręblu na stawie powoli przesuwają się tam i z powrotem płetwy. Złapaliśmy dwadzieścia jeden szczupaków, wszystkie tych samych rozmiarów, bo staw był zarybiany przez ligę ochrony przyrody. Były trochę ogłupiałe, bo właśnie zaczęła się odwilż, ale kiedy brat wysypał je z jutowego worka na podłogę w kuchni, niektóre ze złości poszczepiały się pyskami. Położył jednego na szalce wagi i powiedział obojętnie, że waży trzy i pół funta sztuka. I że to lepiej niż cudowny połów, bo za jednym razem wyciągnęliśmy bez sieci siedemdziesiąt pięć funtów ryby. Ułożył potem na kredensie te ciemno pręgowane potwory jeden obok drugiego z łbami na kancie. Następnie jednemu po drugim roztrzaskał łby pogrzebaczem. Nie spudłował ani razu, bo stałem plecami do niego i dwadzieścia jeden razy usłyszałem ten soczysty i kościsty dźwięk. Potem usłyszałem, jak odkręca kran, żeby obmyć pogrzebacz.

Następnego dnia znów staliśmy nad przerębem. On z długą gałęzią w ręce, bo ryby tego dnia były nieco szybsze. Nagle zniknęły i powierzchnia wody znieruchomiła. A wtedy z szarej wody wyłonił się niczym zjawą ogromny węgorz. Jego łeb był szeroki jak dłoń mężczyzny, a dolna szczęka wystawała krwiożerczo do przodu. Patrzył na nas hipnotycznym wzrokiem swych zimnych, matowoniebieskich oczu, które zdawały się świecić. Zmartwiali z przerażenia staliśmy na skraju lodu i wpatrywaliśmy się w to oszałamiające i niewiarygodne zjawisko. Jego łeb dawno już zniknął pod lodem, podczas gdy jego olbrzymie cielsko leniwie, ale mocno, falowało jeszcze pod wodą. W chwili kiedy zniknął, cofnęliśmy się o kilka kroków. Z tej odległości brat rzucił gałęzią jak harpunem w przeręb. A potem jak najspieszniej zesliśmy z lodu, bo czuliśmy się tak, jakby jakieś zagrożenie ze strony tego stwora ścigało nas pod naszymi stopami. Po drodze nie rozmawialiśmy. W milczeniu szliśmy po mokrym śniegu pośród parawanów z purpurowej wikliny.

Dopiero wieczorem w łóżku odważyłem się o tym napomknąć. Ostrożnie spytałem, czy on też się tak przestraszył, ale nie odpowiedział. Kiedy zauważyłem, że był chyba cztery razy większy od przerebła i gruby jak udo, odparł, że lepiej, jak nie będziemy o tym mówić, bo i tak nikt nam nie uwierzy. Potem znów udał, że śpi, ale wiedziałem, że też rozmyśla o tym w ciemności z otwartymi oczyma. A ponieważ mówił, że i tak nikt nam nie uwierzy, następnego dnia opisałem wszystko szczegółowo w moim pamiętniku. Jak wielki był łeb tego węgorza. Jak patrzył na nas swymi świecącymi oczami, to na jednego, to na drugiego, całkiem jak człowiek. Jak długo to trwało, nim jego ogromne cielsko zniknęło w przerebłu. Bo zawsze myślałem, że umrę młodo, i przyszło mi do głowy, że potem nikt mu nie uwierzy, gdy będzie o tym opowiadał, uznają go za kłamcę. Kiedy mój brat umarł w pół roku później, a ja kartkowałem pamiętnik w poszukiwaniu rzeczy, które o nim napisałem, znów się natknąłem. Wiedziałem, że nikt nie uwierzy w to, co tam napisałem, I nigdy głębiej nie odczuwałem jego braku niż wtedy, gdy uświadomiłem sobie, że wszystko, co widzieliśmy i przeżyliśmy razem, przestało nagle istnieć. Że wraz z nim zniknęło na zawsze. Na kilka tygodni przed jego śmiercią, kiedy musiał już nosić w sobie chorobę, która go zabiła, wyruszał wczesnym rankiem na długie rowerowe rajdy po polderach i wzdłuż Starego Renu. Ojciec daremnie ostrzegał go przed Niemcami. Wyjeżdżał każdego ranka, aż któregoś razu wrócił do domu śmiertelnie blady i spocony. Wymiotował po drodze i natychmiast położył się do łóżka. W dwa dni później z dyfterytem został zabrany do Szpitala Akademickiego. Gdy go tam odwiedziłem, był już konający. Leżał w wyłożonym białymi kafelkami pokoiku w polakierowanym na biało łóżku z wysokimi prętami dookoła, jakby się bali, że mógłby im uciec. Pozwolono mi tylko popatrzeć na niego z daleka przez okienko. Leżał odwrócony głową do ściany,

widziałem jedynie jego czarne loki. Zastukałem w szybę, a on odwrócił się powoli. Widziałem, że umiera, i zacząłem płakać. Kiedy mnie zobaczył, uniósł się z trudem po prętach i po raz pierwszy w życiu popatrzyliśmy sobie dłuższą chwilę prosto w oczy, bez grymasów czy odwracania wzroku. Tylko łzy same spływały mi po policzkach. Potem uniósł rękę do góry w moją stronę i zacisnął pięść, upadł z powrotem na poduszkę i skonał. Rodzicom, którzy przyszli po mnie, a więc za późno, pielęgniarka powiedziała, że jego ostateczne słowa brzmiały: „Idę do Chrystusa.” I dodał jeszcze wers psalmu: „Jako jeleń ryczy do strumieni wód, tak dusza moja woła do ciebie, o Boże!” Wiedziałem, że to nieprawda, bo to ja byłem ostatnim, na którego spojrział. Nigdy nie powiedziałem rodzicom, że przyszedłem tuż przed nimi. Pewnie brat powiedział to wszystko pielęgniarce dużo wcześniej, myślałem z początku, kiedy czułem, że już długo nie pożyje. Żeby nie pozostawiać zrozpaczonych rodziców całkiem bez nadziei. Lecz później, gdy pomyślałem o rysunku ogromnego jelenia, który parskając i dysząc biegnie, z lasu do wodopoju, zrozumiałem, że to właśnie miał na myśli. Był to jedyny mój rysunek, o którym coś powiedział. Pamiętani jeszcze moją radość, kiedy rzekł z podziwem: „Widać nawet, jak para bucha mu z chrapów.” Kiedy chciałem mu go podarować, poprosił, żebym zachował go dla niego na później. Bo tu i tak nie ma miejsca, żeby coś zawiesić. I tak to zimne światło polderu o poranku, po którym jeździł tuż przed swoją śmiercią, ma coś wspólnego ze światłem w tym wyłożonym białymi kafelkami pokoiku, gdzie skonał. A jego uniesiona ręka z tamtym potworem w przerębli. Jakby chciał mnie ostrzec przed bijącą z niego przerażającą groźbą. I przecucie owego majowego dnia 1940 roku, kiedy myślałem, że zaraz wyniosą go razem z martwymi żołnierzami z samochodu do kaplicy, do której trafił cztery lata później. Jako jeleń ryczy do strumieni wód! Słyszę znów nasz powolny i

zawodzący śpiew w szkole: „*Comme un cerf altéré brame*” I to też się z tym wiąże. Jakby ten jeleń szedł coraz wolniej i wolniej, a potem zatrzymał się na moim rysunku. I tu wydał ostatnie tchnienie.

Może to wszystko nieprawda. Może nic nie ma znaczenia, może równie dobrze wszystko mogło potoczyć się całkiem inaczej. To tylko linie, które przeciągam od jednego wydarzenia do drugiego, by zrozumieć ich sens.

POWRÓT DO OEGSTGEEST

W zeszłym tygodniu śnił mi się nasz dawny dom. Spałem znów za pobieloną szybą wystawy i śniłem, że coś wyciągane jest z niego przez jeden z otworów wentylacyjnych w ramie witryny. To coś wełniście ocierało się o mnie. Ktoś wyciągał na zewnątrz zakurzony plan naszego domu. Zerwałem się i chciałem zetrzeć farbę z szyby, ale okazało się, że to szron. Kiedy oddechem wytopiłem w nim dziurkę, zobaczyłem mojego ojca stojącego na progu. Stał po pas w falującym dziko perskim dywanie, którego róg tkwił jeszcze od wewnątrz w otworze wentylacyjnym. Ojciec pochylił się do przodu i przyciągnął do siebie ten róg. Poczułem nagle, jak ziąb z otworu owiewa mi podbrzusze. Ojciec spojrzał na mnie, pogładził tkaninę i pokazał mi gestem, że jest wyśmienitej jakości. Potem wytarł o nią pot z czoła, a ja się obudziłem.

Nigdy nie wierzyłem w sny, lecz gdy przedwczoraj przechodziłem obok sklepu, na jego progu stał kontener z gruzem. Przez szybę wystawową można było zajrzeć przez cały dom aż do ogrodu. W pomieszczeniu unosił się pył z rozbieranych wewnętrznych ścian. Wydało mi się, jakby w tym śnie mój ojciec po raz ostatni uczynił rozpaczliwą próbę, by przyciągnąć do siebie przeszłość wraz ze wszystkim, co mu się nie powiodło i co wyslizgnęło mu się z rąk. Wszedłem przez otwarte drzwi do środka i spytałem mężczyznę w szarym od pyłu kombinezonie, czy mogę się rozejrzeć, bo kiedyś tu mieszkałem. Skinął głową i zaczął dalej rozbijać ścianę między sklepem a pokojem. W pokoju młody chłopak na drabinie parową od klej arką ściągał tapetę ze ściany. Chwilami widziałem wyłaniające się spod spodu kawałki naszej tapety w czarne i purpurowe pasy.

Kuchnia wyglądała jeszcze niemal jak dawniej, tak że zobaczyłem znów samego siebie stojącego w balii z gęstą, niebiesko-szarą wodą, w której przedtem myli się mój brat i siostra. Rozpoznałem miejsce przy futrynie, gdzie wisiał juchtowy rzemień mojego ojca. I znów usłyszałem ten dźwięk, gdy w niedzielne poranki ostrzył na nim brzytwę. Na kredensie stały pojemniki z drugim śniadaniem robotników, a obok leżała pomarszczona cebula puszczająca bladozielony kielek. To tu moja matka ubijała nam na deser białko z porzeczkowym sokiem. Kiedy stałem przy niej i patrzyłem na jej pulchny przegub, który unosił się i opadał regularnie, myślałem, że gdyby porobiła tak dłużej, cały dom wypełniłby się różową pianą, w której zawiślibyśmy jak pieniki. Nie mogłem już wyjść z kuchni na werandę, bo przejście, które mój ojciec wykuł w murze, zniknęło. Ale w tynku widać było jeszcze bardzo wyraźnie, gdzie się znajdowało. Wszystko w tym małym, żalonym pomieszczeniu zyskało bezkresną perspektywę dzięki Biblii. Bo w tym właśnie przejściu Chrystus ozdrowił ślepeca, i stał w nim Samson, gdy ostatni raz modlił się o siły i walił mury nad Filistynami.

W ogrodzie, który był teraz kawałkiem szarej, zdeptanej i ubitej ziemi, pomyślałem o tym, co mawiał o nim zawsze mój ojciec: „Nie jest długi ani szeroki. Ale jest nieskończenie wysoki. Aż do gwiazd.” Wielka jabłoń została ścięta. Nigdy nie zdobędę się im odwagę, by powiedzieć o tym ojcu. Gdyby o nią spytał, powiem, że rozrosła się wspaniale i że jej gałęzie zwieszają się aż nad balkonem. Również ten balkon był tak mały, że wręcz trudno było uwierzyć, iż Żydówka, która ukrywała się u nas pod koniec wojny, wybiegła nań w akcie rozpaczyci któregoś dnia, by znaleźć się na słońcu i świeżym powietrzu. A przedsionek wydawał się teraz zbyt mały, by pomieścić wszystkie krzesła, wystawiane na dwór każdego piątku, zapach pasty, sprzątaczk i olbrzymią balię pełną mydlin w jakiś czas później, gdy matka zmuszona była sama prać brudną bieliznę. Nawet długie majtki wuja Louisa, na których zawsze były brązowe plamy. Gdy dokuczaliśmy mu z ich powodu, mówił, że to brązowa plama od oleju silnikowego, i żeby odwrócić naszą uwagę wkładał monetę pionowo do ust i zgniatał ją zębami. W miejscu, gdzie stała komórka, leżały stare deski i przesuwane drzwi, które kiedyś znajdowały się między sklepem a pokojem. Oprawne w ołów szybki były potłuczone. Usiłowałem wyjąć z nich kawałek czerwonego szkła, ale nie udało mi się go wyłamać. To tutaj stały moje klatki dla królików, przy których mój brat często wołał uszczypliwie: „Święta! Święta!” Kiedy ojciec usłyszał to za którymś razem, zmył mu głowę, bo nie wolno drwić sobie z narodzin Chrystusa. To właśnie tutaj, gdy oznajmiłem, że chcę zostać żandarmem, mój ojciec powiedział, że jestem na to zbyt wielkim kłębkim nerwów. I że powinienem sobie znaleźć zajęcie, które by się wiązało z moją dłubaniną.

To tutaj, w przejściu między domami, zbudowałem z worków jutowych i gałęzi cały kampong, by bawić się w misjonarzy z młodszym rodzeństwem. Musieli wszyscy siedzieć po turecku, a siostry z podwiniętymi do góry spódniczkami. Ja nałożyłem fartuch sklepowy mojego ojca. Tyle zapamiętałem z wystawy misyjnej: półnaczy tubylcy i ten mężczyzna w nieskazitelnie białym stroju pośród nich.

Przez okno kuchenne zobaczyłem, że robotnicy siedzą przy kredensie i jedzą. Wszedłem przez werandę do środka i usiadłem na najniższym szczeblu drabiny między strzępami tapety. Schody na pierwsze piętro zniknęły. Przez dziurę w suficie dojrzałem, że w pomieszczeniu na górze pozostały jedynie schody prowadzące na strych. Teraz dałoby się bez trudu wnieść na górę łóżko. Dawniej wymagało to rozpaczonego manewrowania między ścianami, gdy znów przybyło kolejne niemowlę i trzeba było dokonać nowych zmian. Dlatego dawniej cud sprawiony przez Chrystusa, który powiedział do paralytyka: „Wstań, weź łożo swe i idź do domu”, wydawał mi się akrobatyczną sztuką, gdy tamten wstaje tak po prostu i odchodzi ze swoim łóżkiem. Z ogrodu, w którym gruszki, porzeczki i jabłka stają się we wspomnieniach mego ojca coraz to większe, zajrzałem do sklepu, gdzie niegdyś stopy artykułów żywnościowych wciąż kurczyły się wskutek biedy. I zobaczyłem, że co mój ojciec zaczął z wiarą i ufnością w Boga, to zakończył w niedostatku i z pustymi rękami. Ta myśl zasmuciła mnie tak bardzo, że miałem ochotę, tak jak niegdyś, powąchać butelkę spirytusu, by zakręciło mi się w głowie. By zapomnieć o wszystkim. Oparłem drabinę o krawędź otworu w suficie i wspiąłem się na górę. Z przedpokoju wyrzałem na ulicę. Ulica oglądana z wysokości wyglądała biednie. Jakby nic się tu nie zmieniło od końca wojny. Wystawy sklepów po drugiej stronie sprawiały wrażenie tak zapuszczonych, że nietrudno było tam odgadnąć obecność kurzu i padłych much. Brzoza w dawnym ogródku pani Van Teeng została ścięta. Musiało się to stać już po jej śmierci, bo kiedy pewnego dnia zjawili się u niej robotnicy z gminy, by wyciąć to drzewo, które przeszkadzało przechodniom, powiedziała, że musi najpierw zadzwonić do męża w tej sprawie. Majster odparł, że przecież jej mąż nie żyje już od wielu lat. „Właśnie dlatego”, odpowiedziała. Potem

zobaczyli przez okno, że długo rozmawia przez telefon. Następnie wyszła i powiedziała: „Mój mąż powiedział «nie».”

To tam szedł wuj Louis w niedzielnym garniturze mojego ojca, który nałożył ukradkiem, gdy go nie było w domu. Ale na rogu wpadł na ojca, który powiedział: „Wracaj do domu.”

Podczas wojny spacerowałem tam chwiejnie na wysokich obcasach mojej siostry, w spódnicy i z chustką na głowie. Żeby udowodnić bratu, że ja też nadaję się do pracy w konspiracji. Lecz przed garażem napotkałem chłopaka, którego nie widziałem wiele lat i który powiedział do mnie: „Cześć, Jan!” Wróciłem do domu, ściągnąłem ubranie siostry i więcej nie zajmowałem się już wojną.

Nim wszedłem na schody wiodące na strych, dotknąłem ich najpierw, bo prowadząc ku mrocznemu otworowi wydawały się takie ulotne, jakby wycięte z papieru. Na półpiętrze stał stary piec gazowy pokryty przypominającymi nietoperze płatami kurzu. Poza tym wszystko było puste. Wszedłem do mojego pokoiku i znów ogarnęło mnie uczucie, jakbym znalazł się w arce, która osiadła na szczycie Araratu. Przez ukośne okienko w dachu można by wprawdzie wypuścić gołębia, ale wydawało się zbyt małe na obrazy, które, podpaliwszy uprzednio, wyrzucałem do ogrodu. Gdy podczas wojny pastor przyszedł obejrzeć moje obrazy i spytał, czy nie chciałbym któregoś z nich sprzedać, potrząsnąłem głową i powiedziałem: „Prawdziwy malarz musi kiedyś wszystko spalić.” Zrobiłem to w kilka miesięcy po wyzwoleniu, gdy zgłosiłem się do oddziałów szturmowych. Mój ojciec stał w ogrodzie i przydeptywał tłące się płótno, wołając do mnie, że całe szczęście, że jadę do Indonezji, bo inaczej kazałby mnie zamknąć w domu wariatów.

Miejsce na belce, gdzie wisiała pocztówka z czerwoną różą, którą brat przysłał mi podczas wojny z Francji, do której pojechał, by uciec dalej do Anglii. Na odwrocie słowa: „Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich i tysięcy całusów.” Miejsce, gdzie stało nasze łóżko. Przerażenie owego poranka, gdy pomyślałem, że on nie żyje, bo małe piórko leżące tuż przy jego twarzy przestało się poruszać. Tamten wieczór, kiedy powiedział, że flądry mają takie czerwono-brązowe plamki, ponieważ zawsze leżą pod przerdzewiałymi wrakami statków. Wgłębienie w belce, o którą kiedyś, gdy ojciec złożył nam skórę, brat roztrzaskał listwę krzycząc: „Rozwalę łeb temu sukinsynowi, jeśli jeszcze raz mnie dotknie.” Tak się wystraszyłem, że schowałem siekierę pod słomą w komórcie.

To tutaj wystawiałem z młodszym rodzeństwem moje sztuki teatralne. Lecz po spektaklu zatytułowanym *Dwór w Gethsemane* skończyła się zabawa w teatr. Mój gruby braciszek był Malchusem. Przyłożyłem mu wysuszoną morelę do prawego ucha, które moja siostra miała mu odrąbać drewnianym mieczem. Potem zjawiłem się w długiej szacie, przylepiłem mu na powrót tę morelę i powiedziałem do siostry, żeby włożyła miecz do pochwy. Gdy ojciec to usłyszał, zabronił mi zabierać młodszego rodzeństwo do pokoju, bo tylko je deprawuję.

Każdy sęk i każda plamka są mi znajome. Stada małych otworków po pinezkach, na których wisiały dawniej moje rysunki i reprodukcje. Pejzaż Constable'a, rysunek Dürera przedstawiający jelenka rogowca w locie. Cieniutkie odnóża rzucały delikatny cień na papier. Nachyliłem się, by popatrzeć, czy w szparach nie znajdę czegoś z dawnych lat. Koralka albo skrawka papieru. Wsunąłem w nie zapałkę, ale wygrzebałem tylko trochę kurzu. Potem podciągnąłem się na ocynowanym parapecie, ale nie zdołałem unieść się na tyle, by wyrzeźić przez okno na dwór. Przytaszczyłem z półpiętra piec gazowy, postawiłem go pod oknem i stanąłem na nim. Prócz anten telewizyjnych, widok z okna pozostał nie zmieniony. Rynnę wypełniały jeszcze przegniłe liście. Ale nie zobaczyłem już zmiętych kawałków papieru czy brudnych chusteczek do nosa. Między ścianą garażu a domem nasz ogród stał się teraz, gdy zniknęły drzewa, zaledwie ponurym dziedzińcem, szarym martwym kwadratem. To tam, nad lasem, opadli na ziemię spadochroniarze, gdy wybuchła wojna. Przeciwdeszczowy płaszcz mojego brata był uszyty ze spadochronu. Miałem go na sobie już na jego pogrzebie. Na cmentarzu pastor powiedział do moich rodziców: „Czas to uleczy.” Organy grały *Teraz już śmierć nie napętnia mnie obawą, bo wszystko się dokonało*. Co się dokonało? Kolumny smętnych sprawunków, pod którymi kładłem mój podpis? Jego życie, którym musiał zapłacić, ponieważ ja spaliłem jego fotografie?

Na kilka dni przed wyzwoleniem pod drzewami w Poelgeest leżała młoda czapla. Bałem się złapać ją gołymi rękami, bo mocno wywijiała dziobem. Zdjąłem płaszcz przeciwdeszczowy i zarzuciłem go na nią. Kilkoma gwałtownymi uderzeniami ostrego dzioba podarła go na strzępy i nieporadnie trzepocząc skrzydłami pofrunęła do góry. Płaszcz był tak porwany, że nawet go nie podniosłem. To była jedyna rzecz, jaką miałem po moim bracie. Zostawiłem ją tam na leśnej ziemi.